

De. II 1.
TOM CCLXXXI.

ROK 71.

ZESZYT 843.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1911.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. NA ROZDROŻU,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	417
2. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	453
3. IDEA I ARTYZM W POEZJI KONOPNICKIEJ, — przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	472
4. SAMOBÓJSTWO RASY,—przez <i>Leszcza</i>	518
5. ZAMACH NA STANISŁAWA AUGUSTA,—przez <i>Macieja Loveta</i>	541
6. KULTURA ŻYCIA MUZYCZNEGO,—przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i>	552
7. GWARA TATRZAŃSKA,—przez <i>G. Smólskiego</i>	560
8. PIŚMIENICTWO:	
RUSTICUS: „Listy z dworu wiejskiego,“—przez <i>Ludwika Włodka</i>	586
STEFAN DZIEWULSKI: „Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki,“—przez <i>Wacława Dunina</i>	590
MARION: „Uczciwa kobieta,“—przez <i>Henryka Gallego</i>	594
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Dni rolnicze.—Inowacya wykładowa w C. T. R.—Zjazd kółek C. T. R. i Staszicowskich. — Burdy uniwersyteckie w Krakowie.—Sprawa polska w Radzie Państwa.—Opinia premiera o Polakach.—Mowa hr. Olizara.—Figte komisji szkolnej. — Sprawy polskie. — Rozłam wśród maryawitów.—O Rydzyne	597
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Aleksander Oskierko i ś. p. Wacław Nałkowski,—przez <i>L. W.</i>	611
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	614



De. II 1.

NA ROZDROŻU

1812—1813.

V.

Położenie Czartoryskiego, pośród tylu zwałających się na niego najrozmaitszych nieporozumień, powikłań, opóźnień, wreszcie fatalnego z Kluczewskim *intermezza*, było okropne. Podjęta z Warszawy, na jego barki włożona, tak niezmiernie trudna i śliska inicjatywa polityczna, o tyle tylko mogła mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, o ile istotnie poszłaby całkiem gładko ze strony rządu warszawskiego w pełnym jego składzie oraz ze strony cesarza Aleksandra, a zwłaszcza, o ileby narazie, aż do zupełnego swego urzeczywistnienia, pozostała w ścisłej tajemnicy. Tymczasem, wprost przeciwnie, od pierwszej zaraz chwili rwało się ze wszystkich końców. Nasampierw rwało się już w samej Warszawie. Rwało się tam mianowicie na rzeczy najgłówniejszej, wojskowej. Pomimo wszelkich, nadsyłanych z Warszawy, od pierwotnych inicjatorów, zapewnień optymistycznych, natychmiast po powrocie Poniatowskiego do stolicy nie mógł Czartoryski żywić wątpliwości żadnych, iż tutaj, na punkcie kardynalnym, na sprawie akcesu naczelnika wojska polskiego, zahaczyło się odrazu wszystko.

„Sprawa oczywiście przegrana — pisał był Mostowski do ks. Adama z Warszawy w tydzień po powrocie ks. Józefa¹⁾—ani myśleć,

¹⁾ (Warszawa) 20 grudnia (1812); do rąk brązowej figury (= ks. Adama, którego matka, ks. Izabela, nazywała „figure de bronze“); całe własnor. Mostowskiego.

aby ją na przyszłej kadencji *de noviter repertis* wznowić potrafił¹⁾. Niema więc czasu do stracenia: czynić trzeba bez zwłoki i ugodę z warunkami wyrażonemi przedłożyć. Jeśli to się nie stało jeszcze, zda się iż posłać natychmiast wszystkie 4 sztuki do negocjacyi pod literami *a, b 1, c 2, d 2*) wypada. My tu już do targu w *gotowiznę* (wojsko) uzbrajamy się i spodziewamy się, jeżeli czas i sposoby pozwolą, wkrótce do 50,000 *złp.* (ludzi) uzbierać. Te jednak tak zarządzane będą, iż zawsze sprawie pryncypalnej naszej (t. j. Polsce) a nie akcesoryom (t. j. Napoleonowi) służyć mają. A jeśliby punkta do ugody № 2 przyjęte zostały³⁾ z modyfikacyami, jakie *plenipotent* (Czartoryski) dogodnemi osądzi, wtedy dobrze byłoby, ażeby te jaknajprędzej podpisane i nam komunikowane tu były. Bo w takim razie nakłonilibyśmy zaraz wszystkie strony interesowane do odstąpienia od *procesu* (wojny) a *gotowizna* (wojsko) użyłaby się całkiem na pożytek ziemi (t. j. Polski). Dlatego wielce pożytecznem byłoby, gdyby przy nadesłaniu podpisanej ugody № 2, zaraz postępowano sposobem przedłożonym w piśmie czwartem *d*. A tak *gotowizna* (wojsko) nie ruszyłaby się i została cała nadal. Lecz do tego koniecznie trzeba mieć ugodę podpisaną, bo inaczej, ponieważ wszyscy sparzyli się na pieniactwie⁴⁾, niktby wierzyć nie chciał.

„*Bankier* pierwszy i jedyny, którego tu mamy (ks. Józef Poniatowski), jest bardzo wyrozumiały na cały interes; użyczy pomocy i ruszy *gotowiznę* (wojsko), gdy będzie trzeba i gdy ugoda dojrzała okaże się. *Wreszcie dotąd nie sądzono potrzebą uwia- domić go o szczegółach i obiegu rzeczy.* Lecz wie ogólne zasady, które radby widział położone i życzyłby ugody na nich. Nie zawadzi zatem przedłożyć *stronie przeciwnej* (Aleksandrowi), że jeśli prędko przyjmie i podpisze ugodę № 2, tudzież gdy postąpi w *intromisyi* (okupacyi Księstwa Warszawskiego) podług życzenia naszego (t. j. bez zajęcia Warszawy przez wojska rosyjskie), to gdy to dokładnie wiadomo będzie, natychmiast 50,000 *złp. gotowizny* (wojska) dla niej przeznaczają się; przeciwnie, gdyby ugody przyjąć nie chciała lub z nią ociągała się, wtedy *gotowizna* (wojsko)

¹⁾ Mowa tu o kompletnej przegranej napoleońskiej, wiadomej już powszechnie w Warszawie po powrocie resztek wojsk polskich.

²⁾ Przez lit. *d* rozumie Mostowski pełnomocnictwo dla Czartoryskiego, umieszczone *al fine* dokumentów *A, B, C*.

³⁾ T. j. dokument oznaczony *Lit. C*: „*Projet*.”

⁴⁾ Aluzya do przyrzeczeń Aleksandra w 1805 a może i 1811 r.

na dalsze *manifesta i prawne kroki* (marsze i walki) z wielką szkodą dla wszystkich stron roztrwonić się musi. Pisarz (t. j. Mostowski) przypomina się łaskawej pamięci.¹⁾

Wszystko to brzmiało bardzo pięknie, lecz nie mogło przed przenikliwym okiem Czartoryskiego zasłonić nieprzyjemnej prawdy. Prawda była w tem, że inicjatorowie warszawscy zmuszeni byli wobec Poniatowskiego ukrywać się starannie ze „szczegółami i obiegami rzeczy,” t. j. z całą właściwą, podjętą przez nich, negocjacyą tajną; że nie mogli bynajmniej liczyć na jego rzekomą aprobatę, wyrażającą się w formie bardzo ogólnikowej, przy bardzo wyraźnych z jego strony zastrzeżeniach; że w końcu, ulegając jego woli wbrew własnym swoim intencjom, musieli opuścić

¹⁾ Dwa dni potem, t. j. przynajmniej pod datą formalną 22 décembre (1812), Mostowski spisał ciekawe Précis et marche de nos propositions: „1. Nous ne sommes ni en droit ni en mesure de tenter une négociation absolue. Elle pourrait de notre part sembler ridicule sous le rapport de ce que nous sommes, odieuse sous celui de nos engagements actuels. 2. Mais il nous est permis de promettre tout de suite et nous promettons, qu'en cas de la conquête de notre pays nous remplirons fidèlement les obligations et les arrangements dont le P(rince) A(dam) C(zartoryski) sera dès à présent convenu en notre nom d'après les bases que nous avons établies dans les N^o 1 et 2 et qu'il modifiera selon les circonstances [zwrot ten mianowicie mógłby nasunąć przypuszczenie, że niniejsze Précis mogło być *ex post* spisane przez Mostowskiego i antydatowane, celem pokrycia „modyfikacji,” wprowadzonych przez ks. Adama w jego propozycjach, uczynionych Aleksandrowi 27 grudnia 1812 r., których niezgodność z pierwotnymi propozycjami warszawskimi wyszła na jaw dopiero wskutek ekspedycyi bezpośredniej warszawskiej przez Czyczagowa do Aleksandra oraz afery Kluczewskiego; możnaby więc istotną datę niniejszego Précis Mostowskiego odnieść do jego pisma do ks. Adama z 31 stycznia, j. w., 221, jeśli nie później jeszcze, do pobytu w Krakowie]. 3. En conséquence nous l'avons invité et autorisé à se charger de traiter sur le champ aux conditions susdites; et dès qu'il aura obtenu une acceptation de S. M... comme aussi une proclamation, ... le Duché se soumettra et notre force armée restera intacte, pour se réunir dans le temps à celle de S. M. I. 4. Pour accélérer et faciliter la marche des affaires, nous avons désiré que notre Délégué envoyât sur le champ ou portât lui-même à S. M. I. les quatre pièces a, b1, c2, d... 5. Nous avons pensé que provisoirement une autorisation au P(rince) A(dam) C(zartoryski) non signée de personne... avec les pièces à l'appui, était plus noble reposance (*sic*) sur son honneur et sur le nôtre que si elle avait été munie de 4 ou 5 signatures isolées, ... mais dès que nous serons en mesure de voir et d'avancer que nos propositions ont obtenu l'agrément de S. M. I., une autorisation conforme sera aussitôt expédiée au P(rince) A(dam) C(zartoryski), qui peut en attendant nous nommer, lorsqu'il le jugera utile.“

Warszawę i ruszyć z wojskiem do Krakowa, tracąc tym sposobem fizyczną możność prawidłowego, we właściwym miejscu i czasie, kontynuowania nawiązanych rokowań.

Przeniesienie siedziby rządu z Warszawy do Krakowa utrudniło nadzwyczajnie dalsze działania znajdującego się obecnie w Dubnie ks. Adama. Otrzymał on tutaj dopiero w połowie lutego spóźnioną o cały miesiąc odpowiedź Aleksandra, na którą nietylko on sam, lecz i ministrowie warszawscy z gorączkową oczekiwali niecierpliwością; zarazem zaś otrzymał dotkliwą wiadomość o wyjściu wojska i władz warszawskich do Krakowa, w czym oczywiście musiał rozeznac przede wszystkim decyzję ks. Józefa. Tembardziej musiało teraz zależeć na tem, by otrzymaną nareszcie odpowiedź Aleksandra zakomunikować ministrom warszawskim, a zwłaszcza ministrowi wojny, ks. Józefowi, ażeby ten, mając w ręku sam oryginał owej odpowiedzi, mógł przekonać się naocznie, iż napoczęta negocjacya posiada w istocie jakąkolwiek realną podstawę, i ażeby skutkiem tego z mniejszą nieufnością i rezerwą zachowywał się względem podjętych usiłowań porozumienia się z Rosyą. Niełatwo jednak było z Dubna trafić teraz bezpiecznie do Krakowa, tembardziej, że po świeżem doświadczeniu z Kluczewskim należało podobnej nowej unikać niespodzianki. Wobec tego ks. Adam postanowił oryginał listu Aleksandra posłać przez zaufanego domownika i rządcę swego, Bieńkowskiego, na ręce matki swojej, księżnej Izabeli, do Sieniawy, skąd brat, Konstanty Czartoryski, wypoczywający w Sieniawie po przeprawach kampanii moskiewskiej, miał osobiście zawieźć to pismo do Krakowa. Bieńkowski z oryginałem listu Aleksandra dojechał dopiero 22 lutego do granicy, skąd tegoż dnia przywieziona ekspedycya dostała się do Sieniawy.

„Bieńkowski przybył wczoraj na komorę,—pisała księżna Izabela do ks. Adama ¹⁾—uprzedził nas i wysłaliśmy Reutera, aby odebrać pakietę. Kiedy ujrzałam Twoje pismo, sprawiło mi to radość, której nie potrafię Ci opisać. Od trzech tygodni przechodziłam przez wszystkie uczucia niepokoju, obawy, czyś tylko zdrów i czy wydestałeś się z rąk tych okropnych Austryaków... Pismo cesarza czytaliśmy i odczytywaliśmy w naszym małym komiteciku. Jakie ono pocziwe, jak jego serce i dusza w nim się malują. Ale, kochany mój przyjacielu, nie umiem już żywić nadziei. Nadzieja umarła w mojem sercu po trzydziestu latach nie-

¹⁾ Sieniawa, 23 févr. 1813 (Arch. rodzinne ks. Czartoryskich, Kraków).

szczęść wszelkiego rodzaju... Raz po razie promień szczęścia okazywał się znikomym. Wszędzie zwaliska, nieszczęścia, straty. Wciąż jesteśmy przedmiotem jakiejś dziwnej nienawiści ze strony Niemców, wciąż zagrożeni, wciąż zapoznawani. Ach, kochany mój przyjacielu, nie spodziewam się już niczego. Rozumiem, że cesarz życzy nam dobrze, ale tylu ludzi życzy źle Polsce, tej Ojczyźnie naszej, która, jak dobrze wiesz, najgłówniejszą jest dla mnie rzeczą. Ach, gdyby cesarz po tak świetnych sukcesach swoich powiedział sobie obecnie: „jestem szczęśliwy, pragnę, aby i inni byli szczęśliwi.“ Przypominam sobie bytność jego w Puławach (w 1805 r.); wszystkie serca szły ku niemu, sama wierzyłam, że nareszcie nieszczęsna moja Ojczyzna przez niego podniesioną będzie; już dotykaliśmy wcielenia tej szczęśliwości upragnionej. Ale cóż z tego, wszystko runęło. Od tego czasu jakże wiele uczyniliśmy dla podniesienia Polski. Odwaga bezprzykładna, poświęcenie aż do szaleństwa, na cóż się to przydało. Wydaje się, że Niebo i przeznaczenie jest przeciw nam...

„Ach, drogi mój przyjacielu, jestem zrażona przez nadmiar nieszczęść, nie potrafię już żywić nadziei. Toć nieszczęście, przesładujące Polskę, nawet w najdrobniejszych ujawnia się rzeczach. To uwięzienie Kluczewskiego, to opóźnienie, jakie stąd wynikało i spowodowało, że Rada (ministrów) i Konfederacja opuściły Warszawę! Ten biedny Mostowski narażony jest na zemstę Napoleona, nic on jeszcze nie wie o wzięciu papierów i wybiera się do Francji po swoją żonę i dzieci. Bóg wie, co go czeka. Trwożę się okropnie o Mat(uszewicza). Widzę wszystko w czarnych kolorach i mniemam, że reszta mego życia pełna będzie smutku. Powiedz cesarzowi, jak serdecznie nas wzruszył przypiskiem swego listu, gdzie mówi o nas i dzieciach naszych. Ach, gdybyśmy go mogli ujrzeć jeszcze w Puławach, ujrzeć jako króla Polski, Polski szczęśliwej i oddychającej nareszcie po tylu nieszczęściach, zawołalibyśmy wszyscy: oto nasz zbawca, oto ten, który przywraca do życia, do szczęścia. Jakże piękną mógłby on odegrać rolę, w jakimże do innych kontraście! Inni niweczą, on byłby podnosił. Przyszłe pokolenia korzystałyby z jego dobrodziejstw...

„Skoro tylko będziesz mógł, daj nam o sobie wiadomość... Szanuj swoje zdrowie, pamiętaj, że od niego zależy moje własne... Pani Zamoyska jest w Krakowie, ale ciągle pragnęłaby tutaj przybyć... brat Twój (ks. Konstanty) czekał tu tylko, aby zawieźć Twoją ekspedycję do Krakowa. Wyjeżdża on jutro ze wszystkim, coś nam przysłał, wyborny z niego człowiek. Kropiński (generał) był bardzo chory, ale teraz jest lepiej, poświęcił on

wszystko dla dobrej sprawy, gdyż nie wrócił (do Rosyi), aby Ci móżdż zawieźć, co tylko tutaj nam przysłanem będzie z Krakowa i Piotrkowa... Kończę, kochany przyjacielu, przyciskając Cię do serca mego... jeszcze Cię ściskam z duszy. Zosia¹⁾ bardzo, bardzo kłania.“

Teraz dopiero, pod koniec lutego, ks. Konstanty Czartoryski z oryginalnym listem Aleksandra wyjechał z Sieniawy. Wobec wielkich trudności, wynikających bądź z przeszkód rozmyślnie stawianych przez władze pograniczne i wojskowe austriackie, bądź ze stanu wojennego, w jakim znajdował się kraj cały po drugiej stronie kordonu, a zarazem wobec konieczności unikania wszelkich niepożądanych rewizyj ze względu na wieziony cenny dokument, podróż jego ze znacznym odbyła się nakładem drogi i czasu. Tym sposobem dopiero w początku marca dostał się on nareszcie do Krakowa²⁾, gdzie tegoż dnia nakoniec, 5 marca 1813 r., t. j. z dwumiesięcznem blisko opóźnieniem, autentyk pisma cesarskiego z 13—15 stycznia t. r. złożony został przez niego w ręce rządu Księstwa Warszawskiego.

VI.

Zaroilo się tymczasem w cichym Krakowie. Stara, spokojna stolica nieznanem dotąd, gorączkowem zawrzała życiem. Tutaj, od lutego 1813 r. było na czas krótki jedyne jeszcze schronisko, był doraźny ośrodek wszystkiej Polski. W Warszawie, na całym niemal obszarze Księstwa Warszawskiego, rządził już generał-gubernator i władze wojskowe rosyjskie. Litwa, z powrotem oparowana przez Rosyan, już doświadczała skutków represyi odwetowej za przelotną chwilę złudzeń. Odwetem dyszały Prusy, podające otwarcie rękę rosyjskiemu zwycięzcy na odebranych sobie terenie podziałowym polskim; represyą pachniało już nawet w Galicyi. Ze wszech stron zalanej przez nieprzyjaciół ziemi polskiej zbiegali się rozbitkowie ku jedynej, wystającej jeszcze ponad to-

¹⁾ Zofia Matuszewiczówna, przeznaczona podówczas na żonę ks. Adamu.

²⁾ Polska a Europa, „Bibl. Warsz.“ (1909), Dziennik Czartoryskiego (Warszawa) 16 marca 1813 r.: „listy z Krakowa, gdzie mój brat dopiero 5 marca stanął. Opóźnienie straszne...“ Por. całkiem odmiennie Smolka, II, 215, 217, 540, jakoby ks. Konstanty przybył do Krakowa „między 17 a 22 lutego,“ „przed Poniałowskim“ (t. j. przed 20 lutego) i t. d.

pielą stolicy podwawelskiej. Tutaj zgromadziły się naczelne władze cywilne i wojskowe, przedstawiciele wszystkich niemal wybitniejszych rodzin polskich, a obok głów poważnych mnóstwo też młodzieży, zwłaszcza zaś dobór młodzieży wojskowej. Wszystko stłoczyło się naraz w małej, odciętej obecnie od reszty kraju, mieścinie krakowskiej, wśród okoliczności tak niezwykłych, tak okropnych, zarówno dla prywatnego jak publicznego losu, wśród powszechnej świeżej w każdym niemal domu żałoby po zabitej, rannej albo w niewolę wziętej ofierze wyprawy moskiewskiej, w oczekiwaniu nowych bez końca ofiar, w obliczu dopełniającej się straszliwej klęski, może ostatecznej już po wszystkie czasy zagłady sprawy narodowej. I rzecz szczególna, psychologicznie rozumiała zapewne, a przecież widok niewątpliwie dotkliwy, bolesny,—w tych duszach uciśnionych troską i smutkiem, pod grozą zwalającej się nieuniknionej katastrofy, niby przez reakcję przedśmiertną, budziła się jakaś szalona, niezdrowa, rozpaczliwa wesołość, jakiś nastrój karnawałowy *in extremis*, jakgdyby ci *morituri* pragnęli z głową podniesioną, uśmiechem na ustach pożegnać się z bytem własnym i narodowym.

„Zaczął Kraków być tak ludny, tak luzny i szumny,—zapisuje w pamiętnikach swoich jeden ze świadków naocznych tego dziwnego karnawału krakowskiego 1813 r., Józef Krasieński ¹⁾—jak nigdy jeszcze nie był i pewnie nie będzie... Tej zimy, a nawet w poście, bal następował po balu, obiad wielki po wielkiem śniadaniu, a nawet feta publiczna po drugiej fecie... Było to nawet może trochę nieprzyzwoicie, ile w tej chwili, gdy my, utraciwszy w boju tylu kolegów, przyjaciół, jeszcze teraz tracimy i byt ojczyzny, do której ostatniego zakątka widzimy się być zapędzonymi.“ „Przez trzy miesiące, w których wojska polskie zbroiły się w Krakowie—opowiada inny świadek pamiętnikarski, Koźmian Kajetan ²⁾—stolica ta w smutnem położeniu kraju przedstawiała najszcześniejszą i najweselszą postać. Codziennie obiady, szlichtady, kawalkady, wieczory, bale, co wszystko na umysłach poważniejszych bolesnem uczuciem odbijało przy widoku z wałów czatów i spis kozackich, prawie o milę od Krakowa dostrzeganych, przy widoku niedostatku kas publicznych, nędzy prostych żołnierzy, nieporządku i nieładu w szpitalach, z których po no-

¹⁾ Rękopisemne Pamiętniki Józ. hr. Krasieńskiego 1783—1842 (Arch. rodzinne hr. Krasieńskich, Radziejowice).

²⁾ K. Koźmian: Pamiętn., II (1858), 286 sq.; por. Ant. Ostrowski, Żywot Tom. Ostrowskiego, II (1873), 332 sq.

cach trupów wywożono i gubiono po drodze, tak, iż zdarzało się, że tancerze, powracający z balów w nocy, po ciemnych ulicach potykali się na nich. Nie można było żadnemi uwagami i przestrogami wstrzymać niepojętego szału tej ginącej Jerozolimy...“

Należy jednak zwrócić przytem uwagę na jedną, niepozbaną tu znaczenia okoliczność. Obok zaznaczonego czynnika psychologicznego, wchodził tu również w grę poniekąd czynnik polityczny. Przedstawiciel rządu francuskiego w Krakowie — a był nim obecnie, po usunięciu przez Napoleona lichej i podejrzanej figury ks. Pradta, dzielny i ruchliwy Edward Bignon — nie bez pewnej słuszności uznawał za niezbędne wszelkimi środkami zapobiegać upadkowi ducha wśród zgromadzonych w Krakowie rozbitków polskich i w tym mianowicie celu rad był chwycić się takich nawet sposobów, jak sztuczna podnieta zewnętrznych parad i zabaw towarzyskich. Dlatego też samo przybycie uchodzącego z Warszawy rządu Księstwa do Krakowa odbyło się pod postacią istnego „wjazdu tryumfálnego,“ przyczem prefektowi krakowskiemu, Stanisławowi Wodzickiemu, wyraźnie nakazano zgotować dla wjeżdżających ministrów warszawskich przyjęcie uroczyste, wykomenderowano kompanię gwardyi narodowej miejskiej, kilka chorągwi cechowych, gminę żydowską krakowską z baldachimem, słowem całą sztuczną urządzono paradę. Częste odtąd huczne przyjęcia u Bignona, wielki bal miasta Krakowa na dniu św. Józefa dla Poniatowskiego i wojska polskiego w Sukiennicach, wspaniała uczta dla rządu Księstwa w Wieliczce z muzyką i fajerwerkami i t. p. fety urządzone były w takim mianowicie, ściśle określonym celu politycznym, z inicjatywy przedstawiciela Francji. Natomiast cały ten, dość nienaturalny zapewne nastrój świąteczny najmocniej był brany za złe, najostrzej wytykany i potępiany, nie dla samej tylko zasady, lecz również poniekąd dla ściśle określonych, tylko wprost przeciwnych pobudek politycznych, w kole tych mianowicie osób, zgromadzonych wtedy na przymusowym w Krakowie postoju, wśród których nurtowała w cichości myśl porzucenia corychlej upadającej sprawy napoleońskiej i powierzenia losów swoich i narodu w ręce Aleksandra. W tych sferach, rzecz prosta, życzone sobie jaknajbardziej trzeźwego, wolnego od wszelkich złudzeń, nawet raczej pesymistycznego poglądu opinii publicznej polskiej na położenie narodu i Francji, aby właśnie tym sposobem łatwiej utorować drogę planowanemu radykalnemu nawrotowi od Napoleona ku Aleksandrowi; i dlatego też tutaj ze szczególną surowością piętnowano sztuczne sposoby podniecające Bignona, udział w zabawach krakowskich

Poniatowskiego i t. p. „Jeden dom państwa Zamoyskich, — jak z pochwałą podnosi Koźmian — chociaż się udzielał niemogącym być uniknionemi zabawom, u siebie żadnych nie dawał... nie wszyscy więc dzielili krakowskie odurzenie.“ Owóż w tej trzeźwości była spora doza polityki, — zupełnie tak samo, jak wręcz naodwrot, po latach kilkunastu, w Warszawie Królestwa Kongresowego, w dobie śledstw spiskowych, kiedy tenże Stanisław Zamoyski pod naciskiem okoliczności wyprawiać musiał bale, na które boczył się Sejm i opozycja. Obecnie, w Krakowie, tak samo odpornie, jak Zamoyski, zachowywali się także i inni, działający z nim ręką w rękę ministrowie, a nawet niektórzy wybitni wojskowi, gotujący się do ustąpienia z szeregów wojska polskiego, jak generał Kniaziewicz i wielu innych. Z zachęty tych to kół, zbliżony do nich sekretarz generalny Konfederacji, Kajetan Koźmian, który jeszcze przed wyjazdem z Warszawy został poczęści wtajemniczony przez Matuszewicza w podjęte z Rosyą rokowania, napisał bezimiennie wiersz satyryczny „Na tańczący Kraków,“ godzący i w Bignona i w Poniatowskiego, a zmierzający nie tylko do tego, aby *castigare mores*, lecz niepomahał także do osiągnięcia pożądanego otrzeźwiającego efektu czysto politycznego.

Tymczasem dla tego zamkniętego w Krakowie światka politycznego gotowała się niespodzianka nielada. Niespodzianka sensacyjna, i to zarówno dla tych osób niewtajemniczonych, które wogóle żadnego dotychczas nie miały pojęcia o prowadzonej od przeszło trzech miesięcy akcji zakulisowej polsko-rosyjskiej, jako też dla tych uczestników owej akcji, którzy jeszcze łudzili się nadzieją utrzymania jej w sekrecie. Czy niespodzianka ta istotnie przyszła z Wiednia? To byłoby napozór przypuszczenie najprostsze. Jednak przy bliższem w rzecz wejrzaniu okazuje się ono daleko mniej pewnem. W Wiedniu wprawdzie nie zasypiano sprawy. Uczyniwszy szacowne odkrycie zabranych Kluczewskiemu papierów, nie omieszkano w drodze dyplomatycznej zrobić z nich należytego użytku w gabinetach mocarstw. I ostatecznie, byćby mogło, iż uznano tam również za stosowne rzucić to odkrycie, niybombę, do samego obozu polskiego w Krakowie, aby tam z kolei wywołać postrach i zamieszanie. Jednakowoż przeciw takiemu wiedeńskiemu pochodzeniu niebawnej siurpryzy krakowskiej zdawałyby się dobitnie przemawiać dwa względy, jeden negatywny, drugi pozytywny. Popierwsze, brak wszelkiego źródłowego dowodu w dochowanej najtajniejszej korespondencji Metternicha, Hagera, Goessa, Bauuma, Reussa i t. p., ażeby inicjatywa tym razem wyjść miała od którejkolwiek naczelnej władzy politycznej,

policyjnej lub wojskowej austriackiej. Powtóre, nie może ulegać żadnej zgoła wątpliwości, że, w samym przynajmniej wykonaniu, była tu w grze ręka polska. Coprawda, pierwszy wzgląd położnicze tylko posiada znaczenie, gdyż część dokumentów piśmiennych, dotyczących niniejszej epoki i wielu związanych z nią nieczystych interesów, została następnie bądź usunięta z archiwów wiedeńskich i lwowskich, bądź całkiem zniszczoną; gdyż zresztą tego rodzaju interesa zazwyczaj załatwiane bywają przeważnie przez dyspozycje ustne, nie pisemne; gdyż pozatem władzom wiedeńskim mogło zależeć na zatarciu swojego w podobnych rzeczach udziału. Z drugiej znów strony, z uwagi, że odkrycie papierów Kluczewskiego było wiadomem w gubernium lwowskiem oraz w ministeryum policyi i kancelaryi nadwornej wiedeńskiej, nie jest przeto bynajmniej wyłączone, że mogło ono dojść do wiadomości niektórych Polaków, bądź w Wiedniu, gdzie znajdowała się wtedy liczna kolonia polska, bądź we Lwowie zamieszkałych, wśród których nie brakło ludzi, mających porachunki osobiste z własnymi spółrodakami a zwłaszcza z domem Czartoryskich. Mogłyby więc ostatecznie w tym wypadku zejść się obadwa czynniki, zjadliwa inicjatywa austriacka oraz zawzięta a usłużna gotowość polska. Aliści, po dojrzałem rozważeniu wszelkich za i przeciw, nie z tej podobno strony szukaćby należało prawdziwego klucza tej ciemnej afery. Wypadałoby podobno poszukać tego klucza całkiem gdzieindziej. Pozostawałoby mianowicie—ściśle zresztą hypotetycznie, skoro absolutnej pewności dobić się tutaj niema sposobu,—na sam koniec zatrzymać się i dobrze zastanowić nad jedną jeszcze najwykrętniejszą, „najcieńszą“ ewentualnością. A więc poprostu nad ten: że któryś ze skompromitowanych przez wypadek Kluczewskiego statystów warszawskich mógł mieć swoje wyrachowanie, aby odsłonięcie niedającej się już długo utrzymać tajemnicy odbyło się przynajmniej w porze i formie najmniej niebezpiecznej, narażającej możliwie najmniej osobistą jego odpowiedzialność, otwierając mu zarazem dogodną sposobność do uniewinniającego zawczasu tłumaczenia się a tem samem uniknięcia gorszych w następstwie skutków.

Tak czy owak, w początku marca 1813 r. rozegrał się w Krakowie epizod następujący. 5 marca o godzinie 10 wieczorem,—t. j., godny bądźcobądź uwagi zbieg okoliczności, wieczorem tego samego dnia, kiedy przybył do Krakowa Konstanty Czartoryski z oryginałem listu Aleksandra i dokładnemi szczegółami wypadku Kluczewskiego,—w mieszkaniu Bignona, za nieobecnością posła znajdującego się właśnie na balu w Sukiennicach, stawił się jakiś

nieznajomy i doręczył jego kamerdynerowi list zapieczętowany do oddania posłowi do rąk własnych. List ten, bezimienny, datowany był z Tarnobrodu, 25 lutego 1813 r. Pisany był na grubym ordynarnym papierze niebieskim, okropną ortografią francuską, lecz mimo to tak płynnym stylem francuskim i z tak skondensowaną zwięzłością i celowością treści, iż najwidoczniej lichy gatunek papieru i grube błędy ortograficzne były maską umyślną, mającą zasłonić w autorze listu człowieka z towarzystwa, *comme il faut*. Bezimienny korespondent zawiadamiał Bignona o szczegółach uwięzienia Kluczewskiego i zabrania mu wiezionych od Aleksandra papierów. Odkrywał zarazem tajne układy ministrów warszawskich z Czartoryskim i cesarzem rosyjskim; oskarżał imiennie Matuszewicza, Mostowskiego, Zamoyskiego oraz—fałszywie—Łubieńskiego. Najmocniej widocznie godził w Matuszewicza; odsłaniał, między innymi, tajne jego stosunki i konszachty, prowadzone oddawna z generałem rosyjskim, Czaplitem, z armii Czeczagowa. Ponadto o udział w intrygach antynapoleońskich i zdradzieckich z Czartoryskimi knowania oskarżał saskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Senffta, i to znowuż przy bezpośrednim przyczynieniu się Matuszewicza. Była to rewelacya nadzwyczaj ciekawa, całkiem zresztą prawdziwa, a wyraźnie pochodząca już nie z informacji wiedeńskich, lecz z własnej, głębszej znajomości stosunków, cechującej bezimiennego korespondenta i niechybnie demaskującej w nim Polaka: gdyż w istocie Senfft czynnie był uczestniczył we wcześniejszych najtajniejszych spiskowych knowaniach przeciwnapoleońskich z końca 1810 i początku 1811 r.¹⁾ „Wiedz Pan jeszcze,—tego mało znanego szczegółu nie omieszkaj dodać w tem miejscu doskonale widać informowany korespondent—że p. Senfft jest kreaturą Matuszewicza; dom puławski (Czartoryskich) przez tamtego (Matuszewicza) umiał sobie jego (Senffta) zobowiązać, udzieliwszy mu nader hojnego odszkodowania za pewną małą pretensyę spadkową, do której żona jego (Senffta), jako spokrewniona z domem Flemingów (t. j. z rodziną księżny Izabeli Czartoryskiej), miała pewne prawa.“ Wreszcie bezimienny informator szedł tak daleko, iż rzucał posądzenie nawet na niektórych urzęd-

¹⁾ Por. Senfft, *Mémoires* (1863), 121 sq.; ks. Józef Poniatowski, 305. O tych stosunkach musiano co nieco wiedzieć w kołach warszawskich, jak świadczy ciekawy fakt, iż młody Skrzynecki w 1811 r. po protekcyę do Senffta udawał się do—ks. Adama Czartoryskiego; por. Łukasiński, II, 394. Znajomość z Czaplitem mogła datować się z przed lat 20, kiedy ten, jako major, działał w tajnej policji warszawskiej Igelstroma w 1794 r.

ników samejże ambasady francuskiej, przyczem znowuż zresztą wykazywał bądź głęboką znajomość stosunków, bądź też wężł godny uwagi. „Muszę Pana uprzedzić, — pisał — że w otoczeniu Pańskim znajdują się osoby, nie zasługujące na zaufanie Pańskie, ... szczególnie p. de Broglie. Mam powody bardzo poważne, aby Pana o tem przestrzedz i radzić Panu, żebyś w sprawach polskich porozumiewał się jedynie z pp. Lajard i Miège.“¹⁾

Bignon, powróciwszy do domu późno w nocy i zastawszy tę dziwną epistołę, nie mógł oczywiście denuncyacyi bezimiennej dać pełnej wiary, ale bądźco bądź uznał ją za tyle interesującą, że zakomunikował ją w całości swemu ministrowi spraw zagranicznych, ks. Bassano, w załączniku do depeszy, jaką nazajutrz wystosował do niego do Paryża; pozatem zresztą żadnych innych nie przedsiębrał kroków. Ale bezimienny korespondent nie dał tak łatwo za wygraną. W tydzień potem, 12 marca t. r., do jednego ze zbliżonych do Bignona urzędników, wyżwymienionego Miège, dyrektora domen ekstraordynaryjnych Księstwa, zgłosił się ponownie ów nieznajomy i doręczył mu liścik do niego adresowany, wraz z pakietem zamkniętym, przeznaczonym dla Bignona. Liścik do Miège brzmiał: „T. V. F. (= *très vénérable frère*) Miège, jesteś proszony o doręczenie p. Bignonowi osobiście i natychmiast załączonej popyłki, gdyż mieści ona rzeczy nader ważne. Dla zapewnienia mnie, że doszła ona rąk Pańskich, zechciej dać mi znak przez wywieszenie na oknie mieszkania Twego, w przeciągu dni trzech zrzędu, Twojej dekoracyi (wolnomularskiej) siódmego stopnia. To mnie zachęci na przyszłość.“ Zaznaczyć należy, że Miège, Francuz oddawna w Warszawie zamieszkały, szczerze do Polski przywiązany, od szeregu już lat należał do kierowników dawniejszych formacyj wolnomularskich francuskich w Polsce, potem do Wielkiego Wschodu Narodowego polskiego, w szczególności zaś do potężnej loży Braci Zjednoczonych, piastował najwyższy siódmy stopień wolnomularski i godność Kawalera Różanego Krzyża, zresztą człowiek zupełnie pewny, sprawie polskiej i napoleońskiej zarazem szczerze oddany. W dołączonej ekspedycyi, doręczonej przez niego zaraz Bignonowi, mieścił się list bezimienny tą samą ręką na tym samym papierze pisany, tym razem bez daty i miejsca, precyzujący z daleko większą ścisłością poprzednie rewelacye dotyczące Czartoryskiego i Matuszewicza, z przydatkiem nowych, nader ciekawych szczegółów, poczęści nawet informacyj o stanie

¹⁾ X. do Bignona, Tarnogród 25 février 1813 (oryginał w Arch. du ministère des Affaires étrangères, Paris).

rzeczy w zajętej przez Rosyan Warszawie. Ale, co szczególnie musiało zaciekawić Bignona, co dopiero nadawało smaku i znaczenia całej tej aferze, to były załączniki, towarzyszące niniejszemu drugiemu pismu anonimowemu. Znajdował się tu mianowicie nasampierw, w dosłownej kopii, cały długi list Aleksandra do Czartoryskiego z 13—15 stycznia 1813 r., posłany przez Kluczewskiego, z wyjątkiem tylko przydanego przez cesarza odpisu oferty Mostowskiego. Prócz tego znajdowały się tutaj: kopia „instrukcyi“ skreślonej przez Matuszewicza, oraz kopia „informacyi“ wyprawionej z Sieniawy po wyjeździe potajemnym ks. Adama za kordon rosyjski.¹⁾

¹⁾ X. do Mięga b. m. i d., z podpisem „Schowah“ (lub Schiwah); por. o Mięgu, Łukasiński, I, 209; X. do Bignona b. m. i d.; kopia listu Aleksandra do Czartoryskiego, Lejpuny 1 (13), Krasnopol 3 (15) janv. 1813; Copie de l'instruction donnée par le ministre du trésor Matuszewicz: „1. Continuer la marche financière dont la direction restera dépendante de la volonté générale tant que mon suppléant (= dyrektor generalny skarbu, radca stanu Józef Łuba) tiendra le gouvernail qu'il ne veut pas garder longtemps. 2. Jamais rien écrire à mon adresse. 3. Préparer le *banquier* (= ks. Józefa) et tâcher de le rendre docile et prêt à l'arrangement, et donner le même esprit à ses dépendants. 4. Il serait très nécessaire de trouver moyen d'empêcher l'accroissement de *l'argent* (=wojska; ten szczegół najmocniej obciąża odpowiedzialność Matuszewicza pod względem narodowo-politycznym), vû que la quantité ferait fonds de l'assurance. 5. Tâcher surtout de disposer bien les personnes qui ont ascendant sur l'esprit du *banquier* (ks. Józefa) et celles qui sont en droit de disposer en son nom de *l'argent*“ (wojskiem; znów szczegół bardzo drażliwy, gdyż chodzi tu widocznie o spowodowanie generalów podkomendnych do działań na własną rękę); Copie de l'information envoyée de Sieniawa après la fuite du pce Czartoryski: „1. Répondre définitivement aux observations et demandes faites par le *plénipotentiaire* (= ks. Adama) et envoyer cette réponse le plus tôt possible ici. 2. Avertir les personnes de l'accident fâcheux (t. j. z Kluczewskim) afin qu'elles se préparent à temps aux réponses pour le cas qu'elles fussent questionnées. 3. Envoyer ici sans délai un pleinpouvoir en forme et signé pour traiter; et puisque la confédération est la seule autorité indépendante, libre et ayant le droit d'agir et de donner des ordres à tout le monde et aux troupes aussi, c'est donc d'elle que dépend tout et c'est elle qui peut déléguer les pouvoirs aux autres. Il faut se souvenir de ça que des choses comme cela doivent se faire vite, avec courage et tout de suite se faire et s'effectuer, ou il ne fallait pas commencer du tout. Il n'y a plus le temps d'hésiter; après le triste accident de Kluczewski on doit réfléchir sur ce qui se fait et sur ce qui se fera. Que l'on prend en considération que, lorsque tout le pays sera occupé par les Russes, tous les habitants seront pour Alexandre à cause de la bonne conduite de ses troupes, de l'espoir du”

Kto był ów bezimienny korespondent? Można na to nader ciekawe pytanie odpowiedzieć jedynie domyślnie, nie twierdząco. Był napewno Polak, był wybitny mąż polityczny, był z tej samej sfery towarzyskiej, co demaskowani przez niego naczelni statyści polscy. O tem świadczyła dostatecznie jego wyborna, niedostępna dla osoby poza tą sferą, poza rządem, dla cudzoziemca, znajomość stosunków i ludzi. Człowiek ten nadsyłał trzy dokumenty najpoufniejsze: list Aleksandra, zapiskę Matuszewicza, odezwę z Sieniawy. Z tych trzech dokumentów Austriacy, ile wiadomo, posiadali jedynie pierwszy, nie mieli dwóch ostatnich. Ale wszystkie trzy dokumenty posiadano w Krakowie. Mieli je mianowicie w ręku wtajemniczeni ministrowie Księstwa. Dwa ostatnie dokumenty posiadali oni oczywiście bezpośrednio; pierwszy zaś, list Aleksandra, był im dopiero co doręczony w oryginale pośrednio, drogą na Dubno i Sieniawę, przez Konstantego Czartoryskiego, przybyłego 5 marca do Krakowa. Lecz niedość na tem. Austriacy wraz z listem Aleksandra zdobyli wszak dołączony doń przez cesarza odpis oferty warszawskiej Mostowskiego. Gdyby więc oni to obecnie podjęli się oświecać Bignona, to niewątpliwie wraz z listem cesarskim posłaliby i ten szacowny dodatek, którego schować przed posłem francuskim żadnego nie mieliby powodu. Owóż, rzecz ze wszechmiar zastanawiająca: owego właśnie dodatku, owej kapitalnej, podpisanej pełnem nazwiskiem Mostowskiego, oferty warszawskiej brakło zupełnie wśród załączników, dostarczonych Bignonowi przez uprzejmego anonima. Oskarżał on w czambuł kilku naraz ministrów warszawskich a wśród nich nawet Bogu ducha winnego Łubieńskiego. Obciążał mocno Zamoyskiego. W szczególności jaknajmocniej pograżał Matuszewicza, nieobecnego już w Krakowie, znajdującego się wtedy mianowicie—co w tym związku z naciskiem podnieść należy,—przy Napoleonie w Paryżu. Natomiast, o dziwo, z wyrozumiałą dyskrecją chował on ów dokument najbardziej

commerce, de la réunion avec les Polonais dépendants de la Russie et par espoir de devenir une nation. Dans ce cas le gouvernement et les troupes, s'ils se tenaient aux Français, resteraient tous seuls et deviendraient vagabonds ou feraient la guerre domestique. Si le gouvernement et la confédération sont pour Napoléon, toute la nation sera contre eux. On n'a donc qu'à réfléchir sérieusement et surtout la confédération avec son regimentarz (Poniatowski) doivent peser bien la chose; tout dépend d'eux. (3). Arranger le plus tôt possible les moyens de communication." Z tych dwóch ostatnich dokumentów pierwszy czyni wrażenie całkiem autentyczne i zdaje się istotnie pochodzić od Matuszewicza; drugi, sądząc ze stylu, wygląda na operat Kropińskiego.

kompromitujący, podpisany pełnem nazwiskiem przez jednego ministra warszawskiego, i stosunkowo najłagodniej obchodził się z tym właśnie ministrem, który w całej demaskowanej tak skwapliwie tajnej akcji polsko-rosyjskiej odgrywał od samego początku rolę najwydatniejszą, najczynniejszą: z Mostowskim. Z tym biednym, zaiste godnym pożałowania Mostowskim, który najwięcej miał słusznych do trwogi pobudek. Który zapędził się najwcześniej i najdalej w sangwiniicznych na Rosyę widokach. Który teraz niemile został otrzeźwiony ogólnikowem brzmieniem przywiezionego z Sieniawy pisma cesarskiego. Który zarazem, po przyniesionych stamtąd równocześnie bliższych szczegółach zaszłej z tem pismem brzydkiej przygody, nabywał zupełnej pewności, że tajemnica, wiadoma już w Wiedniu, musi bezwarunkowo wystrzelić w Paryżu. Który miał aż nadto powodów liczyć się z Paryżem, mając rodzinę i majątek we Francyi. Który trafnie mógł przeczuwać, iż jeśli tam, w Paryżu, wezmą na spytki Matuszewicza, to ten nie omieszka oczywiście całej winy zwalić na niego, Mostowskiego. Krótko mówiąc, z tych wszystkich konsyderacyj, obok niektórych innych, o jakich niżej będzie mowa, a przede wszystkim z tamtej drobnej a osobliwszej okoliczności, z uderzającego w owej posyłce anonimowej braku oferty warszawskiej, przez Mostowskiego podpisanej, wyłania się dość niespodziane, prawie zabawne przypuszczenie: czyli czasem nie kto inny, jeno właśnie sam nieborak Mostowski nie miał ręki w niniejszej aferze anonimowej, która właściwie główną winę z jego pleców zwałała na Matuszewicza i Zamoyskiego, krzyżowała nieuniknione podobne odkrycie wprost z Wiednia w Paryżu przewidywane, i pozwałała Mostowskiemu, nie zwlekając dłużej, zaraz z góry, w miejscu bezpiecznem, w samym Krakowie, wytłómaczyć się przed posłem francuskim a za jego pośrednictwem przed Napoleonem?

Mostowski mógł powziąć tę sprytną myśl asekuracyjną wnet po przybyciu Konstantego Czartoryskiego 5 marca 1813 r. i zaraz wieczorem posłać pierwszy list anonimowy. Czytał on już niezawodnie tegoż dnia oryginalne pismo Aleksandra, choć mógł jeszcze nie mieć w ręku dosłownej kopii tego długiego pisma; zresztą najprostsza oczywiście ostrożność nakazywała w każdym razie z posłaniem go Bignonowi wstrzymać się jeszcze o dni kilka. Skoro zaś Bignon, pomimo pierwszego anonimu, siedział cicho, nie odzywał się, tedy po tygodniu posłane mu zostały dokumenty, które istotnie celu dopięły, gdyż, jak niżej się okaże, doprowadziły do pożądanego rozmówienia się. Podanie „Tarnogrodu“ w Galicyi oraz wczesnej daty „25 lutego“ na pierwszym anonimie

z 5 marca, prośba w drugim anonimie z 12 marca o wywieszenie umówionego znaku „w przeciągu dni trzech“ i t. p. dowcipy, miały widocznie na celu wywołać wrażenie, że bezimienny korespondent znajduje się daleko poza Krakowem, że nie należy go, broń Boże, szukać w samem mieście, tuż pod bokiem, w osobie np. ministra spraw wewnętrznych. To wszystko—raz jeszcze zastrzega się najwyraźniej, — ofiarujemy nie jako twierdzenie, lecz jedynie jako hipotezę. Dlatego też, wbrew zwyczajowi naszemu, kładziemy wszelkie *pro* i *contra*, całą kuchnię argumentów i wątpliwości metodycznych, pod własne rozeznanie czytelnika. Ale wyznajemy, że ta hipoteza przemawia nam do przekonania. Wysoko cenimy wcześniejsze i późniejsze Mostowskiego zasługi. Jednakowoż tutaj on się pośliznął. Poblądziwszy w punkcie wyjścia, musiał pośliznąć się w konsekwencyach. Albowiem w tem jest odwet wszelkiej dobrej sprawy publicznej nad złą, że konsekwencye pierwszej, choćby były nieszczęśliwe, zawsze będą czyste; konsekwencye drugiej, choćby były fortunne, zawsze mogą być szpetne. Mostowski okazał dużo sprytu; jego kombinacya anonimowa była śmiała i zgrabna. Ale chybił w drobnostce, eskamotując własną podpisaną przez siebie ofertę, której posłać nie miał dość siły, dość odwagi, dość finezyi. I przez tę drobnostkę się zdradził,—nie przed współczesnymi, których całkowicie wywiódł w pole, lecz przed dzisiejszym sądem historycznym. Udało mu się aż do końca wywieść w pole mądrego Bignona i ostrożnych współkolegów. Mielibyśmy ambicyę, że nie udało mu się zmylić nauki dziejowej, pośmiertnego sumienia narodowego.

VII.

Bignon, mimo całą właściwą sobie wytrawną, wstrzemięźliwą rozwagę, po otrzymaniu tej drugiej rewelacyi, tak niezwykle popartej dowodami, stropił się niepomału. W depeszy, wysłanej niezwłocznie do francuskiego ministra spraw zagranicznych, ks. Bassana, dołączając odpis owych sensacyjnych załączników i opatrząc je obszernym, wikliwym komentarzem, tak się wyrażał: „Być może, korespondent anonimowy myli się w swoich zapatrywaniach, poddaje się niesłusznym uprzedzeniom i błędne wyprowadza wnioski: jednakowoż wyznać muszę Waszej Ekscelencyi, że jestem wcale skłonny wierzyć w autentyczność listu, przypisywanego cesarzowi Aleksandrowi. Ten list wydaje mi się no-

się na sobie uderzające piętno prawdy. W przeciwnym razie należałoby ze strony falsyfikatora przypuścić nadzwyczajną głębokość sądu, doskonale znawstwo rzeczy i osób. Nie znam w Księstwie nikogo, kto posiadałby dosyć zręczności do ułożenia pisma tak wybornie przystosowanego do okoliczności i do danej ściśle daty, kto posiadałby zarazem dosyć giętkości umysłu, aby własnemu stylowi nadać wszelkie rzeczywiste odcienie charakteru cesarza Aleksandra, ową właściwą mu mieszaninę woli i chwiejności, owo akcentowanie swoich pragnień osobistych a zarazem przeszkód, jakich obawia się ze strony nacyonalistycznego ducha rosyjskiego, ów wreszcie wyłot uczuciowości (*ce trou de sentiment*) nietyle cesarskiej, ile osobistej, która zdaje się być rysem charakterystycznym tego monarchy.“ Z obostrzoną czujnością oglądając się dokoła siebie, Bignon równocześnie zawiadamiał Bassana o przybyciu ks. Izabeli Czartoryskiej z Sieniawy do Tarnowa, dokąd zaraz, dla powitania teściowej, udał się z Krakowa Stanisław Zamoyski, a następnie, pod pozorem interesów wzywających go do Lwowa, również i Aleksander Potocki, syn Stanisława, prezesa ministrów.¹⁾

Ostrożny Bignon, żywiąc dopiero poważne podejrzenia, nie mając jeszcze pewności, mając bądźco bądź do czynienia z anonimem, wstrzymywał się ciągle z przedsięwzięciem jakichkolwiek z tego powodu kroków lub zarządzeń. Ta jego do czasu dyskretna wstrzeźliwość zdawała się osobom najmocniej tu zainteresowanym być dowodem, że on jeszcze nie wie o niczem.

„...Przypadek z p. Kluczewskim—pisał Czartoryskiemu uspokajająco Zamoyski po powrocie z Tarnowa do Krakowa w połowie marca²⁾—nie zdaje się dotąd żadnych skutków pociągać, bądź że papiery dalej nie poszły, bądź że w sprawie opuszczonej nie obeszły lub przeciwnymi nie zdały się.“) My tu otoczeni wojskiem austriackim, które ten szczytek kraju dowoli wyniszcza; i mając prócz tego zawsze obradom naszym przytomnego pos(ła) f(rancuskiego), tudzież wszędzie szpiegowani przez niego, ani zupełnie wolno działać, ani bardzo z myślami naszymi rozprzestrzeniać się nie

¹⁾ Bignon do Bassana, Cracovie, 13 mars 1813 (Arch. d. Aff. étrang., Paris).

²⁾ Zamoyski do Czartoryskiego, K(raków), 15 m(arca) 1813 (Arch. rodzinne Czartoryskich, j. w.).

³⁾ T. j. nie obeszły Austrii i nie wydały się przeciwnymi jej dążeniom, będąc skierowane przeciw sprawie napoleońskiej, już naprawdę przez Austrię opuszczanej.

możemy. Czy nie zdałoby się więc naprzód postarać, aby za wdaniem ces(arza) A(leksandra) Austriacy z kraju naszego całkiem wyszli? a wtenczas łatwiej nakłonilibyśmy *bankiera* naszego (ks. Józefa), aby z *gotowizną* swoją (wojskiem) spokojnie w tym kraju siedział i na wypadki do pewnego czasu zdaleka patrzył się. Tym sposobem komunikacye i układy z Warszawą i Kaliszem—(gdzie wtedy znajdował się Aleksander)—ostatecznie ułatwione a ta część *gotowizny* (wojska) w czasie dla tych, którzy sprzyjałliby się z nami (t. j. Rosyan), w całości zostaćby mogła. Jeżeli to uczynić się nie dało i nie było sposobu nakłonić Aust(ryaków) do ustąpienia, wtedy wojsko nasze, którego, wedle zalecenia *plenipotentą* (Czartoryskiego), dotąd nie wypuściliśmy, trochę później czy prędzej, bez pieniędzy i sposobu utrzymania się w okolicy ogłodzonej, pójdzie w rozsypkę, albo za zbliżeniem się Rosyan pociągnąć musi za granicę, którą już dla niego otwartą być Austriacy i Prusy oświadczyły. Ten zaś kraj do reszty przez wojska austriackie złupiony będzie.

„Oczywistą jest rzeczą i bardzo słusznie przez *pta* (Czartoryskiego) osądzoną, iż po zajęciu kraju nie rząd Księstwa, który bez króla niewiele znaczy, lecz Rada generalna Konfederacyi traktować i w układy wchodzić mogłaby. Gdyby Rada ministrów była została z przymusu w Warszawie, wtenczas z danej sobie od króla pełnomocnej władzy czynićby z miarą i roztropnością mogła: teraz, kiedy w mieście pogranicznym obskoczyć i zabrać ją niełatwo, musiałyby za zbliżeniem wojsk rosyjskich ujeżdżać za kraj, bo przejść do nich pod żadnym uczciwym pozorem nie może; a działać też samowolnie nie zdoła, póki ma otwarte z królem swym komunikacye. Tem mniej zaś zdaje się, aby alians między ces(arzem) i k(rólem, t. j. Księciem Warszawskim) miał być zawierany, że temsamem byt i trwanie K(sięstwa) byłoby uznane: nam zaś nie Księstwa lecz Polski się chce, a zatem takowy alians Konfederacya imieniem Królestwa Polskiego zawierać powinna.

„W tym celu najrzęczniejby wypadło, ażeby, skoro ją w chwili dojrzałej *plpt* (Czartoryski) wezwie, Rada konfederacka bądź w Krakowie, bądź udawszy się do miasteczka poblizkiego Beuthen lub Tarnowicy lub innego, do wyboru *plpta* (Czartoryskiego) być mogła. Do przymierza między nią a c(esarzem) zdaje się projekt gotowy w artykułach aneksu *a*, z wstępem przyzwoitym i z zawarowaniem wolności handlu morskiego. Za przyjęciem tych artykułów przez c(esarza) nastąpiłoby ogłoszenie onych narodowi przez Konfederacyę, wezwanie, aby się uzbroidł, nakazanie nareszcie, je-

żeli trzeba, pospolitego ruszenia, tudzież zalecenie wojsku Księstwa, aby już za Polskę się biło.

„Jednakże mniemamy wszyscy, iż do takiego traktatu przystępować nie należy i nie można, dopóki dalsze postępowanie Austrii a przynajmniej Prus wyjaśnione i na stronę c(esarza) A(leksandra) zapewnione nie będzie. Tu zastanówmy się nad stopniem, w jakim teraz negocyacya nasza stoi, abyśmy jej zawczesną porywcznością nie zwątlili. Rzekliśmy byli w treści: iż gdy po zawojowaniu kraju naszego c(esarz) A(leksander) zechce przyjąć i ogłosić warunki przez nas o przywrócenie Polski pod berłem Jego podane, Polacy z nim będą. Na to c(esarz) A(leksander) odpowiada, iż z uwag podobno słusznych, które wyraża, teraz żądaniom naszym dogodzić, ani Polski ogłosić nie może; czyni nam ogólne i grzeczne obietnice, za które mu winniśmy ogólne życzenia; każe nam sobie pomagać, spokojnie czekając i dobrze Rosyan przyjmując, co chętnie wypełniamy; żąda po zajęciu kraju aliansu z Księstwem, zamiast którego, w czasie przyzwoitym, możemy ofiarować alians z Polską przez Radę generalną Konfederacyi wyobrażoną. Tak stoimy. W terażniejszym więc położeniu rzeczy zdaje się równie roztropną dla c(esarza) A(leksandra), jak dla nas, aby z deklaracyami się nie spieszyć, lecz patrzeć się cicho na wypadki przyszłe; stosownie do nich działać: dopóki bowiem c(esarz) A(leksander) nie może przyjąć propozycyi i warunków naszych, my posuwać się dalej, a zatem od nich zbaczać, nie możemy i nie powinniśmy. Wątpliwą nawet jest, czyliby do przyjęcia i ogłoszenia tych warunków chwila terażniejsza dogodną okazała się i czyby raczej interesa Jemu i nam przez porywczność się nie popsuły, gdyż opinia publiczna bardzo jest w tym momencie rozerwana i sprzeczna. Cierpliwie przeto czekać, jak c(esarz) w liście swoim pragnie, nam wypada. Słaby pomiędzy mocnymi powinien na pewno postanowienie swoje przedsiębrać, bo często mylić się nie potrafi. My c(esarzowi) A(leksandrowi) w zamianę Polski, przez niego przywrócić się mającej, nic dać nie możemy, prócz opinii publicznej i przychylności narodu: tych więc lekko narażać nie należy, aby ich nie postradać. Gdyby rząd był został zajęty w W(arszawie), inna postać rzeczy byłaby i śmielej postępować moglibyśmy.

„Z tych uwag *plpt* (Czartoryski) raczy dobrze roztrząsnąć, kiedy i w jakiej porze do rzeczywistej czynności przystąpić najdogodniej mu wypadnie. Umocowanie do ¹⁾ Rady generalnej Kon-

¹⁾ Powinno być widocznie: „od.“

federacyi dla niego każdego czasu otrzymane być może: radziłyśmy jednak, dla uniknienia zawczesnych plotek, nie przystępować do żądania i pozyskania onego, aż gdy *plpt* (Czartoryski) osądzi, że rzeczy są dojrzałe i że dadzą się ułożyć. Ze zaś tymczasem czynić bezpiecznie przy znanej swej roztropności wszelkie przygotowania może, o tem zapewne po nas nie wątpi.

„Osoby do pomocy chyba później, gdy do prawdziwego działania przyjdzie, potrzebne być mogłyby, i wtedy na żądanie *plpta* (Czartoryskiego) wynajdą się. Gdyby wojska austriackie stąd ustąpiły, mogłyby Rada Konfederacyi i w Krakowie działać. W każdym przypadku komunikacye prosto z Kalisza lub Warszawy przez umyślnych, byle pewnych i milczących, adresować do nas, pewniejsze i prędsze będą, niż przez Galicyę. Trzeba tu jednak uważać, iż z Warszawy pod d. 23 lutego nam donoszą: „W tych dniach przejeżdżał tędy p. Wicki, dawny oficer polski, z depezzami od ks. A(dama) C(zartoryskiego) do c(esarza) Aleksandra“—bez którego rozgłoszenia możeby lepiej się obeszło.

„Nakłonienie opinii Rosyan nam przeciwnych najdogodniej znalazłoby się w zawarciu przymierza, jak wyżej, i w ogłoszeniu cesarza królem polskim przez Konfederacyę. Proklamacya Jego wtedy byłaby już stosowną do traktatu; nasze zaś usprawiedliwienie wyłuszczylibyśmy w deklaracyi do c(esarza) Napoleona i do państw europejskich: lecz jeszcze raz powtórzyć się godzi, iż słabi na pewno tylko działać powinni.

„*Bankier* (ks. Józef) czytał korespondencyę przysłaną.¹⁾ Z natury nie skory do nadziei, ogólnym obietnicom nie wierzy; przestrzega w nich tylko *miękką wolę*, i mówi, lecz pewnie przesadza: „iż z nich przekonał się, że łudzą a Polski nie chcą i nie zrobią. Zresztą zaczynał mniemać, iż zadaleko Rosyanie zapuścili się, nie zabezpieczywszy tyłów; że zatem na wiosnę za przybliżeniem się Francuzów równie szybko cofać się a wtedy nieszczęsny kraj nasz ogniem i mieczem pustoszyć będą.“ Ten sposób widzenia jego terażniejszy może odmienić się z jaśniejszem rozwinięciem okoliczności; lubo dosyć znacznie w przewidywaniu różnimy się, sądzimy pewną rzeczą, iż ile mu honor i powinność jego stanu pozwolą, nie uczyni nic przeciwnego położeniu obecnemu. Z tem wszystkim, jeżeli kiedy *plpt* (Czartoryski) przekona się o bliższem i bezpiecznem przyjęciu żądań i warunków podanych, tak, iż upew-

¹⁾ T. j. przywieziony przez Konstantego Czartoryskiego list Aleksandra do ks. Adama, 13—15 stycz. 1813.

nić się zdoła, że niepłonnie z tamtej strony zwrot Polski zaręczyćby można, dobrze będzie, aby wtedy napisał z zupełnem zaufaniem i otwartością do *bankiera* (ks. Józefa), udzielając mu nadziei swoich i zasad, na których opierają się, tudzież wzywając pomocy jego do uratowania Ojczyzny.

„Ale z tego wszystkiego wypływa, że najbardziej teraz, przy rozpoczynających się negocyacyach o pokój w Kaliszu, zrzęczość i pilność *plpta* (Czartoryskiego) Ojczyźnie być użyteczną i Polskę za pomocą wpływu Anglii i Szwecyi może wytargować zdoła. Kto wie, czyli zmordowanie powszechnie nie przyspieszy tej dla rodzaju ludzkiego tak pożądanej chwili? Kto wie, czyli sam c(esarz) Napoleon nie zezwoli na Polskę według naszych warunków rosyjską; on, który tylokrotnie objawiał mniemanie, iż byle Polska ciałem odrębnem została, zawsze pod wpływ francuski powróci. Utrzymajmy tę wiarę; niech tak myśli i zezwala. Życzymy, ile można, pomyślności *plptowi* (Czartoryskiemu), bo tyle, ile ich godzien, nie otrzyma.

„P. S. Gdy dotąd poczta listowa warszawska do Krakowa, lecz całe nie Kalisza, regularnie idzie, lubo listy tu i tam są otwierane, możnaby wszelako czasem z wielką ostrożnością pisać przez nią pod figurami, które tu wypisuję, jakich z Matu(szewiczem)—ten 22 lutego z Drezna wyjechał—używamy; zapewniwszy się jednak w Warszawie, iż takie listy wolno przepuszczane będą, lubo dla pozorów je także otwierać i przepieczętować, jak inne, potrzeba.¹⁾ Mybyśmy do *plpta* (Czartoryskiego) tam adresowali, à mr. Louis Gołyński, pod kopertą pani Karolowej Przeździeckiej lub p. Józefa Poperskiego w pałacu № 646 na Nowolipiu, których ostrzedz trzeba, komu listy do p. Gołyńskiego oddawać mają. Tu zaś można pod kopertą ministra spraw wewnętrznych (Mostowskiego) lub policyi (Sobolewskiego) à mr. Gaspard Bernacki. Linowski tu z Drezna przyjechał wczoraj; gdyby *plpt* (Czartoryski) miał potrzebę bliżej rozmówić i porozumieć się z nami, Linowski mógłby sekretnie, za przywołaniem, stąd wyjechać do miasteczka pogranicznego na Ślązku, jakie wskazane będzie dla widzenia i umówienia się.

„Znaczenie słów: *Kostuś* — Napoleon; *Arthur* — Aleksander; *Jan*—Anglia; *Władysław*—Polska; *Adaś*—król saski; *ostrzygi*—Austria; *wdowa*—król pruski; *Stefan*—Rada Konfederacyi; *panna Halina*,

¹⁾ T. j. w perlustracyi pocztowej rosyjskiej w Warszawie; por. Łukasiński, I, 283.

Br(onzowa) Głowa, Gołyński—ks. Czartoryski; *bankier*—ks. J(ózef); *gotowizna*—wojsko; *l'abbé Othenin*—Bassano; *twierdza*—Zamoyski; *drużba*—Matuszewicz; *ryba*—Linowski; *łaka*—Mostowski.“

W obszernem piśmie albo raczej memoryale poufnym powyższym Zamoyski, rzecz prosta, nie swoje tylko osobiste wygłaszał poglądy, lecz rozwijał zapatrywania, wspólnie z najbliższymi współkolegami swoimi, zwłaszcza z Mostowskim i Sobolewskim, roztrząsane. Naturalnym jednak sposobem, w niektórych punktach przebijając musiało pewne zabarwienie, pochodzące od samego piszącego, jak np. w panicznej obawie przed Austryakami, całkiem zrozumiałej ze strony ordynata zamoyskiego, a zresztą aż nadto uzasadnionej podówczas ze stanowiska ogólnych interesów narodowych. Podobnież z położenia Zamoyskiego, jako faktycznej wtedy głowy Konfederacji, wynikał nacisk wygórowany, wyłączny, kładziony na fikcyjną Radę konfederacką. W ścisłym związku z takim wysuwaniem Konfederacji na plan najpierwszy była dążność do obniżenia roli i kompetencji rządu właściwego Księstwa, Rady ministrów. Uwagi wyrażane pod tym ostatnim mianowicie względem: ubolewanie, iż rząd nie dał się „zająć,” t. j. zabrać przez Rosyan w Warszawie; zdanie, iż w takim razie, pod bagnetem rosyjskim, Rada ministrów posiadałaby wyższą powagę, aniżeli obecnie, mogąc swobodnie porozumiewać się z prawym monarchą, Fryderykiem-Augustem,—wszystkie te wynurzenia z niezdrowych wychodziły założeń, z błędnego punktu wyjścia samej podjętej akcji, wreszcie, *last not least*, z odpornego wobec tej akcji zachowania się głównego członka rządu i Rady ministrów, ks. Józefa. O takiej zaś odporności Poniatowskiego, spokojnej, grzecznej ale stanowczej, oderwane wzmianki w piśmie Zamoyskiego dostateczne, całkiem wyraźne dawały świadectwo.

Tegoż dnia, co powyższe pismo poufne polskie, Zamoyski wystosował do Czartoryskiego drugie pismo ostentacyjne, urzędowem niejako zbiorowem imieniem uczestników całej akcji, w języku francuskim, przeznaczone widocznie do okazania Aleksandrovi.¹⁾ Dodany był do niego, również dla cesarza, zwięzły wywód projektowanych działań dalszych.²⁾ Podług tego projektu nasam-pierw Austriacy mieliby wyjść z Księstwa; wojska polskie zajęłyby linię Wisły i Pilicy od Krakowa do Piotrkowa i stamtąd do granicy szląskiej, przyczem „na mocy konwencji ustnej i tajnej“

¹⁾ Zamoyski do Czartoryskiego, Cracovie ce 15 mars 1813 (j. w.).

²⁾ Résumé et marche proposée (j. w.).

(*verbale et tacite*) zobowiązałyby się nie brać żadnego udziału w krokach wojennych aż do umówionego terminu albo też aż do pacyfikacji. Po porozumieniu się między Rosją a Prusami i Austrią, Rada konfederacka, na wezwanie Czartoryskiego, obwołała Aleksandra królem polskim, W. Księciem litewskim, poczem Sejm walny uchwaliłby konstytucyę opartą na ustawie Trzeciego Maja, poprawionej i stopionej (*corrigée et refondue*) z ustawą konstytucyjną Księstwa. Były to wszystko pomysły ułudne, nieliczące się z rzeczywistością. Pisma te skierowane zostały do Czartoryskiego, przybyłego tymczasem z Dubna do Warszawy, skąd miał on teraz udać się w pogoń za Aleksandrem do Kalisza, aby przeświadczyć się naocznie o ułudności onych widoków.¹⁾

VIII.

Tymczasem w Krakowie gotowało się całkiem szczególne rozwiązanie tamtej tragikomedii anonimowej. 17 marca 1813 r. wieczorem do prywatnego mieszkania Bignona zaszedł z wizytą Mostowski. Zastawszy posła samego, oświadczył na wstępie, iż „rad jest z tej sposobności, aby wytłómaczyć się otwarcie z niejakich, ile mu wiadomo, wpajanych mnie (Bignonowi) niepokojów względem *pewnych osób*.“ Stąd, „przez zręczne przejście“ (*une transition adroite*) przeszedł do niektórych, zdolnych właśnie zaniepokoić posła, „opinii“ i „incydensów“: Tędy z kolei „wprowadzał mnie (Bignona) na drogę do tego punktu, dokąd dojść pragnął“ (*c'était me mettre sur la voie du point où il voulait arriver*). Zaczął naprzód od „opinii,“ tak prostych przecie i naturalnych, iż na wypadek, gdyby Francya nie była w stanie odbudować Polski, byłoby wszak lepiej, aby to uczyniła Rosya, niż aby miało dojść do podziału. Następnie dotknął „incydensów,“ jakie z podobnych „opinii“ zrodziłyby się mogły. Z początku mówił z pewnym „przymusem“ (*contrainte*), potem z coraz większą swobodą. Rzecz jasna, że cała rozmowa była przez niego zawczasu dojrzała, planowo obmyślana we wszelkich jej perypetiach pod względem, jeśli tak wolno powiedzieć, zarówno lite-

¹⁾ Por. Polska a Europa, „Bibl. Warsz.“ (1909), Dziennik Czartoryskiego, (Warszawa) 25 marca (1813): „Pawłowski przyjeżdża z listami (z Krakowa), z odpowiedzią dla cesarza Aleksandra, tak długo oczekiwaną“ (t. j. z powyższemi pismami Zamoyskiego z 15 marca); zaraz potem, 28 marca, Czartoryski wyjechał do Kalisza.

rackim jak aktorskim. Trudno doprawdy oddać tu w skrócie całą sztukę, giętkość, talent, pod obudwoma względami okazany przez Mostowskiego w tym kapitalnym dyalogu, o którym Bignon z wielką obfitością szczegółów, nawet z subtelnością, lecz, jak się zdaje, z niezupełnem jeszcze zrozumieniem, zdał sprawę w obszernem doniesieniu do ks. Bassano. „Nie wiem, — donosił poseł¹⁾ — czy p. Mostowski już z góry miał zamiar posunąć się w otwartości tak daleko... Rozinowa między nami, zrazu tocząc się długo w dziedzinie hypotetycznej, nareszcie, przez niedostrzegalne stopniowanie (*par une progression insensible*), przeszła do zagadnień faktycznych, tak, że od rozpraw teoretycznych, dotarliśmy do dyskusji o czynach dokonanych. Rozumując dalej już o faktach, przypuszczalnie istniejących, długo jeszcze unikaliśmy wymienienia osób. Nakoniec wszelka wstrzemięźliwość znikła: p. Mostowski wymienił siebie samego i p. Matuszewicza. Cała rozmowa odbyła się zresztą w zupełnym spokoju; trwała wiele godzin zrzędu.“

Oto, jak wedle tych „wyznań samorzutnych“ Mostowskiego odbyć się miały rzeczy: Czartoryski w listopadzie 1812 r. „zwrócił się do nich“ (*s’était adressé à nous*), malując im zupełną zgubę Wielkiej Armii i wzywając do ratowania ojczyzny przez odwołanie się do Rosyi. Na to wypadło im „odpowiedzieć,“ co uczynili przez „zapiskę“ (*note*), nie stanowiącą jednak, broń Boże, żadnej „propozycyi,“ ani „negocycyi,“ lecz jedynie „wylew patryotyzmu i przyjaźni“ (*épanchemens du patriotisme et de l’amitié*) pod adresem osobistym Czartoryskiego. „Jeżeli zaś książę (Adam) na własną rękę zrobił użytek z naszych wynurzeń (*confidences*), to my bynajmniej za to nie jesteśmy odpowiedzialni.“ Z kolei Mostowski zgrabnym nadzwyczaj sposobem dawał do zrozumienia, że głównym w Warszawie winowajcą był zbliżony najściślej do domu Czartoryskich Matuszewicz, który wszystkiego nawarzył, wszystkiego istotną był sprężyną, który jego samego, niedoświadczonego nowicyusza, do całej tej afery wciągnął i zamiast siebie na kozła ofiarnego wystawił, a który teraz, schowawszy się za innymi, nigdzie swego nie położywszy podpisu, ulotnił się z kra-

¹⁾ Bignon do Bassana, Cracovie 18, 19, 21, 25, 26, 29, 30 mars 1813 (Iq-czynmy tu wynik rozmów z Mostowskim pierwszego dnia i następnych); osobno obszerna Note par le bar. Bignon, mars 1813 (dołączona do depeszy 21 marca) o całym tym epizodzie (Arch. d. Aff. étrang., Paris); por. Bignon, Souvenirs d’un diplomate (1864), 307 s.

ju i zabezpieczył przez fikcyjną do Paryża misję, wyrobioną mu rozmyślnie przez jego zażyłego przyjaciela, ministra saskiego hr. Senffta. Ta wykładnia zgadzała się pięknie z informacją, zawczasu przygotowaną przez uprzednie odkrycie anonimowe o tajnych stosunkach Senffta z Matuszewiczem a przez niego z Czartoryskimi. W tem miejscu zaś dochodził Mostowski do głównego i najdrażliwszego punktu, do istotnego *clou* swoich „wyznań,“ do wywinięcia się z najmocniej obciążającej go okoliczności, jaką stanowiła oferta przez niego podpisana i bezpośrednio przez Czaplica i Czyczagowa Aleksandrowi dostarczona. Wywijał się oczywiście również kosztem Matuszewicza. A mianowicie, pod pozorem niedojścia owej pierwotnej „zapiski,“ posłanej Czartoryskiemu poprostu jako „odpowiedź“ i „konfidencyja,“ — tak obecnie wyjaśniał Bignonowi Mostowski — Matuszewicz poprosił go o sporządzenie kopii tej zapiski, co też on, Mostowski, w prostocie ducha uczynił i wiarygodność kopii swoim podpisem stwierdził, w mniemaniu, że będzie ona powtórnie Czartoryskiemu posłana, a nie przewidując zgoła, że chytry Matuszewicz wyprawi ją wprost do Aleksandra przez swoje z Czaplitem komunikacje. To znowuż najpiękniej zgadzało się z informacją, zawczasu przygotowaną przez uprzednie odkrycie anonimowe o tajnych stosunkach Matuszewicza z generałem Czaplitem a przez niego z Czyczagowem. Bezinteresowne doniesienia pocziwego anonima i „wynurzenia samorzutne“ (*révélation spontanées*) biednego Mostowskiego jaknajdokładniej były do siebie dopasowane i jaknajdokładniej dopełniały się nawzajem.

Mostowski na tem nie poprzestał. Kiedy przed trzema z górą miesiącami był rozpoczynał akcję rosyjską w Warszawie, działał on w przypuszczeniu, że Napoleon z Rosyi nie wyjdzie wcale; teraz widział go znowuż w Paryżu, zbrojącego się na potęgę. Nie zaniechując jeszcze bynajmniej rokowań, podjętych ze zwycięskim, postępującym wciąż naprzód, cesarzem rosyjskim, uznawał teraz za potrzebne nie zaniedbywać niczego zgoła dla zabezpieczenia się na wszelki wypadek wobec bądźco bądź wciąż groźnego cesarza Francuzów. Był widocznie wystraszony bardzo. Zwłaszcza zaś najwidoczniej spać mu nie dawała obecność Matuszewicza w Paryżu. Postanowił tedy kontynuować aż do skutku rozpoczęte kroki reasekuracyjne. Raz po razie odtąd, niemal codziennie, zjawiał się w mieszkaniu Bignona z coraz obfitszemi a coraz „cieńszemi“ „wyznaniami.“ Wreszcie zdobył się na krok najtrudniejszy. Wystosował obszerne pismo wprost do samego Napoleona.¹⁾ Wy-

¹⁾ Mostowski do Napoleona, Cracovie 20 mars 1813: „...je rédigeais en réponse l'opinion éventuelle dont je joins ici le précis... Depuis lors et après

stawiał on tutaj, w tym samym co poprzednio wobec Bignona duchu, całą sprawę swego uczestnictwa w drażliwej negocjacji z Czartoryskim i Aleksandrem. Rozumiał jednak dobrze, że spowiadając się przed Napoleonem, nie mógł pozwolić sobie, jak to zrobił z Bignonem, na zeskamotowanie głównego przeciw sobie dowodu, swojej pisemnej oferty warszawskiej, której posłowi nie udzielił, ale z której przed nim ubocznie postarał się wywinąć. Obecnie zakomunikował ją napozór całkowicie otwarcie cesarzowi, kładąc ją w swoim do niego piśmie poczęści niby dosłownie, w cudzysłowie, poczęści w zwięzłym wyciągu. W rzeczywistości ofiarował tu atoli jedynie połowiczną, rzekomą jej zawartość, w sposób nadzwyczaj wykrętny, ze starannymi obmyślaniami zmianami i restrykcjami, łącząc niektóre, upiększone zresztą ustępy swojej późniejszej zapiski z 22 grudnia z niektórymi ustępami pierwotnej z 3, t. j. właściwie 1 grudnia 1812 r. W konkluzji miał odwagę twierdzić, iż „motywem“ jego udziału w akcji warszawskiej, skierowanej wszak wprost do oderwania Polski od Francji, było właśnie pragnienie „zachowania na przyszłość Polsce możności nawiązania stosunków z Francją,“ było „przywiązanie do tej pięknej Francji,... w której admiracya woja dla Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości kazała mi szukać azylu pośród naszych kłesk publicznych, które jedynie Jego geniusz uleczyć był w stanie.“ Tak więc, koniec końcem, prezentował się Napoleonowi, jako oddany mu niezmiennie sługa, wierności i lojalności niepokalanej.

Że Mostowski, ze wszystkich współuczestników warszawskich najmocniej i najbezpośredniej narażony ze strony Napoleona, tak bardzo pokwapił się z zabezpieczeniem sobie odwrotu z tej właśnie strony, to ostatecznie byłoby jeszcze dość zrozumiałem. Gorzej było, że czynił to bez zbytnich skrupułów, sposobem niekoniecznie czystym, kosztem innych osób interesowanych, przede wszystkim zaś kosztem najbliższego swego kolegi i współdziałacza w podjętej akcji, Matuszewicza. Jednakowoż sprawiedliwość

le heureux retour de V. M. I. et R. je crus ne devoir plus attacher d'importance à des idées qui tombaient d'elles mêmes... Sire, mes motifs... ont été puisés dans le désir ...de préparer des chances plus heureuses un jour à ma première patrie que dans mon attachement je ne saurais séparer de cette belle France où j'ai ma famille, mes propriétés, mes affections et où mon admiration pour V. M. I. et R. m'a fait chercher un asyle dans nos malheurs publics que Son Génie seul pouvait réparer“; do Bassana, 20 mars 1813 (posłane przy depeszy Bignona do Bassana, 21 marca 1813, j. w.).

nakazuje i pod tym względem stwierdzić na częściowe przynajmniej wytłómaczenie—nie uniewinnienie—Mostowskiego, że miał on istotnie aż nadto powodów, aby wystrzegać się Matuszewicza, aby oczekiwać od niego podobnej gry ochronnej względem siebie samego, aby zatem wpaść na myśl uprzedzenia go zawczasu przez niniejszy, tak niezmiernie drażliwy manewr prewencyjny.

W rzeczy samej zachowanie się ministra skarbu, Tadeusza Matuszewicza, w całym obecnym i poprzednim jeszcze przesileniu 1811—1812—1813 r. było nadzwyczaj kręte, ślizkie, obosieczne. Człowiek jeden z najbliższych domu Czartoryskich, ojciec pięknej Zofii, predestynowanej od dziecka na małżonkę ks. Adama, sam przez poparcie jego szwagra, Zamoyskiego, wprowadzony do rządu Księstwa Warszawskiego, był on w tym rządzie wprost główną i bezpośrednią ekspozyturą Puław. Zdolności wybitnych, wielkiej ruchliwości i zręczności, ambicyi śmiałej i bardzo osobistej, wysunął się szybko na czoło, nie ograniczył się na współrzędnej z innymi ministrami roli w Warszawie, umiał trafić osobiście do Drezna i Paryża, do ucha Fryderyka-Augusta i nawet samego Napoleona. Z tem wszystkiem wcielał on dotykalnie ową zaznaczoną niebezpieczną dwoistość, kryjącą się w przyjętym pod koniec bytowania Księstwa Warszawskiego systemacie wprowadzania do rządu warszawskiego ludzi puławskich. Nigdy bowiem z góry napewno przewidzieć nie było podobna, do jakiego punktu ten mąż stanu stanowił pomost do przeniesienia idei Księstwa napoleońskiego na całość byłej Rzpltej, zwłaszcza zaś na dzielnicę rosyjską, a od jakiego punktu mógłby on stanowić pomost do wprowadzenia wpływów i zamierzeń Aleksandra na teren warszawski? gdzie kończył się nowy statysta polsko-francuski, terazniejszy minister Księstwa Warszawskiego i Napoleona, a gdzie zaczynał się stary Puławczyk, chowany w dawnych koncepcjach polsko-rosyjskich „Familii“ i gotujący się do przyszłej kariery ministra Królestwa Kongresowego i Aleksandra?

Nie ulega wątpliwości, że takie rozdwojenie wewnętrzne miało swoje przyczyny ogólniejsze, obiektywne, leżące w samej naturze ówczesnych rozdwojonych, nieustalonych stosunków krajowych i europejskich. Ale niemniej niezawodna, że miało ono również swoje źródło w pewnych cechach ujemnych, tkwiących w głębi indywidualności duchowej Matuszewicza, odziedziczonych przez niego po nieszczęśliwym ojcu i dalej przezeń przekazanych nieszczęśliwemu synowi, w pewnym braku zasad, braku jednolitości i prawdziwej podniosłości charakteru. Wyszło to na jaw odrazu podczas wielkiej próby charakterów pu-

blicznych, jaką była doba krytyczna 1812 — 1813 r. Matuszewicz bardzo niedawno jeszcze, w 1810 i 1811 r., był maczał ręce w poprzedzających wyprawę moskiewską tajnych robotach wychodzących od Aleksandra a skierowanych przeciw Napoleonowi: teraz, latem 1812 r., oglądając w Warszawie naocznie olbrzymią, niezmożoną napozór, maszerującą na północ potęgę wojenną napoleońską, uczynił nareszcie wybór, zdeklarował się bezwzględnie na stronę francuską, w słynnej mowie swojej przy otwarciu Sejmu konfederacyjnego warszawskiego rzucił najognistsze hasło antyrosyjskie, a nawet, jak się rzekło, zwrócił się osobiście do swego patrona, ks. Adama Czartoryskiego z mocnem wezwaniem do ostatecznego porzucenia sprawy Aleksandra i zaciągnięcia się przez niezwłoczny akces konfederacki pod sztandary Napoleona, jako jedynego Polski odnowiciela. Aliści, przy bliższem w rzecz wejrzaniu, okazuje się, że nawet w ówczesnych, gorączkowych chwilach powszechnego entuzjazmu, ostrożny, rachujący na zimno Matuszewicz, rzekomo paląc mosty za sobą i rzucając się całkowicie i nieodwołalnie do obozu francuskiego, w rzeczywistości przecie warował sobie tajną furtkę powrotu do obozu rosyjskiego. Okazuje się to mianowicie z niektórych nadzwyczaj ciekawych śladów w najpoufniejszej korespondencji domowej Czartoryskiego. „Wieczór—donosiła ks. Izabela synowi, ks. Adamowi, podczas gorących dni czerwcowych 1812 r.¹⁾ — Matu(szewicz) przyjechał do nas i przecie się to ułożyło. Zezwala, żebyś wyjechał i żebyś się oddalił; nawet Ci radzi, że jeżeli jeszcze nasze listy, te, co dziś posyłamy, zastaną Cię jeszcze w Sieniawie, to żebyś zaraz wyjechał, a do niego żebyś odpisał na ten list, co dziś także od niego idzie, tak, jak żeby Ciebie już nie zastał; żebyś datował odpis do niego już niby z drogi i z datą późniejszą... Spodziewam się, że mnie rozumiesz, chciałabym Ci to jednak lepiej wytłómaczyć raz jeszcze. Mat(uszewicz), po poprzednich swoich naleganiach, abys koniecznie tutaj przyjechał, nagle przyszedł do nas wczoraj, przyniósł nam list do Ciebie i powiedział, że trzeba Ci go posłać, że był zmuszony napisać go, lecz że ja powinnam Cię uprzedzić, na wypadek, że list jego zastanie Cię jeszcze w Sieniawie, abys natychmiast wyjechał i aby odpowiedź Twoja była tak datowana, jak gdybyś nie otrzymał jego listu aż dopiero w drodze i zbyt już daleko, iżbyś mógł zaraz zawrócić z powrotem. Miarkujże odpis dobrze i datę taką połóż, żeby stosownie do tego

¹⁾ Ks. Izabela do ks. Adama (Warszawa), 4 (czerwiec) 1812 (Arch. rodzinne j. w.).

układu wypadło...“ Sprytnie, do zbytku sprytnie urządzał się wróżący na dwoje minister warszawski a Puławczyk w jednej osobie, kandydat zawczasu na głowę rządu Księstwa z ramienia Napoleona i na ewentualny organ pośredniczący Aleksandra, na sukcesora po prezesie Rady Stanu warszawskiej Stanisławie Potockim i na teścia członka Rady Stanu petersburskiej Adama Czartoryskiego. W następnych miesiącach, latem i jesienią 1812 r., w miarę początkowych, tryumfalnych, jak się zdawało, postępów kampanii moskiewskiej, Matuszewicz znowuż kilkakrotnie pisywał do ks. Adama, przynaglając go do akcesu, do złączenia się ze sprawą narodową a napoleońską; a czynił to w wyrazach bardzo silnych, patetycznych, grożąc nawet w przeciwnym razie zerwaniem wszelkich osobistych z księciem stosunków, jako niedających się nadal pogodzić z jego własnem przekonaniem patryotycznym. Listy te, dyszące tak wyłączną, aż nieprzejednaną gorliwością polsko-francuską, pokazywane były oczywiście przez Matuszewicza ambasadorowi francuskiemu w Warszawie, zyskując też zupełny jego aplauz i wysokie uznanie dla ich autora. Jednakowoż, pomimo całej wymowy tych epistoł, a raczej właśnie dla przesadnej ich elokwencji, nigdy niepodobna było orzec napewno, w którą stronę naprawdę skłaniał się i oddawał Matuszewicz; i sam Czartoryski, który znał go najlepiej, w odpowiedziach swoich na te ogniste nawoływania z subtelną ironią dawał wyraz swojemu pod tym względem sceptycyzmowi.¹⁾

Tym sposobem doczekał się Matuszewicz katastrofy odwrotu z pod Moskwy. We wszczętych, wobec nowego zgoła położenia, próbach warszawskich nawrotu do Aleksandra wziął on natychmiast, jak powiedziano, udział najżywszy. Ale czynił to znowuż po swojemu, nadzwyczaj sprytnie, ostrożnie, wysuwając innych, siebie nie wystawiając. Przedewszystkiem, w myśl sławnego orzeczenia Talleyranda: „*n'écrivez jamais*,“ starał się sam unikać wszelkiego pisania, kazał za siebie pisywać Zamoyskiemu i Mostowskiemu, kiedy chodziło o sformułowanie pierwszych wynurzeń, 1 grudnia 1812 r., skierowanych do Czartoryskiego. Po nich dopiero, doczekawszy się bezwarunkowo bezpiecznej przez Brzostowskiego okazji, odważył się, jak wyżej wzmiankowano,²⁾

¹⁾ Korespondencja ta Mostowskiego z Czartoryskim będzie ogłoszona na innym miejscu.

²⁾ Por. wyżej, „Bibl. Warsz.,” luty, 219, Zamoyski do Czartoryskiego, 6 déc. 1812: „dziś jednakowo Mat(uszewicz) pisze przez Brzostowskiego.“

pisać sam Matuszewicz, ciągle zresztą największej przestrzegając ostrożności, zwracając się niby nie do ks. Adama lecz do księżnej Izabeli, wyrażając się w przenośniach *sub rosa*, mniej troszcząc się o to, aby być dobrze zrozumianym, aniżeli o to, aby w razie wypadku mieć możność wyparcia się istotnego znaczenia słów własnych. W ciekawem i nader charakterystycznym tem piśmie zwracał się on niby czysto prywatnie do „kochanej księżny“ Izabeli, donosił o stanie zdrowia jej syna, ks. Konstantego Czartoryskiego, poczem, powołując się znacząco na ustną relację od dawcy, Brzostowskiego, tak pisał:!) „Korzystam z kilku dni wolnych, aby pogawędzić trochę o Waszych prywatnych interesach rodzinnych i o znanym planie ratowania ich pośrodku gwałtownego kryzysu, odczuwanego przez wszystkich oraz wobec niepomysłnego zbiegu tylu trudności i przeszkód. To co p. Zamoyski niedawno pisał w tej materii, wydaje mi się doskonale upatrzonem i równie dobrze wyłożonem: w operacyi tej, podobnie jak w większej liczbie spraw tego świata, zbytnia skwapliwość zarówno jak i zbytnia powolność mogą spowodować skutki jednakożo zgubne; należy tedy przedewszystkiem przystąpić z rozumem do wyboru chwili i *de l'à propos*; jednakowoż, skoro się uczciwie żywi zamiary i postępuje z otwartością i lojalnością, czyliż objawienie myśli swoich może być ryzykownem? Nie będąc bardziej, niż żadna inna rodzina lub osoba, poza obrębem przymusowego i nieuniknionego wpływu wielkich wypadków i wielkiego przewrotu, nie możecie uczciwie składać wierzycielom Waszym innych propozycyj i zobowiązań, jak tylko warunkowe; i to, zdaniem mojem, nie powinno ich ani dziwić, ani budzić ich nieufności... Reputacya i poważanie, tak sprawiedliwie przez Was zasłużone, szlachetne uczucia Wasze, tak powszechnie znane, zasady zawsze przez Was wyznawane i stosowane, wreszcie sam cel zapewnienia pełnej satysfakcyi wierzycielom Waszym, wszystko to pozwala spodziewać się powodzenia planu, o ile tylko będzie on równie dobrze wykonany, jak wydaje mi się rozumnie obmyślanym w zasadach swoich, *dans ses bases*... Oto mniej więcej, droga księżno, co o tem myślę. Nie będziecie mnie zapewne podejrzewali, że jestem zimny dla tego, co Was interesuje; ale być może uznacie moje uwagi za zbyt ogólnikowe... Otrzymałem wczoraj list a raczej odpowiedź od Zosi... proszę uściśnąć ją odemnie tak czule,

¹⁾ Matuszewicz do księżnej Izabeli (←ks. Adama), Varsovie, le 6 décembre 1812.

jak ja ją kocham i jak Wy ją kochacie...“ Z paradnej tej epistoły wynikało dla czytelnika wtajemniczonego, iż Matuszewicz zwracał się tutaj wprost do ks. Adama, iż solidaryzował się całkowicie z listem Zamoyskiego z 1 grudnia 1812 r., oraz dołączonemi doń *bases*, z całym planem tajnej akcji polsko-rosyjskiej, iż naglił Czartoryskiego do niezwłocznego uskutecznienia tego planu; dla czytelnika zaś niewtajemniczonego wynikało stąd jedynie, że udzielał on starej księżnie Czartoryskiej rad przyjacielskich w sprawach majątkowych i wylewał przed nią swoje uczucia ojcowskie względem chowanej w Puławach córki, Zofii Matuszewiczówny. W tym samym sensie i sposobie pisał nazajutrz znowuż do „kochanej księżny,“ t. j. do ks. Adama¹⁾: „Późno w nocy, bo dopiero wczoraj po południu, odebrałem list datowany 26 listopada²⁾. Radbym z duszy całej dostać pochodni lub najdoskonalszych quinquetów i posłać je na rozpędzenie ciemnoty, która *księżnę* trapi i jakżeby trapić nie miała; lecz i u nas niewiele widniej, a jeśli czasem światelko błysnie, to jakieś mdłe i wątpliwe, które więcej kopci, jak oświeca... Kiedy sprawy publiczne nie od nas, ale od wyższych zależą wyroków, ile możność dozwala, tyle o domowych interesach myśleć i ratować je należy. Te, które *Księżstwa* tyczą, wiernego i obowiązane przyjaciela dotykać muszą; pisał o nich p. Zamoyski podobno 1 grudnia myśli, które się mnie trafniemi i rozsądnemi zdają; dodałem wczora przez Brzostowskiego niektóre obserwacye: jak się one wydadzą po rozstrząśnieniu z nowym i gruntownym namysłem? i co w tej mierze przedsięwziętem zostanie? przez życzliwość moją dla Księżstwa radbym choć wogóle wiedzieć... Osobno do Ziułki naszej napisać nie potrafię, przytulał ją do serca mojego, a księżnie ponawiam wdzięczność moją i przywiązanie dozgonne.“ Te misterne zwroty, ta wzmianka o „interesach domowych“ oznaczająca naprawdę właśnie publiczne, ten sprytny kalembur z „Księżstwem,“ oznaczającym niby Czartoryskich a naprawdę właśnie Warszawskie, i t. p., to wszystko było nader znamienne dla całego brania się do rzeczy Matuszewicza, który, uczestnicząc w podjętej robocie tajnej, wciąż opanowany był myślą, jak wyprzeć się tej roboty w wypadku stosownym. Jeszcze po dwóch dalszych tygodniach, już po przejeździe Napoleona przez Warszawę i po przybyciu ks. Józefa, pod koniec grudnia 1812 r., pisząc do Czartoryskiego, wciąż wyrażał się w tym samym duchu

¹⁾ Matuszewicz do ks. Izabeli (=ks. Adama, Warszawa) 7 grudnia (1812).

²⁾ Tego listu Czartoryskiego brak.

niejasnym, z tą samą *reservatio mentalis*: „fakta donoszę,—pisał¹⁾—w uwagi się nie zapuszczam, wierny postanowieniu mojemu strzedz się materyi nazbyt trudnej i śliskiej.“ I znowuż po paru dniach, pisząc do „księżny Czartoryskiej,“²⁾ ciągle unikając odsłoneńcia własnych intencji i poglądów, przedewszystkiem zaklinał o zachowanie „najściślejszej roztropności i dyskrecyi,“ albowiem „pomimo intencji najczystszych, w takim kryzysie i podnieceniu umysłów, jakie panuje obecnie, nawet rzeczy bardzo niewinne w gruncie mogą zostać wypaczone i pociągnąć za sobą skutki opłakane.“

Odtąd, t. j. od końca grudnia 1812 r., nadzwyczaj trudno o namacalne, własnej ręki Matuszewicza, dowody jego dalszego współdziałania osobistego w rozwijającej odtąd, coraz aktualniejszej, lecz i drażliwszej i ryzykowniejszej coraz, tajnej akcji antynapoleońskiej. Jednakowoż najmniejszej nie ulega wątpliwości, że współdziałał on tu odtąd bez przerwy sposobem bezpośrednim a nader czynnym i wydatnym. Przedewszystkiem więc ułożył i wykonał pospołu z Mostowskim, a być może nawet jako inicjator główny, ową ważną ekspedycję drugiego odpisu pierwotnych polsko-rosyjskich ofert warszawskich z d. 2 stycznia 1813 r., wyprawioną przez generałów Czapllica i Czyżzagowa wprost do kwatery głównej cesarza Aleksandra. Następnie, wyprzedzając wyjazd współkolegów ministrów z Warszawy, zyskawszy przez zaufanego przyjaciela swego, Senffta, stosowne wezwanie od Fryderyka-Augusta, a dla lepszego jeszcze pokrycia się, wzięwszy z sobą sekretarza Senatu Niemcewicza, w początkach lutego t. r. udał się do Drezna. Tutaj zamieszkał w domu Senffta i w ścisłym porozumieniu z tym szczególniejszym ministrem spraw zagranicznych saskim, zawdzięczającym swoją karierę Napoleonowi a już od lat kilku spiskującego przeciw Napoleonowi, zaczął agitować pocichu celem oderwania Fryderyka-Augusta od systematu

¹⁾ Matuszewicz do tejże (= ks. Adama, Warszawa) 20 grudnia 1812: „...Ks. Bassano bawił tu dui cztery; powtarzał to, co jego pryncypał (Napoleon); ...udał się stąd dziś o 4 zrana na Berlin... Cesarz (Napoleon) kiedy tu był, nie zapierał się, że o pokój traktować gotów; drugi (Bassano) nic podobnego nie wspominał... Bardzo gęsto i powszechnie ci, co się z Litwy tu schronili, i wojskowi powracający mówią o proklamacyi cesarza Aleksandra do Litwinów, pełnej wspaniałości, dobroci, słowem, ojcowskiej... Boże, daj ulgę i odetchnienie po tylu mękach, dla moich najdroższych przyjaciół więcej jak dla siebie te modły wznoszę...“

²⁾ Matuszewicz do tejże (=ks. Adama, Varsovie), 22 décembre 1812.

napoleońskiego a przecignięcia go na stronę koalicji, idąc w tym względzie na rękę zarówno otwartym jak i ukrytym wrogom, t. j. Rosyi i Anglii zarówno jak Prusom i Austryi. Starał się zachwiać na wszelki sposób zaufanie królewskie do cesarza Francuzów; podawał poufnie do wiadomości królewskiej i komentował z naciśkiem, jako zapowiedź zdrady francuskiej, wyrazy rzucone przez Napoleona podczas jego ostatniego przejazdu przez Warszawę, iż „Księstwo Warszawskie pozostanie czy to przy królu saskim, czy też przy *kimś innym (qu'il soit au roi de Saxe ou à un autre)*; radził tedy, pospołu ze swym kompanem Senfftem, aby król, uprzedzając opuszczenie go przez Napoleona, sam go opuścił zawczasu, nawiązując za pośrednictwem Czartoryskiego stosunki potajemne z Rosyą i Anglią. Matuszewicz wystąpił mianowicie już wtedy z pomysłem wysłania ks. Adama do Anglii dla zainteresowania rządu tamtejszego sprawą Polski wogóle a Księstwa Warszawskiego w szczególności i wygotował nawet projekt odpowiednich instrukcyi dla Czartoryskiego, w formie listu, przedstawionego przez Senffta do aprobaty królewskiej. Co w tem wszystkim było niesłychanie ślizkie,—niezawisłe już od formalnego urzędowego stosunku Matuszewicza, jako ministra skarbu Księstwa, do Napoleona i Francyi,—to ta fatalna okoliczność faktyczna, że dobroduszny król saski był tu najoczywiściej wprowadzony w błąd, na najniebezpieczniejsze dla siebie samego manowce, bo wprowadzany na lód tajnej negocyacji, kompromitującej go nieodwołalnie wobec Napoleona a zarazem wiodącej bynajmniej nie do uratowania dłań, lecz do niechybnej przezeń utraty Księstwa Warszawskiego na rzecz Rosyi, nie mówiąc już o będącej równolegle w odwodzie a niemniej namacalnej już groźby utraty samego królestwa Saskiego na rzecz przystępujących do koalicji Prus. Zaczny Fryderyk-August, może nietyle przejrząwszy niebezpieczeństwo, ile poprostu przez wrodzoną sobie czystość charakteru, wzdrygnąwszy się przed aktem odstępstwa, odmówił udzielenia zgody na wygotowane przez Matuszewicza „instrukcye.“ Równocześnie doszła do Drezna wiadomość o nieszczęśliwym wypadku z Kluczewskim. Wówczas Matuszewicz uznał za właściwe uprzedzić na własną rękę wszelkie możliwe nieprzyjemne skutki własnych działań i w tym celu, zyskawszy znowuż przez Senffta misyę ogólnikową do Paryża wraz z polecającem pismem królewskim do Napoleona, w drugiej połowie lutego wprost z Drezna udał się nad Sekwanę. Było to niezawodnie znowuż nader sprytnie posunięcie na szachownicy, odpowiadające wcale niezgorzej równomiernym manewrom Mostowskiego w Krakowie, a nawet dużo sprytniejsze

jeszcze i zręczniejsze. Minister warszawski, od trzech miesięcy potajemnie układający się z Aleksandrem przeciw Napoleonowi, pojawiał się najspokojniej w stolicy Francyi, jako najgorliwszy stronnik i sługa napoleoński. ¹⁾

8 marca 1813 r. Matuszewicz wezwany został w Paryżu na audyencyę poufną do Napoleona. Było to dopiero w trzy dni po pierwszym anonimie krakowskim z 5 marca t. r.; i wysłana z tego powodu depesza Bignona była dopiero w drodze z Krakowa do Paryża. Ale cesarz o tajnych robotach polsko-rosyjskich był już należycie powiadomiony inną, krótszą drogą — wprost z Wiednia. O autentyczności zakomunikowanych sobie stamtąd dokumentów—t. j. austryackiej zdobyczy klekotowskiej zabranej Kluczewskiemu — nie mógł on wątpić ani na chwilę; nikt lepiej od niego nie znał stylu Aleksandra, którego pióro on musiał rozpoznać od pierwszych zdań jego interceptowanego listu do ks. Adama. Jednakowoż w trudnych okolicznościach obecnych Napoleon nie uważał za właściwe nadać tej drażliwej aferze zbyt-niego rozgłosu ani też wdawać się w niebędące na czasie represye. Ograniczył się tedy do tego, iż zaraz na wstępie dwugodzinnej z Matuszewiczem rozmowy spokojnie oświadczył mu, w sensie ostrzegawczym, iż otrzymał w rzeczonej aferze wszelkie odpowiednie informacje; wyszczególnił całą zawartość pochwyconych papierów Kluczewskiego; zaznaczył przecie, że były one niepodpisane, i powstrzymał się od oskarżeń osobistych i imiennych. Równocześnie ks. Bassano, oczywiście wedle stosownej wskazówki cesarskiej, wyraził przekonanie, iż owe kompromitujące dowody pisemne należy uważać za „apokryfy“, iż zresztą sama wykonalność zawartych w nich pomysłów aż nadto wydać się musi wątpliwą. Matuszewicz naturalnie ze skwapliwością pochwycił ofiarowaną sobie tak uprzejmie deskę ratunku, zaparł się wszystkiego, poczem najspokojniej pozostał w Paryżu, zajmując się troskliwie swoim chowanym tam młodym synem—który w następ-

¹⁾ Nota Bignona, Cracovie (21) mars 1813 j. w.: „il (Matuszewicz) espérait se donner les apparences d'un homme particulièrement zélé pour les intérêts de son pays, tandis que son véritable but était évidemment de chercher à pénétrer les vues de S. M. l'Empereur et Roi relativement au rétablissement de la Pologne afin de faire connaître au parti Czartoryski s'il convenait de presser ou de ralentir les négociations avec l'empereur Alexandre“ (jestto widocznie echo słów Mostowskiego); Senfft, Mém., 190, 193 sq.; Niemcewicz, Pamiętniki, I (1871), 426, 428 sq.

stwie miał wyrosnąć na znakomitego dyplomate... rosyjskiego, na wroga własnej swej ojczyzny podczas ciężkich przepraw rewolucyi listopadowej,—korespondując przytem ukradkiem z Senfftem, a dużo rzadziej z towarzyszami swoimi z Rady ministrów, umywając jednak naogół ręce od obecnych krakowskich a i późniejszych komplikacyj i kłopotów.

Jeśli nie we wszystkich zaznaczonych szczegółach, to w głównych przecie liniach wytycznych, nikt lepiej taktyki i charakteru Matuszewicza nie znał, jak Mostowski. Łacno tedy dorozumieć się można, jaki niepokój, na skutek tej właśnie gruntownej znajomości sposobów i nastrojów koleżeńskich, ogarnąć go musiał wobec faktu nieobecności Matuszewicza w Krakowie a obecności jego w Paryżu, przy braku nadto wszelkich stamtąd dokładniejszych od niego doniesień. Ta okoliczność, jak powiedziano, nie może wprawdzie uniewinnić, lecz poniekąd może tłumaczyć niejedno w osobliwszych ratunkowych manewrach, podejmowanych w Krakowie przez Mostowskiego.

Zresztą na wyłuszczonych już dotychczas osobliwościach krakowskich jeszcze się nie skończyło. W kilka dni po opisanych incydensach, po wyznaniach ustnych i pisemnych Mostowskiego, znowuż odezwał się w Krakowie tajemniczy anonim. Zaznaczyć tu należy, że w tym czasie ukazał się dwukrotnie w Krakowie młody Henryk Lubomirski; przybył on tutaj 21 marca, zawadziwszy poprzednio o Tarnów i Sieniawę, a 24 marca wyjechał stąd do Wiednia. Otóż nazajutrz po jego wyjeździe, 25 marca 1813 r., Bignonowi doręczono zostało po raz trzeci pismo bezimiennie życziwego a czujnego informatora. Ostrzegał on posła, iż Lubomirski ma sobie powierzone tajne listy do Matuszewicza w Paryżu, ukryte pod kopertą pism adresowanych do króla saskiego i Senffta; że zabiera on również tajną ekspedycyę dla ks. Adama w Kaliszu; że działa on z jednej strony w porozumieniu ze starą księżną marszałkową Lubomirską, z domu Czartoryską, w Wiedniu, z drugiej zaś strony cała jego misya krakowska urządzoną została przez starą księżnę Izabelę Czartoryską, matkę ks. Adama.¹⁾ To nowe doniesienie, godzące znowuż głównie w Matuszewicza, miało jednak być już ostatniem, miało być śpiewem łabędzim czynnego anonima. Dalsze oświecanie posła francuskiego okazało się bowiem zbyt cennym, skoro w tym właśnie czasie okazało się, iż

¹⁾ Lettre anonyme reçue le 25 mars, dołącz. do depezy Bignona do Bassana 26 mars 1813, j. w.

o wszystkim jest należycie oświecony, i co najważniejsze, iż na wszystko pragnie narazie rzucić zasłonę—sam cesarz Francuzów.

Zabezpieczywszy się, jak widzieliśmy, bardzo gruntownie, Mostowski miał prawo mniemać, że zrobił dość. I oto wnet przekonał się, że zrobił za dużo. Podczas tych jego trosk i kombinacyj przemądrych krakowskich, doszło w Paryżu do owej znamiennej audyencji Matuszewicza u Napoleona 8 marca 1813 r., o której wyżej była mowa. Wynik jej oczywiście był w wysokim stopniu pocieszający dla wystraszonych statystów krakowskich. O tym wyniku zaraz po audyencji Matuszewicz pośpieszył donieść Zamoyskiemu do Krakowa.¹⁾ Odetchnęli wszyscy skompromitowani działacze, gdyż jasnym było, iż cesarz, bez względu na to czyli istotnie wierzył w „apokryficzność“ namacalnych dowodów ich winy, w każdym razie postanowił patrzeć przez palce. Odetchnął i Mostowski—lecz ta pociecha dla niego jednego piołunową była zaprawiona goryczą: gdyż okazało się, że niecałkiem potrzebnie on tak mędrkował i trudził się na własną rękę, niepotrzebnie się wyrwał ze swemi „wyznaniami samorzutnemi“ i całą misterną ich inscenizacją.

SZYMON ASKENAZY.

¹⁾ Wiadomość o audyencji Matuszewicza 8 marca doszła do Krakowa ze spóźnieniem znacznym, skutkiem ruchów wojsk, i udzieloną została Bignonowi przez Mostowskiego dopiero pod koniec miesiąca, jak wynika z depešy Bignona do Bassana, 29 mars 1813, j. w.: „mr. Mostowski—pisał tutaj Bignon z tego powodu—...avait l'air de douter s'il a eu raison ou non de me faire ses aveux.“ Ostatni anonim z 25 marca, j. w., sfabrykowany więc był jeszcze przed nadejściem wiadomości z Paryża o audyencji Matuszewicza.

OPOKA.

XXIX.

Nieśmiało, jak wówczas w dniu przyjazdu, otwierała drzwi, zdjęta niewytłómaczoną bojaźnią stała dłuższą chwilę w przedpokoju, potem na palcach wśliznęła się do jadalni. Usiadła na zwykłym swoim miejscu. Było już od dawna po herbacie. Dokoła okrągłego stołu, w świetle wiszącej lampy wszyscy pracowali pilnie. Matka przywitała ją zaniepokojonem spojrzeniem, ale nie powiedziała nic, i pochyliła się nad kwitami, które obliczała.

— Gdzie to przepadałaś tak długo?— spytała któraś z sióstr.

— Byłam na spacerze...

To kłamstwo sprawiło Hance przykrość. Spróbowała szyć, potem, znudzona robotą, wzięła gazety i przeglądała je dla zabicia czasu. W pewnej chwili zatrzymała wzrok na zamieszczonej w rubryce najświeższych wiadomości wzmiance o tem, że ujęto sprawcę nieudanego zamachu w d. 23 października. Zbrodniarz, niejaki Pinkus Tunik, lat 19, zegarmistrz z zawodu, nie przyznawał się do winy... Oddany został pod sąd wojenny... wyrok zapadnie w dniach najbliższych... Przeszła nad tą nowiną obojętnie do porządku. Czytała potem ogłoszenia i jakiś artykuł o modach... Czasami aż tu do jadalnego pokoju przychodziło widzenie dalekiej, zostawionej i zgubionej, zdawało się w ciemnościach boru chwili, gdy usta całowały... Odsuwała niecierpliwie niepokojącą wizję... Wolno mijały godziny... Hanka słyszała szmer zegara, taki obojętny, równy, senny... Przy stole mówiono o wczorajszych imieninach, o pięknej w czarnym aksamicie pani Opolskiej, o śpiewach chóralnych i pannach Wilkaniec, o proboszczu, który ograł wszystkich w preferansę, o złym humorze pani Kamilli.

— Podobał ci się Zgrajski? Asystował zawzięcie przy kolacyi, rozmawialiście dużo...—zwróciła się Krysia.

— Sympatyczny jest—odparła obojętnie i pomimowoli poszukała oczu matki, pilnie zajętej rachowaniem kwitów.

Wieczór dłużył się Hance. Chciałaby znaleźć się już w swoim pokoju, gdzieby nikt nie przeszkadzał zadumie. Pragnęła samotności. Wydawało się jej, że ma jakąś ważną sprawę do obmyślenia, że zapadł już nad nią jakiś wyrok, który należy rozważyć. Przed rozstaniem, gdy poszły siostry, zatrzymała ją matka.

— Gdzie byłaś? — spytała cicho i nieśmiało, nie patrząc w oczy.

— Na spacerze...

— Jeździłaś z kimś... Widziano, że wysiadłaś z sań przed bramą... Ten pan odjechał...—jeszcze ciszej, niewyraźnie napomknęła matka.

Znużone i smutne oczy jej spojrzały na córkę przelotnie i natychmiast przeniosły wzrok na arkusz z rachunkami. Była chwila milczenia...

— Hanuś! wiesz, jak niebezpiecznie!... złe języki ludzkie, obmowa...—bojaźliwie ostrzegęła matka.

— Wiem, wiem!...—odparła szorstko i wyszła.

W samotności, gdzie nikt nie przeszkadzał, nie uniała zabrać się do obmyślenia onej ważnej sprawy, która niepokoiła ją. Zaduma rozpraszała się, przerywana ognistym zygzakiem przypomnień niedawnej chwili. Wydawało się jej wciąż, że zapadło w niej doniosłe postanowienie, ale jaką była jego treść, nie wiedziała. Nękały Hankę rozterka, poczucie bezładu wewnętrznego, niemożność uczynienia porządku i znalezienia punktu oparcia. Gubiła wciąż wątek, błąkała się w duszy własnej... Zaczynała rozmowę z sobą i zawieszęła ją, bo oto nagle stawał przed nią obraz jakiś, obraz radośnej jazdy... Smutek ogarniał... Żalu, który trapił Hankę już w powrocie z lasu, nie rozwiewała teraz upragniona pieśczęta kochających rąk i oczu. Zgrajski stał się dalekim... Było to dziwnem, ale Rzyżniewski zasłonił go przed nią... Odżyła hańba dawnego upadku, bolesna przeszłość splatała się niepokojąco z dniem dzisiejszym i odzywała się zastraszającą groźbą. Dokuczał wstyd, dolegał niesmak, męczyła ważna a nierozstrzygnięta jeszcze sprawa.

Dla odwrócenia od niej uwagi sięgnęła znowu po gazety, które przypadkiem lub może w jakimś bezwiednym, nieświadomym dotychczas zamiarze zabrała była z jadalnego stołu. Oczy odczytały wzmiankę o zaarrestowaniu sprawy nieudanego zama-

chu i wnet zapomniwały. Bliższym i bardziej nagłym był wniosek, który należało wysnuć z przebytych wrażeń. Próbowwała rozważać. Tak jak z niedowierzaniem słuchała mowy Zgrajskiego o szczęściu, o przyszłości kochania, o wspólnem życiu, tak samo niedbale zbywała teraz myśli, związane z tymi niedorzecznymi jego projektami. Ani chwili nie przypuszczała możliwości urzeczywistnienia młodzieńczych marzeń. Poznała dolę swoją.. Wiedziała, że nie dla niej. Zresztą, gdyby nawet? Czyżby on chciał tego szczęścia, o którym rozpowiadał, gdyby odgadł lub gdyby ona wyznała mu wszystko: hańbę i zbrodnię? Każdy gmach, któryby zaczęła budować dziś, musiałby runąć niedokończony, boby zabrakło jej wytrwałości w obłudzie, a jeśliby potrafiła kłamać do końca, przeznaczenie zburzyłoby „dom szczęścia“ mściwą ręką. Przeszłość stanęła na zawsze między nią a wszelką radością, wszelkiem kochaniem... Tylko że to, co było, nie jest miłością i nie jest szczęściem. Więc tembardziej trzeba jej iść stąd... wyruszyć jutro w świat, między ludzi, na tułacze drogi, żeby zapomnieli tu o niej, żeby wszelki ślad... Trzeba wyczerpać wszystko do dna... Rozmyślała smutnie.

Ale na posępną zaduną padało niekiedy smugą płomienną wspomnienie krótkiej, złudnej rozkoszy ust. Spoglądały naraz ku Hance dziwne o naiwnej głębi, o długich, wstydliwych, niewieścich rzęsach oczy Zgrajskiego. Przez mgnienie tęskniła pożądaniem i tłumiała żal, że znikoma radość stajała, niby płatek śniegu na gorących wargach. Nizko pochylała głowę, opierała czoło o splecione na stole ręce. Nie chciała pamiętać, nie chciała widzieć. A niepokoiły pieszczącym wejrzaniem tamte wielbiące oczy... Potem niespodzianie ukazywał się Rzyźniewski. Jak we śnie obraz zachodził na obraz, zlewał się i mieszał się z poprzednim, z dwu widzeń, splątanych z sobą, rodziła się dziwaczna zmora, z dwu oglądanych jednocześnie ludzi powstawał wstrętny upiór, mający postać i rysy obu razem. Wyobraźnia skojarzyła ich w dziwny sposób i Hanka nie wiedziała chwilami, który to był, którego całowała tam, w głębi boru, tamten znienawidzony, czy ten, pożegnany przed godziną z żalem na zawsze i czyje to oczy, miłujące czy urągliwe, trapiły ją natrętnym wzrokiem... Pod popiołem rozżarzała się hańba przeszłości i piekła wstydem dawnego upadku, wstydem dzisiejszej swawoli.

Placz zrywał się w sercu, ale nie płakały suche oczy. Znękana głowa opadała coraz niżej i bezwładnym ciężarem gniotła splecione na stole ręce. Zawarły się powieki, jak do snu... O spokoju i spoczynku, o tem, żeby zgasnąć i zapomnieć marzyły myśli,

ale sen nie przychodził... W uśpionym domu była cisza. Odzywała się od czasu do czasu gwizdawka stróża, szemrał zegar w pokoju jadalnym. Powoli mijały nocne chwile czuwania.

I jeszcze raz Hanka zabrała się do gazet. Bezwiednie posłuszna wewnętrznemu nakazowi, pochyliła się nad dziennikiem, pilnie przeglądała szpalty, szukała czegoś. Wzrok zatrzymał się na wzmiance o ujęciu Pinkusa Tunika, podejrzanego o udział w nieudanym zamachu. Odczytując obojętną na razie wiadomość, wsłuchiwała się w tajemnicze echo zadumy, która trwała kędyś tam za progiem świadomości, w szept niejasnego przeczucia. Dojrzywał w niej zamysł, którego nie umiała jeszcze odgadnąć. Ale poznała już treść postanowienia, które zapadło oddawna, może wówczas, gdy przeleciał nad nią ze złowieszczym szumem skrzydeł ptak leśny—i poddała się musowi bez wahania. Twardy wyrok, który podyktowała sama sobie, przyniósł nawet jakoby otuchę. Wydawało się Hance, że znalazła wyjście, że pokuta wyjazdu i tułaczki będzie celem i zadośćuczynieniem. Czekala oddawna jakowejś oczyszczającej z win boleści—dziś skruszona do głębi, w zniechęceniu nie marzyła o poprawie i odrodzeniu, ale pragnęła cierpieniem wyrzucić jak gdyby zemstę na sobie samej, odgrodzić się od przeszłości, zniszczyć złe. I myśl, że zwycięża pokusę, że dobrowolnie porzuca cichą przystań, że położy kres obłudzie, napępiała Hanke zadowoleniem, płynącym z poczucia zasługi. Znalazła się niespodzianie energia. Gdyby jakiś pociąg odchodził teraz w nocy, poszłaby natychmiast na stację i odjechałaby bez pożegnania. Bała się spojrzeń matki i zapytań, własnej słabości, wątpliwości, które mogą się odezwać, tych godzin czuwania, długiego dnia smutku... Co ona powie, gdy zaczną nalegać, prosić, badać, jak wytlómaczy potrzebę nagłego wyjazdu? Nie wiedziała przecież sama... Kto inny na jej miejscu... A jeśli ulegnie namowom rodziny, pragnieniu serca w chwili znękania—i zostanie? Odsuwała to przypuszczenie, przekonana o niezachwianej sile postanowienia... I przechadzając się po pokoju, szeptała dawne słowa pożegnania matce, staremu domowi, który lubiła, dobrym czasem spoczynku, którym nastał koniec, wspominała z żalem radośne wzruszenie pierwszego wieczoru, ową modlitwę ufności, łączy nadziei, one złudzenia... Zatrzymywała się pod oknem, żeby napatrzeć się na mroczne kształty zamysłonych w milczącym ogrodzie lip, w których cieniu zbiegły wiosenne dnie jej dzieciństwa, żeby zabrać z sobą na zawsze obraz drogich drzew i zimowego piękna... Kruszył serce smutek przeczucia, że nie wróci nigdy, że więcej nie ujrzy... I zdawało się chwilami Hance, że tu,

w ciemności uszpiętego domu, ktoś płacze, ktoś woła na nią po imieniu... Szła ku drzwiom, wsłuchiwała się w ciszę... A wówczas gdzieś blisko rozlegał się naraz szept pytania:

— Co uczyniłaś z młodości? Gdzie twoje szczęście? Co zostało z nadziei i marzeń? Dlaczego strwoniłaś?...

Cofała się z pośpiechem, zaczynała szybko chodzić po pokoju, żeby krokiem zagłuszyć ów głos, przytłumić słowa... Potem znowu stawała na progu i spoglądając w mrok korytarza i jadalni, dumiała.

— Co uczyniłaś z młodości? Dlaczego strwoniłaś skarb swój?—brzmiało w ciemności.

Zegar dawał kojącą odpowiedź obojętnem szemraniem, które przypominało, iż jednako mijają chwile dobre i złe. I w dniu przyjazdu, i dziś, i za tydzień ten sam szmer uciekających minut... Przechodzą lata... Nie było jej tu, odejdzie znowu... W innym gdzieś miejscu, inny zegar, inne godziny... Gdybyż można było zostać! Oto szczęśliwe drzewa trwają tam, gdzie wyrosły... I ludzie tutaj—w spokojnym trudzie na cichej ścieżce, która się kończy na wzgórzu, pod brzozami cmentarza... Potoczy się życie jednostajne, pogodne, senne... te same codziennie prace i troski, te same w szarej doli powszednie radości... I znowu kiedyś zapłoną tam, za lasem, świetną pożogą zachodnie zorze, potem—roje wyiskrzonych gwiazd nad uszpiętym światem i cudna, niepojęta na ziemi rozmowa gwiazd... tylko jej nie będzie już tu!...

Zwalczała żalność rozstania upartem powtarzaniem, że nie wolno wahać się, że jechać trzeba, że pojedzie jutro, krzepiła męstwo, usiłując wzbudzić w sobie podziw dla ofiary, którą miała złożyć, dla roli, którą wzięła na siebie, dla hartu swego... Tak nieraz matka zachwala zawczasu, z góry grzeczność i dzielność dziecka, które się wzdraga przed zażyciem lekarstwa. Ale zaczynała już dogasać podniosła radość poświęcenia, doznawana w pierwszej chwili. Zajęta samym wyjazdem, pochłonięta smutkiem pożegnań, Hanka nie myślała o losie swoim, o długim szeregu tygodni i miesięcy, które gdzieś w jakiś sposób trzeba będzie spędzić, nie układała żadnych projektów, nie zdawała sobie na razie sprawy z następstw tej szczytnej ucieczki z domu. Wydawało się jej, że odjazd, jak śmierć, położy kres wszystkiemu, zakończy niedolę, rozstrzygnie wszystko i na zawsze. A gdy uprzytomniła sobie tułaczą przyszłość, odczuła trwogę. Ujrzała gdzieś, w dalekiem mieście, jakąś ulicę, jakiś ohydny popospolitością i tandetą dom, nudny pokój i nudne, bezcelowe, niepotrzebne życie swoje... pamiętała ekliwę czczość dni, których tyle już minęto...

Odraza przejmowała Hankę. Dawniej były przynajmniej jakieś złudzenia, był pozór celu... Zrywały się w niej pragnienia, wrzały pomysły, marzyła o szczęściu, o bogactwie i sławie, doniosłych czynach... Była wola życia, która wypaliła się... Dziś nie potrafi... Zmarniała w duszy wszelka wiara i nie potrafi dziś oszukiwać siebie...

Pojedzie tedy, najnie gdzieś mieszkanie, rozpakuje rzeczy — a potem? co potem? Czem zapełni istnienie? Co rano trzeba wstać i ubrać się, co rano lustro ukaże jej zasną, poziewającą twarz... Hankę ogarniał nieprzewyciężony wstręt do życia, do siebie samej, do owego miasta, w którym zatrzyma się jej jutrzejszy pociąg. Brzemię ofiary, gdy sięgnęła po nie, okazało się ciężkiem nad siły. Coraz głośniejszy odzywały się wątplenia.

— Kto kazał jej odejść stąd — myślała — porzucić słodkie ustronie, wyrzekać się? Jaka nagroda za cierpienia? i jaki pożytek z poświęcenia?... Długie lata nudy nia zmażą winy... Szlachetne trudy nie dla niej już... Zamarła wiara... Może jedynym zyskiem istnienia są krótkie, nieliczne chwile radości? Dążą przeciwieź, krzątają się, zabiegają i walczą — nieraz podle i przebiegle ludzie, i nikt nie oddaje dobrowolnie swojej zdobyczy szczęścia. Dobrze jej było tu, w miłym dworze wiejskim, z blizkimi — więc zostanie jeszcze. Na ból rozłąki, na smutek tułaczki przyjdzie kiedyś pora...

Jak rozleniwiające tchnienie upalnego powiewu przepłynęło przez serce wspomnienie pieśczoł Zgrajskiego, jego rozmiłowanych oczu, swawolnej jazdy... Usiadła, zapatrzyła się w płomień świecy, dumiała o czemś... A dumając, wstydziła się myśli swoich. Czuła, że wykracza przeciw nakazowi wewnętrznemu, że rozmija się z czemś, że obraża jakowąś władzę, może zatajona na dnie własnej duszy, ale rozum podstępnie torował drogę do wrót, za którymi kryła się pokusa. Rozsądek wyszydzał zaniepokojenie duszy i zagłuszając nieśmiały szept sumienia, dobitnie i dosadnie przekonywał, że śmiesznem głupstwem byłoby poświęcać się i cierpieć, że nie należy nic wypuszczać z rąk, że w życiu brać trzeba, korzystać, używać... Hanka nie znalazła w sobie twardej i wyraźnej zasady, którąby mogła przeciwstawić, nie umiała już obronić swego postanowienia. I trwała nużąca rozterka. Mimo kuszących dowodzeń rozumu, brzniał kędyś w głębi głos, który ostrzegał, napominał, zatrważał. Mijały ciche nocne godziny. Hanka krążyła po pokoju, zatrzymywała się na progu, jak gdyby po to, żeby w szmerze zegara liczyć minuty, potem znowu szybko przechadzała się, pragnąc stłumić rozgwar myśli, szła do okna,

stała z pochyloną głową... Długą i ciężką była ta noc, może ostatnia pod rodzinnym dachem... Usnęła nad ranem, w ubraniu, mocnym odorującym snem, który przyszedł nagle. Gdy obudziła się, na folwarku dzwoniło już na obiad.

Jak po nocy, spędzonej na balu, z niechęcią i niesmakiem przywitała dzień, który się już oddawna rozpoczął. Raził niewyczasowane oczy blask zimy, bijący z okien, przykrym był widok niezgaszonej świecy, która dopalała się. Bez śniadania, przez boczny ganek, unikając spotkania z matką, zeszła do ogrodu, zasypaną aleją podążyła do mogiły brata i dalej w sad. Zatrzymała się u jakiejś jabłoni. Nerwowo, aż do bólu w palcach, ściskając rewolwer, który znalazł się niespodzianie w kieszeni futra, który ucieszył ją, jak gdyby zwiastował jakąś dobrą nowinę, patrzyła przed siebie między równe szeregi czarnych na tle białej przestrzeni drzew. Dzień był cichy i mroźny. Najcichszy powiew nie trącał skostniałych w długim zimowym śnie konarów. Lekkie puchy okiści spoczywały nietknięte w rozwidleniach gałęzi i na krzywych, pochyłych, dziuplastych pniach... Wśród nieruchomej zasłony bielejącego nieba — nigdzie szczeliny, z którejby wyrzał choćby na mgnienie uśmiechem wesela, zakwitł modrym płatkami skrawek błękitu. Zimną, jednostajną, pustą równiną rozpostarły się niebiosy nad śnieżnym obszarem zimowej krainy, tak samo zimnej, monotonnej i martwej... Żaden cień nie plamił przeczytych kobierców, odgłos żaden nie zakłócał milczenia. Trwał na niebie i ziemi spokój, zdawało się, wieczny... Śnił się światu sen, pełen ciszy i białości... Spokój, którego nie mąciły nawet szepty myśli, ogarnął i Hanke. Spoglądała w dal, ku polom, widnym po przez szeregi jabłoni, na rozłogi nieba. Okrzyk zdumienia wybiegał na usta. Po nocy bolesnego czuwania, po długich godzinach rozterki i udręczenia niepokalana cichość krajobrazu budziła podziw, niby nieprawdopodobne widzenie, niby jakieś niespodziane objawienie. Oczy patrzyły i nie chciały wierzyć. Przychodziło na myśl, że oto zaczął się już może dla ziemi, na której zgasło na zawsze życie, dzień wiekuistego odpocznienia, że to jest obraz zaświatowego bytu, królestwo z tamtego brzegu... Dusza odbiła w sobie cudny sen świata, wchłonęła w siebie ukojenie, napełniła się po brzegi spokojem, upajała się ciszą... Dusza marzyła o tem, ażeby trwała na wieki ta chwila, żeby nie przemijał słodki spokój, marzyła, żeby spocząć na śnieżnej równinie i zostać tam i prześnić długie, nużące godziny życia...

Było mgnienie zapamiętania się, zupełnego zespolenia z przyrodą, górnego szczęścia. Marzenie urzeczywistniło się. Duch star-

gał cielesne pęta, poszedł na białe pola, pograżył się w odmęcie ciszy, zatracił siebie i zaznał rozkoszy niewiedzy o sobie. Istniał kędyś poza życiem, poza niewolą przestrzeni i czasu, rozplątał się i wsiąkł w sennie bytowanie świata, który jest, a nie pamięta przeszłych czasów i nie trwoży się o przyszłe dnie... Stał się jakoby milczeniem tych równin, obojętnym bezmiarem niebios, blaskiem śniegu, nikłym puchem okiści, którą zwiewa lada tchnienie, drobną, złamaną gałązką... Odpoczywał... Daleki gwizd pociągu przerwał zachwycenie. Jak po długiej wędrówce, jak gdyby z innego już świata Hanka wróciła do rzeczywistości. Obudziła się świadomość, a z nią bolesne poczucie odrębności i pamięć i gdy oczy wielbiły jeszcze kojące piękno cichych przestworów, myśl zmierzyła smutek istnienia. Nieskończenie szpetnym i raziącym, czemś niesłychanie sztucznym, fałszywym i złym wydało się tu, wśród natury, pełnej powagi, prostoty i czystości, lichy człowiecze cierpienie... Hanka ogarnęła ohydną nędzę swego życia, małość własną i brzydotę, marność walk, wahań, cierpień... I namiętnem wołaniem odezwało się pragnienie, ażeby stać się inną, żeby być czystą i dobrą, żeby znaleźć spokój trwałej prawdy i stworzyć siebie na doskonałą miarę...

Prośbą i modlitwą, niezmierną tęsknotą, strzelistym aktem wiary rozległo się w duszy to pragnienie. Niby wątpy, brudny cień widziała u stóp swoich dzisiejsze życie, a jednocześnie ucieleśnione w cudnym kształcie marzenia—tamtó nowe, lepsze, wyższe. I czuła w sobie siły, ażeby to uczynić. Z wysoka, śmiałym wzrokiem spozrzała na rzeczywistość, która tłoczyła ją do niedawna beznadziejnym ciężarem i przerażała, której poddawała się bezradnie. Podczas długich godzin nocnej rozterki trwożnie, niby osaczony zwierz, krążyła po gmachu swego istnienia, tłuła się o ściany, nadaremnie szukała ucieczki—teraz była, jak widzi, który przygląda się z zewnątrz. Była wolną, stanęła na dalekiem wzgórzu... Hymnem wiary i nadziei brzmiało w duszy pożądanie piękna, czystości i dobra. Ponad wątpienia i niepokoje, ponad nikczemną rozterkę samolubnych myśli wzbijała się zwięzła prawda, że nie w szczęściu, nie w rozkoszy i nie w leniwym spoczynku zawiera się życie... Prosta, znana, słyszana często prawda olśniła Hankę błyskiem objawienia, teoretyczna formuła, sucha zasada stała się pokrzepieniem i rodzącą czynny wiarą duszy... Trzeba było pojąć, zgłębić, osiąść na własność... Zapatrzona w niejasny, świtający po przez marzenie i przeczucie obraz nowego—na inną miarę i na inny ton—życia, Hanka dumiała. I ukazała się jej naraz droga, której nie umiała przedtem dostrzedz, i zapadło

natychmiast postanowienie. Dziwiła się sobie, że błąkała się i szukała tak długo... W wyczytanej wczoraj wiadomości o schwytaniu rzekomego sprawcy zamachu zawierał się przecież dla niej wyraźny rozkaz oddania się w ręce władz, przyznania do winy i poddania się karze... Nie rozumiała, tak, jak śpiący nie słyszy kołatania do drzwi. Teraz narzuciła się jej konieczność wyjazdu i ratowania tantego, który cierpiał niesłusznie... Zbudziła się i usłyszała kołatanie... Ustały wahania... Ten był cel i obowiązek. Nie poddawała krytyce prawdy o życiu, która objawiła się duszy, nie roztrząsała zasady, nie rozważała potrzeby i użyteczności poświęcenia, nie zastanawiała się nad skutkami, wiedziała, że musi, że powinna, że trzeba... Tak człowiek głodny nie bada ani popędu swego, ani postępuku, ale sięga po chleb... Hanka dziwiła się tylko, że przejrzała tak późno i żałowała zmarnowanych godzin. Bolała ją myśl, że ktoś niewinny może paść ofiarą jej tchórzostwa, podłości i zaślepienia. Szyderczy głos, który wydrwiwał wczoraj szlachetną chęć ucieczki przed pokusą i przekonywał, że śmiesznym głupstwem byłoby porzucać bezpieczne schronienie i cierpieć, że uciecha jest jedynym zyskiem istnienia, zamilkł, zapadły się, jak w przepaść, wspomnienia jazdy i kochania... A gdyby nawet spojrzały na nią zadziwiające rozmiłowane oczy Zgrajskiego?... Była pewną, że wytrwa, że nic nie zmieni uchwały sumienia. Wolna stanęła na dalekiem wzgórzu i z wysoka spoglądała na przeszłość swoją, jak gdyby na rzecz cudzą i objętą, na dawne bóle, marzenia, porywy, tak niezmiernie liche i sztuczne...

Spokój spłynął na Hanke. W obliczu przyrody prostej, poważnej i czystej nie odczuwała już owej bolesnej a szpetnej odrębności, nie wstydziała się nędznej małości człowieczej... Wydawała się sobie inną, wydawało się jej, że urosła nagle, że cieniem postaci swojej i życia nie plami niepokalanych równin, że myśli jej nie zakłócają fałszywym zgrzytem świętej ciszy świata... Oczy patrzyły odważnie w dal... Zakrzepłe serce rozgrzała ciepłym płomieniem radość i wybiegały na gorzkie, na bluźniercze do niedawna, na zniechęcone wargi słowa wdzięczności...

Z jasną twarzą poszła ku domowi. Przed krzyżem na mogile brata zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała między równe szeregi pochylonych jabłoni. Coś jej przypominał ten krajobraz zaśnieżonego pod pochmurnem niebem sadu, w którym przebywało kojące milczenie... Coś dawnego i drogiego... Czy była tu kiedy w dzieciństwie, w jakimś szczęśliwym dniu młodości? Wspominając, zanurzyła z lubością wzrok w przeczystych puchach cud-

nego kobierca... Chciałaby na pożegnanie pogłaskać je dłonią, przypaść do nich twarzą, całować i pieścić... I stanął nagle przed oczami Hanki nie ten rzeczywisty sad, na który patrzyła, ale tamten, namalowany przez Andrzeja, tamten z obrazu, który kupiła w pracowni, który ze ścian konspiracyjnego mieszkania śpiewał jej pieśń o ciszy zimowej, o wsi i domu rodzinnym... Czy przypuszczała wówczas? Przez chwilę z pogardą, z politowaniem myślała o owej epoce życia, może najgorszej, może najbardziej haniebnej, gdy bez przekonania, z nudy jedynie wykonała zamach, gdy pożądała bogactw i użycia, gdy oszukiwała siebie i innych... Tem niecierpliwiej teraz pragnęła czynu, któryby zmazał... Spiesznie podażyła do domu. Siadano właśnie do stołu. Nie powiedziała nikomu o swoim zamiarze. Przysłuchiwała się rozmowom, mówiła sama o rzeczach powszednich, zwyczajnych. Imieniny pani Barbary były znowu głównym tematem. Padło z czyichś ust nazwisko Zgrajskiego, zupełnie już obojętne, prawie zapomniane. Przebywała myślami daleko, nie w mieście, do którego miała jechać, nie w żadnym określonym punkcie przestrzeni, ale jak gdyby wciąż jeszcze na wyniosłym wzgórzu, gdzie olśniła ją prawda nowego życia, nowej wiedzy. I dziwną wydawała się Hance ta pospolita godzina, poświęcona jedzeniu, upływająca wśród brzęku łyżek, zaprawiona zapachem brukwi... Niekiedy podnosił się żal, wynikający z przeświadczenia, że nie będzie jej tu jutro, że nigdy już nie zasiądzie w rodzinnem kole... Z rozrzwienieniem patrzyła w twarze matki i sióstr, przed ostatniem rozstaniem zegnała je spojrzeniem. I drżał czasami głos...

— Co się przyglądasz tak, jak gdybyś nigdy nas nie widziała? — dziwiły się dziewczynki.

Odpowiadała im uśmiechem albo żartobliwem słowem. Po tem znowu toczyła się obojętna rozmowa. Nikt nie przeczuwał i nie domyślał się... Wśród prozaicznego brzęku nożów i widelców, zaprawiona prostackim zapachem potraw, mijała ta godzina, taka dla niej łzawa i uroczysta...

Po obiedzie spędziła kilka chwil z siostrami, które wnet zabrały się do zwykłych zajęć w ich miłym, schludnym o bielonych ścianach z klęcznikiem i wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, pokoju. Jak gdyby na pensyi jakiej kwitła tu nauka. Przy dużym aż czarnym od gęstych plam atramentowych stole, każda z dziewczynek miała swój kącik i swoją klasę. Zatykając sobie uszy, głośno powtarzały lekcye i kuły wszystkie, co się zowie. Wytwarzał się dziwny chaos języków i przedmiotów. Koniugacye łacińskie mieszały się z litanią rzek Hiszpanii, „Powrót Ta-

ty“ wzbogacał się o interesującą strofę gramatyczną: bal, cal, chacal, carnaval... Był gwar, jak w ulu, młody, pracowity i rozweselający... Hanka nie przeszkadzała. Pochylała się, zaglądała w zeszyty i książki, jak gdyby przyszła tu dla kontroli, czasami nieznacznie dotknęła pieszczotliwie ciemnowłosej główki, zatroskanej nad podręcznikiem. Dawniej bywała tu rzadko... A gdy zachodziła, uciekała natychmiast, odstraszona nudną wrzawą szkolną. Teraz chciałaby jeszcze zostać i patrzeć... Anteczka poprosiła ją o pomoc w rozwiązaniu zadania arytmetycznego. Usiadła, usiłowała wyteńczyć uwagę, nakreśliła kilka cyfr... I nagle dwie łzy spłynęły na ćwiartkę papieru...

— Ty płaczesz, Hanuś! Co ci jest? — zaszczębiotały miłe głosy.

Siostry otoczyły ją kołem, zaglądały z ciekawością w oczy, pytały. Zaczęła śmiać się z siebie i z nich, z zadania, które było łatwym, z egzotycznych nazw rzek Hiszpanii, z gramatyki francuskiej. Potem, spakowawszy naprędce rzeczy, gdy zaprzęgano już konie, poszła do matki, która w salonie odmawiała różaniec, jak każdego dnia o zmroku... Wszystko szło zwykłym trybem... Hanka lubiła schyłek dnia, łagodną senność zmierzchu, który przesłania rzeczywistość i przytłumia tętno życia, tajemniczy półmrok, w którym zmartwychwstawała, rzekłbyś, przeszłość, a ciche pokoje starego dworu napełniały się zadumą o dawnych czasach, o ludziach, którzy byli i przeminęli... Wzruszyła Hankę myśl, że i o niej, gdy jej nie będzie już, zostanie tu pamięć... Zegar szemrał kojące napomnienie o tem, że wszystko przechodzi, rozlegał się monotony szept modlitwy...

Odmawiając machinalnie pacierze, odwiedzała wzrokiem znane, drogie sprzęty salonu. Jakiś drobiazg przykuwał jej uwagę, nasuwały się spostrzeżenia, smętne wspomnienia... Olbrzymia kanapa skojarzyła się z nudą wizyt sąsiedzkich, z wysokiego, obitego skórą fotela spojrzała na nią surowa postać ojca, na sztychu angielskim pani, z sielankowym uśmiechem sypiąca kurom ziarno, uśmiechała się do jakiejś miłej i dobrej chwili dzieciństwa... I znowu, patrząc na staroświecki w kształcie mahoniowej szafy zegar, Hanka zastanawiała się nad tem, kiedy i dla kogo, w radosnej czy nieszczęśliwej godzinie zatrzymały się jego wskazówki... Milczący ogrom fortepianu ciemniał posepnie... Na stole, przy lampie, oprawne tomiki Krasińskiego opowiadały o dniach zapалу i kochania... Stawały przed oczami dalekie obrazy i wydawało się Hance, gdy przechadzała się po pokoju, że tłum widm zabiega jej drogę, że ona roztręca jakieś mary i depce stopami

przeszłość. Chwilami żal zalewał serce i zrywał się płacz... Ale krzepiło wolę radosne przeświadczenie, że dobrem jest postanowienie i —niezbędną ofiarą...

Różaniec dobiegał do końca, zbliżała się pora odjazdu, a ona nie miała odwagi wyznać. Bała się tej chwili... Szelest sań za oknem zaniepokoił matkę. Goście przyjeżdżali tu rzadko i prawie nigdy w dzień powszedni...

— Ktoś zajechał! — zdziwiła się i szła już, żeby wyjrzeć.

— To dla mnie konie, mamó... — szepnęła Hanka nieśmiało.

— Dla ciebie?

— Muszę jechać... na pociąg...

Matka usiadła, jak gdyby ogarnięta nagle znużeniem. Podniosła uważny wzrok na córkę.

— I nie mówiłaś mi nic! — rzekła z wyrzutem.

— Otrzymałam dziś wiadomość...

Badawcze, strwożone spojrzenie matki pytało...

— Powiedz mi, Hanuś, opowiedz... uspokój... — prosiła.

Nastało milczenie. Hanka zaniósła się od płaczu, który wnet stłumiła.

— Wrócę, mamó... wrócę prędko... może za tydzień...

Ale matka nie uwierzyła. Potrząsała przecząco głową.

— Nie chcesz... unikasz mnie... od dnia przyjazdu... wiem, że coś zaszło... zamknęłaś serce przedemną... — poskarżyła się cicho.

— Nie teraz!... późno już!...

Ciche łzy płynęły po twarzy Hanki. Uklękła, przytuliła się do kolan, całowała biedne, drogie ręce matki.

— Musi tak być, mamó... musi tak być — powtarzała.

I brała dłonie matki, kładła je sobie na czole jak gdyby prosiła o błogosławieństwo... Pani Krystyna biernie poddawała się pieczętom. Zapadła w apatyę, nisko pochyliła głowę. Wątpliwe palce bezwiednie bawiły się włosami córki, jak niegdyś, jak wówczas, gdy była dzieckiem, gdy z łkaniem dziecinnego smutku przybiegała do kolan.

— I znowu nie będzie ciebie... i znowu tygodnie, miesiące bez listu... i znowu — narzekała bezradnie.

— Takie już życie, mamó...

— Powrócisz? mówisz, że wrócisz... kiedy? kiedy ty wrócisz? — dopytywała się błagalnie, pragnąc usłyszeć słowo pociechy, pragnąc choć cienia nadziei.

Ale córka milczała. Tuląc się do kolan, ukryła w fałdach sukni twarz.

— Zostań, Hanuś! namyśl się i zostań! sama widzisz... ciężko mi tu... posunęłam się... sama widzisz...

Miażdżącym ciężarem spadła na staruszkę niedobra wiadomość. Pani Krystyna ugięła się pod ciosem, a w znękaniu stała się naraz gadatliwą... Jakaś samolubna nuta zabrzmiała niespodzianie w jej słowach... Mówiła o starości, o blizkiej śmierci, o jakichś troskach i kłopotach, skarżyła się, nalegała z dziecinnym uporem... Gorzkie lata, twarde trudy życia sterały męzną duszę—i nie było już dawnego hartu.

— Namyśl się, Hanuś, i zostań... sama widzisz... nie jedź jeszcze — prosiła ciągle.

— Nie mogę, mammo...

— Poczekaj, zaraz święta... spędzisz z nami... może potem, może po świętach...

Hanka pamiętała dawną rezygnację matki, znała niezłomną moc i bohaterską dzielność jej charakteru. Widok bezradnego smutku i starczego zgnębienia zakrwawiał serce... Zdawało się Hance, że ulegnie wzruszającym namowom jeśli jeszcze prosić, zaklinać i skarżyć się będą drogie usta...

— Przeżegnaj mnie, mammo!

Wątła ręka nakreśliła znak krzyża, nabożne skupienie zmrużyło oczy, zadrżał na wargach szept znanych słów... Chwila nieskończonej żałości, łkanie, jakieś wyrazy bez związku, wysiętek woli i chęć zapanowania nad cierpieniem, blade uśmiech dla nabrania i dodania otuchy...

— Pojadę już... pora...

Przez mgnięcie patrzyły na siebie. Hanka zerwała się z kłęczek, powoli poszła... Ale matka zatrzymała ją na progu, pochyliła się i z twarzą przy twarzy spytała:

— A może ty coś knujesz? tam, w mieście, te tajemnicze wasze sprawy... i spacer wczorajszy...

Bolesnym zgrzytem zabrzmiało to nieufne pytanie. Hanka zwiesiła głowę... „Zasłużyłam—pomyślała—wyrobiłam sobie opinię...” Smętny uśmiech przebiegł po wargach...

— Tym razem nie, mammo... Dowiesz się kiedyś i nie potępisz... dowiesz się kiedyś...

W przedpokoju otoczyły ich dziewczynki i gwarem młodych głosów rozweseliły tę ostatnią bolesną chwilę.

— Wyjeżdżasz, a nie mówiłaś nic! Czemu tak nagle? Cóż się stało? Napisz! Pamiętaj, przyślij! Kup koniecznie! — sypały się zapytania, polecenia, prośby.

— Do widzenia, mammo!...

Drobne, delikatne ręce dotknęły jeszcze raz czoła znakiem krzyża.

— Wróć prędko! Żebyś choć obiecała! Przyrzeknij Hanuś!...

Nie obiecywała. Ubierała się w milczeniu, udając, że nie słyszy, że zajęta jest bardzo zapinaniem futra... Ze skrzypieniem otwarły się ciężkie wejściowe drzwi i z hałasem zapadły za nią, zabraniając, zdawało się, wstępu, zamykając dom na zawsze... Nikt nie odprowadzał Hanki z powodu chłodu. Tam, u okna w salonie skupiły się drogie twarze... Siostry stukwały w szybę, wołały coś... — sanie ruszyły...

Wjeżdżając w bramę, odwróciła się. Niby pchnięcie nożem w samo serce była myśl, że nie zobaczy nigdy, że na wieki... Ogarnęła oczami znany widok, pragnąc napatrzeć się, zabrać z sobą, zapamiętać, przechować do końca... Tak samo jak w dniu przyjazdu dym wzbijał się z komina strzelistym słupem i świecił rubinami iskier, tak samo na drewnitni rąbano drwa... Nad zaśnieżonym dachem nagie wierzchołki lip, opuszczone gniazdo bocianie, widny zdaleka wysoki krzyż na mogile brata, potem szpaler olch, zgromadzonych przy stawie, zasłonił — i pola śnieżne, senne, gładkie, otoczyły Hankę. Niezmierna cisza rozpostarła się nad ziemią, czyniła się noc. Monotonnie tupotały kopyta, sanie sunęły z jednostajnym usypiającym szelestem, kołysząc lekko, do senliwego spokoju uspasabiła ta jazda. Hanka zawarła powieki, zwiesiła głowę. Wyczerpana smutkiem rozstania, odczuwała teraz tylko znużenie, słabość i jakowąś dobroczynną obojętność na wszystko. Fala wzruszenia opadła nagle, przyszło stępienie. Nie myślała już o niczem... Rada była, że nie potrzebuje trzymać siebie na wodzy, że nikt już niczego od niej nie wymaga, że konie biegną kędyś i wiozą ją, że droga jest równa. Zdawało się jej, że zaraz zadrzemie, że zapomniwała... Ale sen nie przychodził, a mroźne powietrze rzeźwiło, i ból, z pod którego władzy chciała wyswobodzić się, czuwał nad nią czujnie. Napróżno coraz mocniej zaciskała powieki... Stawały przed zamkniętymi oczami żałosne obrazy... Patrzała w nie, cierpiąc na nowo...

— Hanuś, gdybyś ty choć obiecała! Hanuś, ciężko mi... Sama widzisz... Posunęłam się...—rozlegał się wzruszający szept rzewnych nalegań matki.

Widziała postać matki, złamaną ciosem, nagle jakby o wiele lat zestarzałą, prawie zgrzybiałą, blade oblicze z wyrazem zdziecinniałego osłupienia, drżące ręce, które nieśmiało bawiły się jej włosami...

— Gdybyś ty choć obiecała, Hanuś!...

Chciałaby całować te biedne ręce, przypaść do kolan, tulić się i przeproszać, chciałaby pocieszać, a zarazem poskarżyć się, wypowiedzieć cały ból, wyznać wszystką niedolę... Szlochanie zrywało się w sercu, podnosiły się złowrogie przeczucia... Hanka płakała z cicha, bezradnie...

— Wróć, wróć, póki czas jeszcze! — odzywało się rozżalone wołanie w niej czy kędyś za nią, w ciszy sennych równin.

— Hanuś! wróć, póki można! Tam matka czeka, tam dom twój i życie twoje, tam dobre dni... — wzywał ten głos.

Obejrzała się raz i drugi, nasłuchiwała... Potem niechętnie z odrazą patrzyła w dal, na jednostajne rozłogi śnieżnych pól, w noc, na posępne niebiosy...

Sanie mknęły. Daleko już był dom i daleko — wszyscy swoi a przed nią — męka, pokuta, samotność... Nikogo na całej ziemi... Sama pójdzie... Lęk chwycił Hankę, groza przyszłości zajrzała jej zbliżona w oblicze. I wówczas po raz pierwszy Hanka zadała sobie niepokojące pytanie, czy potrafi, czy wytrwa? Pochyliła się nad duszą swoją, zaglądała w nią i badała trwożnie żeby, się przekonać, zali nie wzięła nad siły... Ale uchwała sumienia trwała niezłomnie i nie zachwiała się wola.

— Trzeba! — była krótka i stanowcza odpowiedź.

Surowe słowo pokrzepiło Hankę. Podała się rozkazowi, jak gdyby pochodził od jakiej władzy, narzuconej z zewnątrz, rozumiejąc, że nie przekona i nie wzruszy. Gdy serce nękała jeszcze żałość rozłąki, dusza stanęła na onem wyniosłym i odległym wzgórzu, na którym poznała prawdę życia i oglądała znowu znikomość terazniejszej niedoli, małość cierpień ludzkich, radość poświęcenia, mądrość wiedzy istotnej.

„Strach ogarnia ciebie, tęsknisz, cięży ci samotność... męki przyjdą... otoczą ciebie źli ludzie... tak trzeba! Przemienie to wszystko, a spełnisz...“ — brzmiało nowe przykazanie.

I przeszła naraz bojaźń. Wydawało się Hance, że nie jest już sama na świecie, bezbronna, bezradna, zgnębiona, ale że towarzyszy jej moc wysoka i kierownicza, która przebywa w duszy, która z niej jest a roztacza nad nią opiekę i prowadzi do celu dobrego i pomoże wytrwać.

„Porzuciłaś matkę, dom rodzinny, bezpieczne schronienie, wyrzekłaś się złudnej rozkoszy kochania... tak trzeba! Przyjdą męki więzienia i wygnania, zapłacisz może śmiercią... tak trzeba“ — powtarzała sobie Hanka spokojnie, zdziwiona męstwem, które spłynęło na nią. Nie żałowała już siebie. Oblicze niewiadomej przyszłości przestało być groźnem. Oczom, wpatrzonym

w mrok chłodnych, milczących, obojętnych obszarów, ukazywała się jak gdyby daleka jasność. Zbłąkanej i grzesznej, wykołejonej i nieszczęśliwej zaświeciła gwiazda odkupienia, której oddawna szukała, do której tęskniła dusza. Oczyszczona w ogniu bóleści dusza, którą przez długie lata kalały złe żądze, którą trapiły wątpienia, którą znieprawiała zbrodnia, pożądała teraz odrodzenia przez czyn pokuty.

— Przeminię niedola, a spełnisz... tak trzeba, tak trzeba! — rozlegały się nieustannie w najtajniejszej głębi mądre, górne, krzepiące słowa.

A serce płakało ciągle i trwała ta sama boleść. Rezygnacya przyniosła odważny spokój, promień wiary rozświetlił ciemności... cierpienie zostało. Nie było tylko goryczy bezsilnego buntu, upadającej trwogi i daremnej a nużącej chęci ucieczki od męki. I w Hance nastąpiło jakoby rozdwojenie: obok wątlej, znękaney trudem życia, pochłoniętej smutkiem istoty stanęła inna, wyższa i lepsza, pełna męstwa i radości. To jedna, to druga brała przewagę, toczyła się walka. Hanka czuwała, żeby nie odeszła od niej, żeby nie opuściła jej wysoka i opiekuńcza moc. Gdy żalobne myśli mąciły podniosły nastrój, nasuwały się wzruszające obrazy i rozrzewniały wspomnienia, gdy wydawało się, że ktoś woła na nią i wzywa, żeby wróciła, powtarzała sobie cicho, cierpliwie, niby nad rozszołochanem dzieckiem, te same wciąż słowa, jak gdyby zawierało się w nich jakieś tajemnicze zaklęcie: przeminię, tak trzeba... i ocierała łzy, które płynęły wciąż, i próbowała uśmiechać się, śmiać się z własnej słabości. Potem znowu przyszło dobroczynne znużenie. Obojętnie, apatycznym wzrokiem patrzyła w plecy woźnicy, odpowiadała coś, gdy zaczynał zacny Andrzej rozmowę, zapytywała, czy jeszcze daleko... Długą niezmiernie wydawała się jej ta droga... Wreszcie zabłysły światła okien stacyjnych i owe tajemnicze zielone i różowe ognie latarni, które palą się na torze... To był pierwszy etap w bolesnej podróży.

Pożegnała Andrzeja, który także pragnął dowiedzieć się, kiedy panienska wróci, zabrała swój szczupły tłumok, zaniósła do poczekalni. Długo siedziała w nudnym pokoju, przyglądając się to karafce na stole, to kanapie, to ścianie, na której widniały niepotrzebne nikomu ogłoszenia. W pamięci szejurał wiersz, który przypomniał się ni stąd ni z owąd:

Wkoło mnie otoczyły moje równie sennie
 Pasmem jednakiem,
 Ale ja sobie lecę w krainy odmienne
 Umieć być ptakiem...

Szeptała tę strofę tak nieodpowiednią treścią i rytmem dla zabicia myśli... Wchodzili i wychodzili ludzie, palono papierosy, był na korytarzu gwar rozmowy. Hanka słyszała i spostrzegąca wszystko, ale jak gdyby z wielkiego oddalenia, jak gdyby otaczająca ją rzeczywistość była tylko odbiciem w lustrze jakiegoś odległego obrazu, niezajmującym sennym widzeniem, grą cieni. Nic nie łączyło jej z życiem, z temi snującymi się niespokojnie, gadatliwymi postaciami. Była sama, poza tem wszystkim, wyłączona i wytracona, nieskończenie daleka i obca...

W pewnej chwili w poczekalni uczynił się ruch. Zaczęto znosić eleganckie kufry, zjawił się lokaj w liberyi, za nim strojna i wysoka dama. Hanka poznała panią Annę Opolską, chciała wycofać się pośpiesznie, ale została... Można pani nie zwróciła na nią uwagi. Leniwymi ruchami poprawiała sobie przed zwierciadłem kapelusze i uczesanie, przewiązywała woal, gderała służącego, który w czemś zawinił, apatycznie usiadła na kanapie, poziewała. Na pięknej twarzy nie było dziś czarującego uśmiechu, owej ujmującej maski wdzięku i ożywienia... Hanka śledziła przez mgnienie swoją towarzyszkę podróży, potem rychło zapomniała o niej... Ale pani Opolska spostrzegła wreszcie... Zbliżyła się natychmiast, uprzejmie przeproszała, najuprzejmiej podtrzymała rozmowę, która nie kleiła się.

— Pani jedzie na długo? Pani wróci na święta? nieprawdaż? — były nieodzowne pytania.

— Nie wiem jeszcze...

— Ja mam trochę interesów, nieosobistych zresztą... Chciałabym otworzyć tu szkołę... Trzeba się krzątać, dopóki można... Sprawy społeczne, pani...

Pani Anna miała znowu swój śliczny uśmiech na twarzy, przedtem znudzonej.

— To nie rozczuła pani. Wiem, wiem, pamiętam... I nie dziwię się pani...

Pani Anna umilkła na chwilę, spuściła oczy, jak gdyby dumiała nad czemś.

— Lepiej jest tak jak pani — ciągnęła dalej — mieć swój cel wewnątrz siebie... bo owe zajęcia ideowe są poza nami, może nad nami, ale nie w nas... prawda pani?

Hanka nie wiedziała jak odpowiedzieć.

— Zapewne... — szepnęła.

— Ideału nikt nigdy nie posiadał — mówiła jeszcze pani Opolska — my wszyscy widzimy tylko jakiś blady cień, niepewny i nie-

uchwytny, i gonimy cień... Czasami cień ideału padnie na duszę, ale to nie rozgrzewa, nie świeci i nie zapełnia...

Głos pani Anny dochodził Hankę z daleka, i nie rozumiała słów.

— Więc cóż zapełnia pustkę?—spytała, żeby coś powiedzieć.

— Pani wie najlepiej... po co pani pyta?

W oczach Hanki odbiło się zdumienie.

— Pani wie przecież! Patrząc na panią i wówczas, i dziś, i niegdyś, myślałam — pani Anna urwała — myślałam, że kto postanowi zdobyć dla siebie, ten zdobywa zwykle, że najlepiej jest temu, który pracuje nie dla nieuchwytnych cieniów, ale na korzyść realnej wartości własnego krótkiego życia...

— Ja, pani?! — dziwiła się Hanka.

Szyderstwem świadomem czy bezwiednem brzmiały te pochwały.

Nastąpiło milczenie. Pani Opolska badała z przenikliwym zaciekawieniem bladą, mizerną, stroskaną twarz swojej towarzyszki podróży.

— Pani niedowierza? Pani wątpi? — mówiła potem przebiegle jakimś śledczym tonem—czyżby i pani się zawiodła? czyżby i pani wróciła z próżnymi rękami ze swojej wędrówki?

Siwe, rozumne oczy pani Anny szukały odpowiedzi na smutnem obliczu znękaney dziewczyny i wyczytały ją i z zadowoleniem znalazły cierpienie. Złośliwa myśl tkwiła na dnie tej dziewczynnej, sztucznej i górnej, niewłaściwej w poczekalni i na poczekaniu rozmowy. Hanka zrozumiała złośliwą czy mściwą ironię mściwych słów, i zaszła w dziewczynie naraz zmiana. Otrząsała się z apaty, przezwyciężyła zgnębienie, wyprostowała się i, patrząc z wysoka, wyniośle rzekła:

— Pani nie omyliła się... Był czas, że błądziłam... Teraz zaś zdobyłam i posiadałam — zadrżał jej głos i zatrzęsły się wargi.

— Wydaje mi się tylko, że my nie rozumiemy się z panią—dodała jeszcze — tanto szczęście, o którym pani... daleko...

— Pani sądzi... Oto już pociąg—zmieniła temat pani Anna.

Rozmowa urwała się. Nasłuchiwały obie. Rozległ się dzwonek, turkotało i huczało coraz bliżej, zatrzęsły się szyby... pociąg wpadł z łoskotem. Zawiałowca stacyi przyszedł eskortować panią Opolską, za którą lokaj niósł tłumoki. Hanka skierowała się także ku drzwiom. A w tej chwili wydało się jej, że za oknami na podwórzu wesołym i dziarskim akordem odezwały się jancezary. Gdy szła już do wagonu, cień zabiegł jej drogę.

— Pani — usłyszała znany głos.

Odwróciła się, Zgrajski stał za nią.

— Pani jedzie? czemu tak nagle? Pani wczoraj ani słowem... czy koniecznie? — mówił zdyszczanym głosem.

Przyglądała się w milczeniu. Nie były to już te same oczy, którym ulegała, dziwne, niepokojące oczy, i inny był człowiek. Obcy był, daleki, obojętny...

— Kiedy pani wraca? — pytał jeszcze.

— Kiedy ja wracam? — powtórzyła jak echo.

— Byłem w Jaworowie, dowiedziałem się, goniłem...

— Dobrze ma pan konie...

Nie umiała dość nacieszyć się, że taka odległość stanęła między nią a tym panem. Chłodno patrzyła w jego oczy...

— Nie wrócę już, panie — powiedziała — niech pan zapomni.

Inna panu przeznaczona...

I nagle uczuła litość dla niego.

— Jeszcze spotka ją pan i weźmie do swego domu i będzie pan szczęśliwy... z całego serca życzę — zakończyła serdecznie.

Skoczyła na stopień wagonu, pociąg już ruszał.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

IDEA I ARTYZM

w poezyi Konopnickiej.

I.

Pełnia serca, jako źródło artyzmu poetki.

Z pełni serca mówią usta. To cel istotny, to ideał słowa ludzkiego. Jakże często jednak brzmi ono na ustach ludzkich odgłosem wewnętrznej pustki serca, nietylko na poziomach realnej powszedniości życiowej — często, aż nadto często i na idealnych wyżynach sztuki.

Nie darmo ten wyraz „sztuka“ dwoiste ma znaczenie. Oznacza rzecz błahą, pustą, wymuszoną, fałszywą — jednym słowem sztuczną, oraz rzecz nieskończenie ważną i poważną, bogatą w treść, pełną prawdy i szczerości — jednym słowem artystyczną. Właściwie artystycznymi zwać należy jedynie twory Sztuki, powstałe z prawdy i pełni serca, w przeciwieństwie do tworów sztucznych, które, jak puste beczki wiezione po bruku, głośnie są, bo próżne. Zdarza się tu wszakże wielkie pomieszanie pojęć i nazw, dzięki któremu niejedna sztuczność przybiera pozory artyzmu, niejeden zręczny kuglarz lub sprytny handlarz Sztuki odgrywa rolę prawowitego jej władcy i mistrza, artysty. A jednak tak łatwo tu znaleźć normę porównawczą.

Nikt pono nie określił jej trafniej i dobitniej, jak jeden z największych artystów, Leon Tołstoj, w pełnym prawd wielkich i genialnych paradoksów piśmie swem: „Co to jest sztuka?“

„Skoro mam się zapoznać z dziełem jakiegoś artysty — mówi on tam — przede wszystkim stawiam pytanie: No, mój bracie, cóż

takiego masz mi do powiedzenia, jaką nową prawdę możesz mi odkryć?”

Pytanie aż naiwne w swojej prostocie, trafiające jednak w samo jądro kwestyi, w samą istotę różnicy pomiędzy prawdziwym i fałszywym artyzmem, pomiędzy Sztuką i sztuczością. Pierwsza jest mową pełni, druga—odgłosem próżni. Artysta mówi, bo musi mówić, bo to, co ma do powiedzenia, nadmiar tego, co w duszy mu wre i kipi, z nieprzepartą siłą do mówienia go nakłania; kuglarz Sztuki mówi, bo z mową swą chce się popisać, lub coś zyskać, coś osiągnąć przez nią zamierza.

W epoce, gdy twórczość artystyczna samorodnie, żywiłowo, z ducha ludzkiego wybucha, gdy pieśń poety, wedle wyrażenia Goethego, jest jako śpiew ptaka, „co wśród gałęzi mieszka,” a rzeźba, rysunek bezwiednem nieomal uzewnętrznieniem wewnętrznych widzeń plastycznych—Sztuka nigdy nie bywa odgłosem próżni, zawsze z pełni serca słowem, tonem czy kształtem widomym przemawia. Skoro jednak z postępem kultury samowiedza twórcza coraz bardziej na pierwszy plan występuje i zdobywa sobie coraz liczniejsze środki techniki wykonawczej—czyż te nie zastępują nieraz wewnętrznej, z nadmiaru czucia i myśli wynikłej konieczności tworzenia? Zdarzają się naówczas aż nadto często sztukmistrze, co właściwie nic nie mają do powiedzenia, jednak mówią wiele i rozgłośnie dlatego, że otrzymali z natury, lub przez kulturę zdobyli szczególny dar mowy, bogate jej środki wyrazowe.

Zdarzają się epoki, kierunki, szkoły, w których ten dar, te środki mowy uznane zostają za samą istotę sztuki, jedyną jej normę, najwyższą wartość. Wtedy to pytanie tak genialnego w swej przedziwnej naiwności artysty rosyjskiego szczególnej nabiera doniosłości. Niejeden z tych, co wiele mówią w sztuce dzisiejszej, przyciśnięty niem do muru, jakże mało mógłby na nie odpowiedzieć. A jednak i dziś, jak ongi, jak po wsze czasy, ten tylko, co dużo ma na nie do odpowiedzenia, prawdziwym jest artystą.

Istota sztuki się nie zmienia. Zawsze jest ona mową pełni serca, kipiącego w duszy nadmiaru treści twórczej. Każdy szczery artysta, jak wieszczka Kasandra w tragedyi Jana Kochanowskiego, może zawołać: gwałt mi się dzieje, nie władnę sobą; każdy mówi nie to, co chce, lecz co musi mówić, zniewolony władnącą nim przemożnie siłą twórczą. A ta siła nie samą tylko treść, lecz i formę dzieła określa, styl jego wyznacza. Właściwie styl, forma, to tylko zewnętrzne upostaciowanie treści, tak samo

konieczne, jak koniecznem jest ujawnienie jej z pełni serca, wylew jej z nadmiaru duszy.

Niema chyba w Polsce całej kulturalnego człowieka, któryby nie uznawał w Maryi Konopnickiej wielkiej artystki, genialnej mistrzyni języka i stylu. Jakże wielu jednak jest, nie mówię już połowicznych, ale nawet bezwzględnych, gorących wielbicieli jej artyzmu, oddzielających go od przekonań, dążeń, idei, którym on służy, od całej tej treści uczuciowej i myślowej, która przezeń do głosu dochodzi.

Przez czas dość długi różne, i to najistotniejsze treści tej objawy z niechętnem, a nawet wrogiem spotykały się w społeczeństwie naszym przyjęciem, nietyle może dla samej swej zawartości, ile dla niezwykłych, a silnych bardzo akcentów, z jakimi były wygłoszone. Nasłuchiwała się, w początkach szczególnie swego zawodu, młoda poetka zarzutów, wyrzutów i potępień bez liku. Doktrynerka, rewolucjonistka, szerzycielka waśni społecznej w narodzie: oto najzwyczajniejsze pomiędzy nimi. W późniejszych okresach jej twórczości przycichły stopniowo te głosy niechęci. Mówiono, że uspokoiła się sama poetka w swych rzekomo burzycielskich zapędach. Czy nie zachodził tu raczej odwrotny stosunek? Czy nie uspokoił się jej przeciwnicy w dopatrywaniu podobnych zapędów tam, gdzie wcale i nigdy ich nie było? To pewna, że i później aż do końca, aż do kresu jej zawodu twórczego i życiowego nie brakło, i dziś nie braknie głosów, wystawiających Konopnicką przeważnie lub wyłącznie jako znamienitą poetkę-artystkę, niezrównaną wirtuozkę formy poetyckiej, którą doprowadziła do najwyższego stopnia doskonałości.

Sądzę, że nic nie było bardziej przeciwnego celom i dążeniom poetki, nic bardziej obcego istotnej naturze jej indywidualności twórczej. Żyć i tworzyć w oderwanej od ogólnoludzkich poziomów, czy we wzniesionej ponad nie dziedzinie czystej sztuki nie umiała, nie mogła, nie była zdolna. Smutne, tragiczne tych poziomów odgłosy zakłócały nieraz artystyczne harmonie jej pieśni, obniżały może czasem czysto artystyczny ich nastrój nadmiarem zbyt odstającej odeń tendencyjności. Sama poetka wielokrotnie określiła tę charakterystyczną swej twórczości właściwość, gdy np. w jednym ze swych „Urywków“ lirycznych mówi:

Nie wam słowiki wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą różo kwitnąć przy drodze —

lub gdy w innym wierszu wyrzeka się wyżyn „wieczystej pogody“ i ponad chmurne niziny ziemskie los swój zawsze chce zwracać:

Ja będę latać, jako ptak zraniony,
 Nizko nad ziemią tą, co w bólach kona,
 Bym mogła objąć z miłością w ramiona
 Smutnych miliony!

I — jak jaskółka — bijąc w skrzydła drżące,
 Latać ja będę nad niskie zagrody,
 Nad pola nasze i lasy szumiące
 I modre wody...

W miesięczne noce za mgłami srebrnemi
 Posłyszę skargi — i rany obaczę...
 I pytać będę uspianej tej ziemi:
 — Ach! kto tam płacze?

Jakiś przysięgły esteta gorszyć się może temi upodobaniami do niziwnych lotów, tem dobrowolnem zrzekaniem się wieczystej wyżyn parnaskich pogody; — ale pytam: czyż obecnie polski poeta, mający w swem sercu coś więcej niż kamerton estetycznych nastrojów, może dostrajać swą lutnię do niezmaconych harmonij parnaskich? A gdyby mógł, czyż wielka wynikłaby stąd chwala dla niego i dla społeczeństwa, co go wydało?

W swych wykładach paryskich mówi Mickiewicz o pewnym poecie rzymskim z epoki upadku, który w chwili klęsk straszliwych nawałem walących się na jego ojczyznę, z musu przebywając na dworze jakiegoś germańskiego królika, w braku innych tematów, z nieporównanym artyzmem opiewał rybki igrające w Morelli, gdy równocześnie wśród otaczających go barbarzyńców brzmiały szorstkie pieśni, pobudzające do walki i zwycięstw.

Nie daj Boże, abyśmy kiedykolwiek doszli do wyrafinowania rzymskiej dekadencji, aby nasza poezya i sztuka miała jaśnieć tym specyficznym rodzajem piękna, który znawcy w tych rzeczach, Francuzi, określają jako *beauté de la décadence*. Odbłyśki jej przez czas pewien tu i owdzie migotały w naszej literaturze ostatniej doby, ale trwalszych ognisk nigdy w niej nie zdołały sobie wytworzyć, a wybitnym, a tembardziej naczelnym, przodowniczym jej talentom zupełnie pozostały obce.

Nic wspólnego nie miał z nimi zaiste wyżyn genialności sięgający talent Konopnickiej. Podziwiana słusznie wirtuozka formy, niezrównana poetka-artystka, dla której sztuka mcwy związanej nie miała żadnych trudności, żadnych tajemnic, jakże daleką była od wyłączoneści w sobie samym rozkochanego, sobą samym rozkoszującego się estetyzmu parnasistów. Czyż można ją sobie wyobrazić opiewającą igraszki rybek w Wiśle lub Niemnie, gdy

na wybrzeżach tych rzek ojczystych tyle ludzkich łez płynie, tyle jęków ludzkich się rozlega. Twórczość autorki „Pana Balcera“ zawiera precudne, bezcenne perły artyzmu, a każda z nich powstała z krwawych ran serca poetki, bolejącego nad ogromem niedoli ludzi-braci i braci-rodaków. Stąd ich prawda wewnętrzna, ich wartość niepożyta. Nie są to sztuczne naśladowcze wyroby kunsztu śpiewaczego, lecz naturalne samorodne twory śpiewaczego geniuszu, w których dusza ludzka wiernie się odzwierciadla, serce ludzkie z pełni swej przemawia, nadmiarem swym się przelewa.

Żaden talent twórczy nie wytrzyma lepiej od talentu Konopnickiej próby tołstojowskiego pytania: co mi masz do powiedzenia? jaką prawdę masz mi do odkrycia? Wiele, wiele miała nam do powiedzenia nieodżałowana poetka, wiele rzeczy smutnych, wiele prawd bolesnych, które uświadomione, wypowiedziane być musiały, jako domagające się światła i głosu przeżycia naszej duszy zbiorowej, nieodzowne warunki jej odzycia, jej odrodzenia w lepszej, szczęśliwszej przyszłości, z takim upragnieniem wyglądanej tak serdecznie przeczuwanej i zwiastowanej przez smutną śpiewaczkę obecnej naszej niedoli. Słowa z tych uświadomień, z tych przeczuć i zwiastowań, z ujmującej je myśli twórczej zrodzone, nietylko błyszczą i dźwięczą cudami artyzmu, lecz także — że użyję tu potężnej przenośni mickiewiczowskiej — „drżą nad myślą, jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką.“

„Z drżenia ziemi, czyż ludzie głąb nurtów docieką?“ — pytam dalej z Mickiewiczem.

Trudne zaiste zadanie, tem trudniejsze, im z głębszymi nurtami myśli poetyckiej mamy do czynienia. A jednak podjęte i w miarę możliwości rozwiązane być musi, jeśli nie samo tylko używanie artystyczne z tworów poety osiągnąć mamy. Czyż można wątpić, że poza nim, ponad nim widziała cel swój istotny poetka, co „nie słowikom przyszła wtórzyć,“ co smutnych miliony z miłością w ramiona objąć chciała? Czyż nie daje się odczuć w jej pieśniach drżenie słów, świadczące o nurtującej pod nimi żywej, twórczej myśli? Sprobujmy z drżenia tego głąb nurtów odgadnąć. Bije z nich światło wielkiej i górnej idei, co serce poetki nadmiarem uczucia przepełnia i wylewa się na zewnątrz przedziwnie artystycznym słowem jej pieśni.

II.

Idea, jako istotny czynnik twórczości poetki.

Na wstępie pytanie: dlaczego koniecznie w idei ma się streszczać główny wątek twórczości Konopnickiej? Liryka właściwą jej dziedziną. Owóż w tej tak nawskroś osobistej, indywidualnej, podmiotowej dziedzinie geniuszu poetyckiego, z natury swej przedmiotowa i ogólnoludzka treść ideowa mniejsze, aniżeli w jakimkolwiek innym rodzaju poezji musi mieć znaczenie. Czyż można mówić o jednolitej, zasadniczej idei w lirycznych pieśniach Goethego, Musseta, Mickiewicza, a choćby współczesnego Konopnickiej - Asnyka?

Zresztą i w innych działach poezji idea nie może być po czytana za objaw samorodny, pierwotny, twórczy, lecz raczej za wtórny, pochodny. Pierwotną jest pełnia życia, wrząca w duszy poety, wylewająca się na zewnątrz w jego twórcach. Idea jest pewną konsekwencją umysłową (zresztą wcale nie konieczną) całego psychicznego procesu tworzenia.

Za przykład typowy może tu służyć twórczość tak nawskroś samorodnego geniuszu poetyckiego, jak Leon Tołstoj. W początkowych, młodzieńczych, a nawet w wielu późniejszych jego utworach, ani śladu jakiegokolwiek idei; tylko potok życia przelewa się w nich bystrym, żywiołowym pędem. A oto widzimy następnie ideę, wynurzającą się zeń stopniowo i w końcu tak przemożne nad nim osiagającą władztwo, iż dochodzi do zaprzeczenia wszelkich twórczych dążeń, wszelkich artystycznych intencji sędziwego poety. Wiele możnaby jeszcze przytoczyć przykładów takiego wtórnego w poezji powstawania idei, takiego przeciwstawiania się jej samorzutnej twórczości. Oto „Dziady“ mickiewiczowskie. Jasną jest rzeczą, że skoro wyrastająca z nich idea zawładnęła całkowicie duszą naszego wieszacza, poemat jego życia musiał pozostać olbrzymim fragmentem, którego dokończeniem stać się mógł jedynie czyn jego życia, czyn całego narodu, co go wydał, co w nim osiągnął kulminacyjny punkt swej świadomości zbiorowej. A oto odmienny przykład: „Faust“ Goethego, tak w drugiej swej części wystudzony przez tendencję ideową i przy całej swej abstrakcyjnej wielkości i mocy tak osłabły w żywiołowym rozpędzie, którym wybuchnął ongi w młodzieńczem natchnieniu części pierwszej.

Umyslnie uwydatniam tu dobitnie przeciwieństwo pomiędzy ideową i samorzutnie twórczą dążnością w poezji, aby tem wyraźniej zaznaczyć moje stanowisko w poglądzie na wzajemny stosunek idei i artyzmu w twórczości Konopnickiej.

Nie myślę wcale poczytywać idei za źródło, za istotną pobudkę twórczych jej natchnień. Niewątpliwie byłaby ona wielką poetką, gdyby bez żadnej dążności ideowej śpiewała—jak się wyraża Kochanowski—„sobie tylko a Muzom nic, nie cudze rzeczy.“ Ale czy przy swej organizacyi psychicznej, ze swą indywidualną naturą duchową mogła tak śpiewać, jako poetka polska w danej epoce, w danych warunkach życia swego narodu? Oto jest pytanie.

Są epoki, w których naród, żyjący w bogactwie i rozkwicie swej obecności, wydaje poetów, co całkiem w niej pogrążeni, nią nasyceni, z pełni osobistego swego życia snują wątek swych pieśni. Są poeci, którzy w epoce zubożenia życia publicznego umieją zasklepić się we względnem bogactwie własnego prywatnego życia i w niem znajdują źródło i pobudkę twórczych swych natchnień. Nie taka była epoka, w której przyszło żyć i tworzyć naszej pieśniarce i nie taka była indywidualna jej natura twórcza.

Lata po roku 1863, po straszliwym kataklizmie dziejowym, który wyczerpał siły, stłumił nadzieje, zdusił pragnienia i aspiracye—czyż nie musiały stać się epoką ogromnego zubożenia życia publicznego, ogromnego zacieśnienia widnokręgów, obniżenia poziomów? Natury pospolite tak lub owak przystosowywały się do tych zubożeń—natury mało żywotne zadawały się problematycznymi, lub zgoła imaginacyjnymi bogactwami swego życia indywidualnego. Z takich to bogactw czerpał swe natchnienie niejeden z ówczesnych doszczętnie skarłałych epigonów romantyzmu, co to nic lepszego nie mieli do czynienia, jak w miłosnem roztkliwieniu „konać wciąż z męki na sonetów stosie,“ wedle sarkastycznego wyrażenia przedziwnego ironisty poetyckiego tej epoki, Asnyka.

Naturze Konopnickiej obcy był, a przynajmniej niezbyt swojski, pierwiastek ironii. Nie w niej nie było z melancholijnie ironicznego sceptycyzmu asnykowskiego, zrodzonego w subtelnej i wrażliwej duszy śpiewaka „Głębin“ na ruinach tyłu wielkich nadziei, tyłu górnych pragnień. I ona wprawdzie widziała dokoła siebie, czuła we własnej swej duszy ruinę, jako jedyną w dobie współczesnej pozostałość po wzniosłych, niedokończonych konstrukcyach życiowych tak niedawnej przeszłości; ale natura niezmiernie żywotna, łącząca entuzjastyczną uczuciowość kobiecą

z trzeźwą, męską wolą, nie mogła popaść w zwątpienie. Nie miała też właściwego Asnykowi zmysłu krytycznego, jego przenikliwej myśli analitycznej; stąd nadto może pochopną była do przyswajania sobie myśli nieprzemyślanych do gruntu, do przemawiania się uczuciami i dążeniami w rzeczywistości życiowej, nie mającemi dostatecznego uzasadnienia.

Z tych czy z owych, może i z tych i z owych powodów była ona skłonna raczej do wiary w przyszłość, choćby nieokreśloną, niewyraźną, niepewną, aniżeli do boleśnie sceptycznych rozmyślań, melancholii pełnych ironizowań nad ruiną tragiczną, jaką przeszłość w terażniejszości pozostawiła. Zarazem ze swego braku i ze swego nadmiaru czerpała poetka tę wiarę: z braku myśli krytycznej, z nadmiaru siły żywotnej, nie mogącej się pogodzić z rozpaczynym krytycyzmem zwątpień, unoszonej nieraz nadto łatwowiernym może entuzjazmem pragnień. Umiała ona kochać i wierzyć nietylko „w krwawej przeszłości uścisku,“ jak śpiewak tragicznego „Nokturna,“ lecz także i przedewszystkiem w serdecznym, namiętnym porywie ku upragnionej przyszłości.

Jasną jest rzeczą, że tylko na skrzydłach idei wzlatać ku niej mogła. Wszelkie czynne realne w wyższą, doskonalszą przyszłość dążenia wśród danych warunków zupełnie były niemożliwe, a zatem i wszelkie w poezji i sztuce z uczucia wprost wynikające samorzutne, żywiołowe tych dążeń podniety. Wiadomo, jaki grad zarzutów posypał się wtedy w dobie rozkwitającego u nas pozytywizmu, przeciw tego rodzaju porywom poetów poprzedniej romantycznej epoki. Wogóle wszelka poezya wpadła naówczas w posądzenie o szkodliwe, rozstrajające na pozytywną pracę i dążność ludzką oddziaływanie. Zaledwie ją tolerowano, jako zanikający stopniowo przeżytek przeminionego już okresu. „Niech nam przygrywa, gdy będziemy pracowali,“ mówił o niej pogardliwie Zola.

Jakże to charakterystyczne, że tak Konopnicka, jak i Asnyk, ogłaszając w tej epoce pierwsze zbiory swych utworów, umieszczają na wstępie obronę wieczystych praw poezji. Potrzebowała ona zaiste obrony, i to nietylko przed swymi wrogami, ale więcej jeszcze może przed wielu niepowołanymi adeptami, którym tak dobrze było mieć kąć własny na Parnasie i tam

... w laurów cieniu
pod opieką Muz dziewięciu,
w poetycznym zachwyceniu
żyć po własnym wniebowzięciu.

Tak wyszydzał Asnyk w swym doskonałym „Napadzie na Parnas“ niefortunnych spadkobierców lutni romantycznej, oświecając równocześnie ironicznymi promieniami swej przesubtelnej satyry ich nowoczesnych przeciwników, usiłujących z poezyi uczynić służebnicę nauki, głosicielkę jej chwały, rzeczniczkę jej doktryn i hipotez.

Jakież stanowisko zajęła Konopnicka wobec tych nowych pozytywistycznych uroszczeń i starych przeżytków romantycznych?

Jak wspomniałem, do ironii nie miała ona skłonności, w odosobnieniu ironizującego sceptycyzmu, wzorem Asnyka, ani mogła, ani umiała się zainykać — zbyt jednak była poetką, aby wraz z tłumem ówczesnych nowatorów głosić hasła pozytywistycznego odnowienia, a właściwie zaprzeczenia poezyi—i zbyt była naturą samorządną, twórczą, żywotną, aby kroczyć po bardzo już wychodzonych, przetartych ścieżkach dawnego romantyzmu.

Romantyzm był dla niej stanowiskiem zupełnie i bezwzględnie przewyższonem, w wyższym stopniu, aniżeli dla autora „Snu grobów,“ który w samem swem ironizowaniu tyle okazywał charakterystycznie romantycznych skłonności. Konopnicka pod tym względem nierównie bardziej była od niego nowoczesną, nierównie ściślej zespoliła się z duchem czasu, głębiej przejęła się jego dążnościami i zupełniejszy w swej poezyi dała im wyraz.

Na wskroś nowoczesną była przede wszystkim jej społeczna ideowość, objaw w tem natężeniu i znaczeniu, jakie przybrał u autorki „Obrazków“ i „Fragmentów“ całkiem w poezyi naszej nowy, przez prądy czasu w niej pobudzony, w pewnym względzie antyromantyczny. Romantyzm znał uniesienia patryotyczne, wszechludzkie ideały, rewolucyjne ku nim porywy, ale idea pracy, działalności społecznej, społecznego dla warstw upośledzonych współczucia zupełnie była mu obca, szczególnie naszemu ze schyłku stulecia romantyzmowi epigonów, który w egotyzmie swych roztkliwień, rozczuleń i rozkochań „żył po własnem wniebowzięciu.“

Nic nie było bardziej obcego poezyi Konopnickiej, jak wszelki wogóle egotyzm, nie mówiąc już o wspomnianej co tylko jego parodi. Na całym obszarze liryki wszechświatowej niełatwo pono znaleźć takiego jak u niej zaparcia własnego *ja*, nie własnej jaźni, jako objawu odrębnej indywidualności psychicznej, owszem, bardzo wyraźnie u niej zarysowanej, lecz tego ukochanego naszego *ja*, które wszyscy, bez względu na jego wartość istotną, tak serdecznie w sobie pielęgnujemy i pieścimy, którem poeci tak lubią świat zajmować, światu imponować, choć często ani zajmującym, ani imponującym nie może to być u nich nazwane.

Konopnicka, jakże daleka jest od wszelkich tego rodzaju upodobań, jak mało zajmuje czytelników swą osobą, swemi osobistymi sprawami! W kilkunastu tomach jej poezji nie znaleźć ani jednego utworu o czysto egotycznej treści. Indywidualne stany i nastroje w lirycznej przeważnie jej twórczości z natury rzeczy wyraźnie musiały się zaznaczyć, ale zawsze pobudzane przez dążenia ogólne, przez sprawy publiczne, które nietylko w myśli, lecz i w sercu poetki przemożnie władną, potrącając w nim wciąż najczulszą, najsilniej brzmiącą strunę wielkiego umiłowania ziemi rodzinnej i ojczyznoznawstwa. Rzekłbyś, że cała indywidualność poetki temi uczuciami została określona, w nich się wyczerpała, jakby zaprzepaściła.

Oto, co rozumiem przez ideę, jako zasadniczy czynnik twórczości Konopnickiej—ideę, nie stan myśli abstrakcyjnej, lecz żywą siłę psychiczną, określającą wszelkie widnokreśli duszy, wyznaczającą wszelkie drogi i kierunki twórczych natchnień poetki. Wszelako i w tym wszechogarniającym indywidualności twórczą rozkwicie jest ona, jak wszędzie i zawsze w poezji, zjawiskiem nie pierwotnym, ale wtórnym, pochodnym. Pierwotną była tu specyficzna, ogromnie spotęgowana wrażliwość na to wszystko, co z otaczającej sfery ojczyznoznawstwa, ojczyznoznawstwa do duszy poetyckiej z żywiołową mocą wnikało—idea, jako świadome wrażeń tych uprzedmiotowienie i zwrócenie w określonym kierunku dążeń umysłowych, wyobrażeń, pojęć i uczuć stopniowo dopiero w następstwie duszą poetki tak przemożnie zawładnęła, iż określiła i uwarunkowała rozstrzygająco treść całą i formę, i cały wogóle charakter jej twórczości.

Przyczyną istotną tego ideowego nad nią wszechwładztwa, jak wyżej zaznaczono, specyficzne bytu narodowego, chwili dziejowej warunki, wśród których przyszło jej żyć i tworzyć. Jak Alf mickiewiczowski szczęścia w domu, tak ona pełni życia duchowego, pełni twórczego natchnienia nie mogła znaleźć w sobie, bo jej nie było w ojczyźnie, tak straszliwie zubożałej, wyczerpanej w swem życiu zbiorowem przez okropną świeżo przeżyta klęskę. „Głuche po nocach wołanie,“ o którym tak przejmująco mówi w jednym ze swych wierszy—wołanie idące z rozległych, opustoszałych przestworów bytu ojczyznoznawstwa, tłumilo w jej duszy wszelkie oddźwięki osobistych uczuć, osobistych pragnień, pożądań, takimi cudnymi akordami brzmiące nieraz w pieśniach poetów-liryków.

A jakże miała odpowiedzieć na te tragiczne wołania? Czy wezwaniem: dalej z posad bryło świata! co tak potężnie zagrzmia-

ło na wstępie naszej epoki romantycznej? Nie takich hasła potrzebowała epoka pozytywnej pracy. Ten, co potrzebom jej chciał sprostać, co wynikającym z nich „głuchym wołaniom“ chciał odpowiedzieć—działacz, myśliciel, czy poeta — trzeźwą myśl refleksyjną musiał wyzwać na pomoc, zrodzoną z niej ideę musiał obrać sobie za hasło przewodnie.

Intuicyjnem poczuciem zadań swych wiedziona, młoda poetka z treści ideowo-refleksyjnej snuła głównie, wyłącznie nieomal wątek swej twórczości. Nietylko swego *ja* osobistego, poniekąd i swego *ja* poetyckiego, t. j. swych żywiołowych poetyckich porywów wyrzekła się w służbie tych zadań, w służbie ducha publicznego, przez nie wyobrażanego. Niewątpliwie tendencyjność ideowa przynosiła pewną ujmę pierwszym jej poezjom. Asnyk, bardziej osobisty, bardziej w sobie zamknięty, wyłącznie sobie śpiewający, przewyższał ją czystym artyzmem swej liryki. Ale któż mógł ją przewyższyć w sile miłości dla spraw i zadań, którym twórczość swą poświęciła, dla idei, którą w pieśniach swych głosiła? Ta miłość coraz wszechstronniej i zupełniej ogarniająca całe jej jestestwo, coraz potężniejszą siłą natchnienia odbiła się w jej pieśniach i wzbudziła w niej takie moce twórcze, wzniosła ją na takie wyżyny poezji i sztuki, jakie tylko największym w naszej literaturze dano było osiągnąć. Te cuda miłości, powodujące utożsamienie się poetki z ideą i rozkwit idei istnymi cudami sztuki, to niewątpliwie jeden z najgodniejszych uwagi objawów nowoczesnej naszej twórczości poetyckiej, jeden z najwymowniejszych dowodów energii żywotnej, zawartej w twórczym geniuszu naszego narodu.

III.

Liryka młodzieńcza; — jej motywy społeczne. — „Modlitwy wiosenne,“ „Echa majowe,“ „Obrazki.“

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnymi
Otworzy i Bóg niech słuha!

.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli?

(Z dni smutku. I, II.)

Oto charakterystyczne motywy młodzieńczych poezyj Konopnickiej. Idea społeczna wyłącznie nieomal w nich panuje i wyraża się współczuciem dla upośledzonych, cierpiących, skrzywdzonych, skargą w niebo rzuconą na ludzką niedolę, skargą na „krzywdzicieli,“ niedoli tej sprawców, na rozkosznisiów życia, obojętnych jej świadków. Jak dalece ta idea, te uczucia określają charakter i ton zasadniczy twórczości poetki, można rzec, jej twórcze powołanie, dowodem ogromna różnica pomiędzy żywionemi przez nie pieśniami i temi, które im są obce, ogromna wyższość pierwszych nad drugimi pod względem siły natchnienia i stopnia artyzmu. Właściwie Konopnicka tam się dopiero zaczyna, gdzie się zaczyna jej myśl społeczna, jej społeczne współczucie, jej skarga na „krzywdy ziemi,“ jej gniew na „krzywdzicieli.“ Takie np. rzeczy, jak: „Klaudya,“ „Tarcza Scypiona“ (w I-iej seryi „Poezji“ z r. 1881) piękną mają formę, ale jakże blade, bezbarwne w tonie, jak pozbawione stylowego indywidualizmu. Pochodzący z tegoż czasu „Romans wiosenny“ jest pięknym poematem lirycznym w rodzaju „Szwajcaryi“ Słowackiego: oto wszystko, co o nim można powiedzieć. Cykl pieśni „W górach“ zawiera już prawdziwe klejnoty poezji (np. „Na Czorsztynie“), w całości swej jednak dość jest ogólnikowy, nie wyodrębnia się jeszcze żywiołową, samorzutną mocą wielkiego talentu. Tu i owdzie wszakże dają się w nim już słyszeć charakterystyczne tony liryki Konopnickiej: „Ach! na co górom te korony?“ — pyta poetka, wysławiając śnieżny majestat szczytów, a myśląc równocześnie o grozie ich lodowisk nad góralską wiszącą chatą.

Przedziwne odczucie, cudne obrazowanie przyrody, to jedna z najwybitniejszych zalet naszej pieśniarki; ale—jakże to znaczące—nigdy ona nie zachwyca się przyrodą samą w sobie, nigdy nie kreśli jej obrazów w odosobnieniu od życia, owszem, zawsze roztacza je w związku ze zjawiskami życiowemi, często w symbolicznem do nich ustosunkowaniu; nieraz boleśnie odczuwa czary i uroki przyrody wobec cierpień i mąk ludzkich, nad któremi, obok których one jaśnieją. Oto jej „Modlitwy wiosenne.“ Jakież przeciwieństwo do zwykłych uniesień poetyckich na temat Maju-rajy, wiosennych upojeń, wiosennych marzeń i tęsknot

Ty nam Boże nie strój ziemi
W kwiatów puchy,
Póki łzami gorącemi
Płaczą duchy,

Póki głos namiętny bije
 W twe niebiosy,
 Niechaj ziemia dżdżu nie pije,
 Kwiaty—rosy.

Jest to raczej przekleństwo, rzucone majowym urokiem, aniżeli czuły nad nini zachwyty. W dalszej osnowie pieśni jeszcze dobitniej woła poetka:

Boże! z ziemi zdejm zasłonę
 Oblubieńczą,
 Póki duchy znieważone
 W pętach jęczą...
 Niechaj w czarnym kirze stanie,
 Jak sierota,
 Gdzie mgła światów przez otchłanie
 Wieje złota.

(Modl. wiosenne II).

Nie zmysłowe zatapianie się w rozkoszach przyrody, lecz władztwo nad nią ducha cierpieniem ludzkości rozbolałego i szukającego dlań ukojenia w górnych strefach: oto myśl przewodnia tych „Modlitw wiosennych“:

W noc miesięczną, w noc majową
 Duch się zrywa i ulata
 Ponad nędzę i lży świata
 Archanielską trzyma straż.

(Tamże III).

Nawet czarowne dźwięki słowicze nie mogą jej upoić aż do utraty świadomości potrzeb i niedostatków życia

Nie skowronkom, nie słowikom
 Ty, co stwarzasz Maj,
 Lecz śpiewakom i lirnikom
 Siłę pieśni daj!

Jest to modlitwa błagalna o dar potężnej i twórczej pieśni w narodzie, zdolnej pobudzić w nim „wielkich wrzuseń dreszcz“

Niech się zbudzi narodowa
 Lira z śmierci snu!
 Niech rozdźwięknie wieszcze słowa,
 Niech nabierze tehu!

.

Dziś, gdy dajesz posłuchanie
 Najnędniejszej z traw,
 Czyż wyzujesz ducha Panie
 Z odrodzenia praw?

Zasłuchana w pieśń przyrody,
 Czuję łyzy i ból;
 Pieją ptacy, szumią wody,
 A gdzież jest ich król?

(*Tamże IV*).

Człowiek, król stworzeń przyrodzonych, to nie piękny tylko frazes w ustach poetki, lecz wyraz szczerzej, głębszej jej wiary w godność ludzką, w nadprzyrodzone ducha ludzkiego powołanie. A czemże duch narodu jeśli nie uduchowionego wszechczłowieczeństwa objawem?

W danym okresie swego rozwoju, pod wpływem oddziaływających na nią ówczesnych prądów humanitarno-demokratycznych, moment narodowy nie występował na pierwszy plan uświadomień i natchnień poetki, później dopiero w całej swej pełni i mocy się ujawnił; że jednak i wtedy, w młodocianych latach, tkwił na dnie jej duszy, jako zasadniczy żywioł psychiczny i twórczy, dowodem między innymi przytoczona pieśń, pełna takiego gorącego pragnienia narodowej mocy, której w sobie nie czuje, której oddźwięk chciałaby posłyszeć „z nieśmiertelnych lir.“ Po latach wielu ziściło się w pewnej mierze to pragnienie, ziściło się we własnych pieśniach poetki, które najwyższym narodowym tonem „uderzyły w serca jako dzwon.“ Czy zdołają w nich pobudzić „narodową moc?...“ Przyszłość to rozstrzygnie, nie wiedzieć daleka czy bliska. Nie na dnie, ni miesiące, na lata i wieki rozciąga się działanie takich pieśni.

Nie wszystkie pieśni z I-jej seryi „Poezjy“ wytrzymać mogą tę próbę czasu. Niektóre dziś już zgłuchłym brzmia nam tonem, inne od samego początku nie były dociągnięte do wysokiego tonu, stanowiącego istotną miarę natchnienia pieśniarki; są wszakże i takie, które do tonu owego bardzo się już zbliżają lub nawet w pełni go osiągnęły. Jak wyżej zaznaczyłem, są to przede wszystkim pieśni, odrzucające temi uczuciami i dążeniami, które za objaw, za wyraz ideowego posłannictwa poetki uznać możemy: uczuciami miłości dla ludzi, współczucia dla ludzkiej niedoli, dążeniami do pobudzenia serc obojętnych, oświecenia umysłów ciemnych lub dobrowolnie zaślepionych na widok rozgrywanej się dokoła nich odwiecznej tragedii człowieka. Przytoczono

ne powyżej „Modlitwy wiosenne“ z tego tragicznego współczucia wynikłe i pod względem czysto artystycznym ze wszech miar godne są uwagi, jako posiadające już w bardzo wysokim stopniu znamienne przymioty stylu Konopnickiej. Przeciwwstawienie wiosennych bogactw ziemi i wiekuiestej nędzy króla, jej człowieka, działa tu niezmiernie silnie, tem silniej, iż bogactwa te ukazane tu są przez pryzmat takiego artyzmu stylowego, a ta nędza tak dobitnie uwydatniona tragiczną grozą swego odbicia we współczującym sercu poetki.

Stosunek wrażliwości na piękno przyrody do wrażliwości na nędzę ludzką, czyli stosunek artystycznego i ideowo-uczuciowego pierwiastku w duszy poetki bardzo charakterystycznie zarysowuje się w drugim, krótkim cyklu pieśni wiosennych p. t. „Echa majowe“ (z tejże I seryi „Poezyl“). Tutaj artyzm zdaje się przeмагаć, nawet pewnego rodzaju poetycki egotyzm zrazu na pierwszy plan występuje. Naprzód panteistyczne, pełne utęsknienia zatapianie się w przyrodzie:

Zaklinam ciebie, o ty ciemny lesie
Przez ciszę twoją!
Zaklinam ciebie, niechaj mię ukoją
Twe szумы!...

.

O lesie ciemny! niech ja się rozwięję
W mgły lekkie, sine...
O lesie ciemny! niech ja tak przeminę,
Jak echo...

(*Echa maj. I*).

W ślad za tem ów cudny wiersz, jedna z pereł liryki polskiej:

Senne róże, białe róże,
Dobrej nocy wam!

i ów namiętny końcowy wykrzyknik:

Szczęścia! szczęścia! choćby chwilę
Przelotną wśród burz,
Co skrzydełka ma motyle,
Znika z brzaskiem zórz...
Choćby tyle ile rosy
W polnem kwiecie drży!
Wiosno! ziemio! wy niebosy,
Szczęścia dajcie mi!

(*Tamże II*).

Zda nam się, że już już przyłapałiśmy poetkę na gorącym uczynku egotyzmu, może nawet egoizmu pragnień... Aż oto przetrucamy jedną stronicę i widzimy, że te pragnienia mniej jeszcze trwałe niż szczęście, ku któremu się zwracają, mniej niż rosa, co w polnem kwiecie drży, i wnet ustępują miejsca takiej oto rozmowie ze słońkiem na niebie:

Nie miejże urazy do mnie słońko moje,
 Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję.
 Nie miejże urazy słońko brylantowe,
 Że ja mam łzy w oczach i schyloną głowę,
 Ty chodzisz po niebie, po błękitnem niebie,
 Złote chmurki biją gościniec dla ciebie,
 Zorza cię obrzuca różami jasnemi...
 Ty chodzisz po niebie, ja—po smutnej ziemi.

.....

Nie bywasz ty słońko w ponurej ciemnicy
 Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;
 Nie bywasz słońeczko w poddaszu ubogiem,
 Gdzie wilgotne ściany kostnieją za progiem,
 Nie widzisz ty nigdy zbrodni skrytej w cieniu,
 Nie wiesz, co bezsenna noc mówi sumieniu
 I ledwie promyczek pierwszych brzasków blady
 Zasłyszysz żądź mętnych płomienne narady.
 Ty nie widzisz słońko z wysokiego nieba,
 Jak się sen sprzedaje za kawałek chleba;
 Ty nie widzisz matki schylonego czoła
 Nad kolebką dziecka, co próżno: jeść woła...

(*Tamże III*).

I cóż się stało z pragnieniami szczęścia? A gdyby ono naprawdę stało się udziałem poetki — czyżby wiedziała co z niem począc „na tej smutnej ziemi,“ wobec tych smutnych widoków, których nie widuje „słońko z wysokiego nieba?“

Problemat szczęścia raz jeszcze powraca w tym samym zbiorze w pełnej melancholijnego liryzmu pieśni, co za szczęściem leci, wszędzie o nie pyta, a dopytuje się go wreszcie—w mogile.

Takie pragnienia szczęścia, takie za niem loty, pogonie rzadko zjawiają się w sferze indywidualnych, osobistych dążeń poetki. Wie ona zawsze i czuje, że szczęścia swego nie znajdzie, bo go niema—w ludzkości, jak sądzi w danym okresie swego rozwoju duchowego; ale w gruncie rzeczy wychodzi to na mickiewiczowskie: „bo go nie było w ojczyźnie.“ Poetka czuje ten brak w sferze, wśród której żyje, w powietrzu, którem oddycha—do-

tkliwie, boleśnie czuje go w ojczyściej swej dziedzinie, ale w procesie uświadomienia go wedle ówczesnych swych humanitarno-demokratycznych kategorii myślowych, uogólnia go, rozciąga na całą ludzkość. Jak Krasiński—wedle znanej przenośni Klaczki—zatacza ona w swym rozwoju koncentryczne, zwięzające się wciąż koła, które coraz ściślej ujmują istotny swój przedmiot, coraz bardziej zbliżają się do istotnego swego ogniska, dającego twórczości poetyckiej światło i ciepło natchnienia. Równocześnie z Konopnicką mówił, może nawet śpiewał, o cierpieniach ludzkości niejeden bolejący jej miłośnik, dla którego jednak była i pozostała ona czystą abstrakcją, abstrakcyjne tylko zdolną wzbudzić poruszenia umysłu.

Dla autorki „Modlitw wiosennych“ idea cierpiącej ludzkości w całym swem oderwaniu była funkcją czegoś bardzo konkretnego, bardzo realnego: otaczających ją zewsząd nieszczęść publicznych, cierpień, braków, niedomagań społecznych i narodowych, które ją do głębi duszy wstrząsały, do których coraz bardziej i bardziej się zbliżała, magnetycznie współczującą pociągnięta siłą, aż je tak ujęła, uświadomiła sobie, unaoczniała nam w najistotniejszym ich znaczeniu, jak żaden pono z czujących i twórczych duchów tej epoki.

Silne i żywe odczuwanie tematów, osobliwie tych, co wchodzi w zakres twórczego powołania poetki, a z drugiej strony dążność do szerokich uogólnień, do wygórowanych abstrakcyj powodują pewną dwoistość w młodzieńczej poezji Konopnickiej. W następstwie różnice stąd wynikłe stopniowo się zacierają, przeciwnieństwa się znoszą, dwie linie natchnienia, z których jedna sunęła ponad ziemią w ciągłej z nią styczności, druga szybowwała w podobłocznych sferach myśli oderwanej, zbliżają się i zlewają ostatecznie w płodach najdojrzałszej doby rozwojowej, w których wielki talent twórczy sięga wyżyn genialności i wydaje arcydzieła bogate zarówno uczuciem i myślą, a jaśniejące blaskiem najwyższego artyzmu.

W pierwszych tomach „Poezji“ wspomniana wyżej dwoistość wyraźnie jeszcze się zaznacza. Struny lutni dźwięczą idącymi z nizin odgłosami ziemi lub odbrzmiwiają jakby echemi ideowemi owym niewidzialnym chórom, co w „Nieboskiej“ Krasińskiego po przez wieki ponad ludzkością lecą, jęcząc i płacząc. Jest w tem wielka harmonia, bo ostatecznie i te górne głosy i owe nizinne potracają te same współczujące struny serca poetki, ale jest to harmonia niepełna, wytworzona przez brzmienia zbyt daleko od siebie rozmieszczone na bezmiernej skali życiowej: z jed-

nej strony myśl abstrakcyjna wysoko unosząca się ponad życiem, z drugiej wrażenia życiowe, silnie odczute, ale często nieprzemysłane ideowo i artystycznie, a stąd niedość silnie działające swą wewnętrzną prawdą, dostatecznie w nich nieujawnioną.

Do pierwszego rodzaju należą takie utwory, jak: „Co to jest życie?“, „Przeszłość i przyszłość“, „Najkrwawsze pole“, „Fragmety“ niektóre (a szczególnie: „Wielki ty jesteś serc królu poeto“) oraz „Credo“ poetki, złożone z szeregu pięknych, ale zimnych i martwych abstrakcyj, które istoty jej wiary żywej i twórczej uprzytomnić nam nie mogą.

W drugim rodzaju najważniejsze są słynne „Obrazki“, które w swoim czasie tyle wywołały zarzutów, gniewów, protestów. Czegoż w nich nie dopatrywano? — i niebezpiecznego doktrynerstwa, i nienawiści dla wyższych klas społecznych, i podburzania przeciw nim klas niższych, i Bóg wie jakich wykroczeń przeciw porządkowi społecznemu. Dziś, gdy mamy przed sobą skończone dzieło życia poetki, z większą chyba bezstronnością i z lepszym zrozumieniem zdolni jesteśmy ocenić jego zaczątki. Po owocach ich poznać je.

Uprzytomnijmy sobie przedmioty niektórych, ważniejszych.

Oto wynędzniały fizycznie, zgnębiony moralnie robotnik, który z fabryki, zabijającej go pracą, podąża do szynku, co go ogłupia rozrywką („Sobotni wieczór“); oto „wolny najmity“, co może żyć w nędzy, może i umrzeć z głodu, a nikt wolności jego nie będzie krępował, nikt się nawet nie spyta, jak żyje, jak umiera; oto dziecię występne, bo ciemne, moralnie opuszczone i zdziczałe („Przed sądem“); oto dziecię-sierota, umierające z głodu i zimna wśród wielkiego, ludnego miasta na progu świątyni, pod gwiazdżystem, wspaniale wyiskrzonym sklepieniem niebios („Bez dachu“).

W II-jej seryi „Poezji“ niemniej dosadnie kreślone są obrazki nędzy i niedoli. Szczególnie owe dzieci wiejskie z szopką przede dworem i owe rodzące się w myśli jednego z nich pytania: czemu my nędzni, głodni, ciemni, choć Chrystus dla wszystkich przyszedł ludzi? czemu słowem Chrystusowem nikt do nas nie przemówi? czemu promieniem światła nikt nie rozjaśni nam myśli, promieniem miłości nikt nie rozgrzeje nam serca?

O dziecię, odpowiada poetka:

mgła nocy zasłania

Dzień, co odpowie na twoje pytania,

Och! aby tylko nie wzeszedł on żądny

Kłęsk ostatecznych nad morzem i lądem,

Och! aby tylko wiekowi przyszedłemu

Grom pomsty twego nie powtórzył: Czemu?

Nie dziw, że takie groźby i zwiastowania musiały wywołać gniewy i protesty. Zobaczmy czy i o ile uzasadnione.

IV.

Zgodność ideowa, przeciwieństwo artystyczne obrazków i pieśni sielskich — „Na fujarce,“ „Noce letnie,“ „Z łąk i pól.“

Jeśli nie uzasadnionymi, to poniekąd zrozumiałymi czynić je mogą obecnie w naszych oczach pewne braki w sposobie wypowiedzenia i zobrazowania społecznych myśli i dążeń poetki. Zdają się one być wysnute z niedostatecznie przemyślanych wrażeń, ze zbyt pośpiesznie wyciągniętych uogólnień. Stąd pozorny brak prawdy życiowej—mówię: pozorny, bo dobrze zważywszy, każdy bezstronny wiele, wiele jej znajdzie w „Obrazkach“ Konopnickiej.

Czyż ukazane w nich fakty niedoli społecznej są li tylko płodem bujnej wyobraźni? Czyż nie im nie odpowiada w rzeczywistości? Niestety, aż nadto słyszymy o robotnikach, pozbawionych jakiegokolwiek możności wyższego życia ludzkiego, o wolnych najmitach, niewolnikach pracy, o biedakach konających z głodu wśród przepychu wielkich, ludnych miast, o nędzy naszego ludu wiejskiego, o naszych dzieciach wiejskich wzrastających dziko w opuszczeniu i zaniedbaniu. Czyż pierwsza Konopnicka poruszyła w naszej literaturze te bolesne tematy? Nie mówiąc o wielu innych jej poprzednikach, dość wspomnieć w II-jej części „Dziadów“ obraz złego pana potępieńca i wynędzniałe postaci ofiar jego okrucieństwa.

Zauważmy tutaj charakterystyczną z odnienności epok wynikłą różnicę między obrazem mickiewiczowskim z początków zeszłego wieku, a obrazkami współczesnej nam poetki. W tych ostatnich ani śladu okrucieństwa możnych, ani śladu nawet takiego okrutnego niedoli chłopskiej wyzysku, jaki ukazuje nam Syrokomla w swej satyrycznej „Lalce“. Grzechem społecznym względem nędzarzy i upośledzonych, jaki Konopnicka wytyka współczesnym pokoleniom uprzywilejowanych, nie jest to wcale grzech czynu złego, lecz raczej bezczynności, opuszczenia, zaniedbania. A czy nie jest to wielki a powszechny grzech naszej epoki, naszej cywilizacji — kto wie, czy nie większy od najokrutniejszych z gniewu i uniesienia wynikłych zbrodni dawnych czasów—grzech bezmiłości?

Niepodobna tu roztrząsać ani nawet poruszać tej ponad wszystkie inne doniosłej kwestyi, stanowiącej centralny, a tak bolesny punkt wszystkich, najtragiczniejszych zagadnień życia współczesnego, istny gordyjski węzeł naszej współczesnej kultury, którego rozwiązania — nie daj Boże, rozcięcia jakim aleksandrowym mieczem — nikt obecnie sobie jeszcze nie wyobraża, a każdy z trwogą oczekuje. Poprzestaję tedy na stwierdzeniu, że poetka nasza tę kwestyę bezmiłości, zawiązaną w potwornie zawiły węzeł nienawiści społecznych, trafnie intuicyą kochającego swego serca odczuła i zupełnie prawidłowo we właściwej postaci ujęła; jeżeli zaś niekiedy, a nawet dość często, poetyczne jej odbicia w omawianych tu „Obrazkach“ czynią wrażenie, jakby braku prawdy życiowej, jakby pewnej, doktrynerskiej sztuczności, czy stronniczej przesady, przyczyna tego nie w treści ideowej, ani w uczuciowym nastroju, lecz wyłącznie i jedynie w usterkach wykonania artystycznego — pomysłu, stylu, kompozycji.

Jest w nich jakaś ogólnikowość, bezbarwność, brak im wyraźnych rysów indywidualnych, świeżego kolorytu. Poetka żywo, serdecznie swe przedmioty odczuła, ale nie umiała się w nie wpatrzeć dostatecznie i dopatrzeć się w nich tych licznych, różnorodnych szczegółów, bez których niema prawdziwie artystycznego obrazu w poezyi. Wskutek tego idea nie wciela się całkowicie w obraz, pozostaje jakiś nadmiar nie wcielonej jej treści, a stąd brak należytego ustosunkowania między ideową i obrazową treścią danego utworu. Weźmy np. obrazek „Z szopką“. Jak trudno, a nawet wprost niepodobna uwierzyć w możliwość refleksyj, przypisywanych tu dziecku chłopskiemu przed dworem pańskim! — jaka tu nieproporcjonalność między przedstawionym drobnym faktem i wysnutą zeń niezmiernie rozległą ideą społeczną! W obrazku „Wieczór sobotni“ robotnik pozbawiony jest zupełnie cech odrębnych, osobistych, raczej schemat aniżeli typ robotnika. Podobnie w wielu innych utworach tej kategorii postaci są bezkrwiste, stosunki ogólnikowe. Oczywiście nie brak w nich też niepospolitych zalet, boć zawsze to płody wielkiego, choć nierozwiniętego jeszcze talentu. „Wolny najmita“ ma w sobie tyle głęboko tragicznej ironii. „Bez dachu“ ukazuje nam tak grozy pełne przeciwieństwa nędzy i bogactwa, cierpienia ludzkiego i ludzkiej nieczułości i tego nad całą niedolą życia tak rozpaczliwie spokojnego majestatu przyrody. Wiele podobnych piękności można jeszcze odnaleźć w szczegółach „Obrazków“ — w całości jednak niepodobna ich zaliczyć do arcydzieł Konopnickiej.

Natomiast pokrewne im duchem i dążnością z tej samej mniej więcej doby pochodzące pieśni liryczne należą przeważnie do najcudniejszych płodów natchnienia poetki. Dość tu wspomnieć takie trzy cykle, jak „Noce letnie“, „Na fujarce“, „Z łąk i pól“ (z II-jej seryi „Poezyj“ z r. 1883). I w nich idea przemożnie włada, ale jak się tu realizuje w natchnieniu twórczym, jak tętni życiem w poetyckim obrazie, jak dźwięczy w pieśni szczerym odgłosem uczucia. Idea i uczucie zlewają się ze sobą, przenikają się nawzajem w wątku lirycznym, z umiłowania przyrody ojczystej i ludu ojczystego wysnutym, rozwijającym się wśród smutnych zmierzchów i mroków terażniejszości ku upragnionym, przezuwanym świtom przyszłości.

Ale, niestety, jakże dalekie te świty!

„Pójdę ja, pójdę drogą daleką,“ mówi poetka na wstępie. Myślą i sercem niwy ojczyste i ziemię całą obchodzi, a po drodze łąy same zbiera:

I łąy pozbieram, jak gorzką rosę,
I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się to od nich wschód rankiem mieni.
Może mię dojrzy przyszłych dni słońce,
Nad mogiłami wdali wschodzące,
Może wypije łąy jasność cicha
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha.

W pierwszym cyklu zakreśla jeszcze poetka najszersze, najogólniejsze kręgi swej myśli twórczej, zdala tylko obejmujące ojczystą dziedzinę. Dźwięczą tu pieśni o przedziwnych harmoniach lirycznych, ale bez wyraźnej barwy rodzimej. W następnych cyklach kręgi natchnienia coraz ściślej ujmują tematy ojczyste, myśli i uczucia krążą dokoła niedoli ludu naszego, a pieśni brzmią przejmującymi do głębi duszy, a tak na swojski ton zabarwionymi jej odgłosami.

Pieśni „Na fujarce“ oraz „Z łąk i pól“ to najczystsza, o kryształowym tonie liryka, a przytem jaknajwierniejszy wyraz idei. Niezrównany artyzm formy łączy się tu z przenikającą nawskroś osnowę poetycką dążnością ideową. Poetka odczuwa tu bezpośrednio swój przedmiot: uroki przyrody ojczystej i życie tak ściśle zespolonego z nią ludu; tworzy, śpiewa z pełni tego odczucia, pod wrażeniem zjawisk, kształtów, barw, pobudzających jej wyobraźnię, jej samorzutną dążność twórczą, a przytem nigdy ani na chwilę nietraci z myśli wewnętrznego znaczenia objawów życio-

wych, co z zewnątrz w ten lub ów sposób potrafiły struny jej lutni, nigdy nie przestaje myśleć o niedoli ludu, o cierpieniach jego życia, o niezaspokojonych potrzebach jego duszy. A myśleć, czyż nie znaczy to samo, co czuć, u takiej wrażliwej na każdy odgłos życia natury twórczej? Czyż mogła ona inaczej myśleć, jak sercem, inaczej, jak z serca, snuć wątek swej idei? Oto tajemnica tej ideowości poetyckiej i tej poezji ideowej.

Ujawnia się ona dobitnie we wstępnym wierszu pierwszego i w końcowym drugiego cyklu. W obu, jak wyraźnie, w jak silnych tonach lirycznych wyczuwa się drżenie serca poetki pod myślą społeczną, unoszącą się wciąż na śpiewnych falach jej pieśni. W wierszu wstępnym („Na progu“) „od łez rwie się jej mowa,“ gdy śle pozdrowienie braciom siermiężnym w poddaszach i chatach:

O bracia, jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my—was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziej smutni.

A w końcowej pieśni idea wybucha z żywiołową iście siłą uczucia w takim oto szeregu akordów lirycznych, brzmiących najwyższą mocą i pięknnością słowiczej harmonii:

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni,
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkiwie łkają leśni.

Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brać,
Rozbudzić dziś nie mogę.

(Z *łak i pól*, XIII).

Pieśni, zawarte między tym wstępem i zakończeniem, to śpiewne odgłosy pragnień owych, któremi poetka tak serdecznie wita braci „z chaty“, których nieziszczalność taki przejmujący okrzyk żalu i skargi jej wyrывa. Są to prawdziwie pieśni „na fujarce“ wygrane, pieśni z „łak i pól“ wiatrem ojczystym przywiane. Zasadniczy ich ton wiejsko-ludowy nie sztucznie przybrany, ani z artystycznej li tylko wynikły stylizacji, lecz z głębi duszy wydobyty z wielkiego umiłowania ludu, z serdecznego dlań współczucia. Lud pociągał Konopnicką nie tylko swą barwną ma-

lowniczością i tężyzną życiową, ani nawet nie samą tylko swą rodziną swojskością, jak ona się przebija w zewnętrznych cechach jego bytu, lecz głównie i przede wszystkim drzemiącą w nim siłą społeczno-narodową, utajoną w nim energią żywotną narodu, której zbudzenia tak bardzo pragnęła, z takim śmiertelnym wyglądała niepokojem. Dlaczego wciąż jeszcze drzemie w „sennych chatach?“ dlaczego dotąd nie może się zbudzić z wiekowego odrętwienia? Oto pytania, które drżą we wszystkich ludowych pieśniach poetki, których drzenie wewnętrzne odbija się takim uczuciem, niekiedy namiętne falowaniem śpiewnej ich powierzchni.

Odpowiedź, nastręczająca się tu bezpośrednio, nie mogła zaiste uspokoić strwożonej jej myśli społecznej.

Dusza ludu drzemie, bo w ciemnocie pogrążona, bo nędza materyalna trzyma ją w zaklętym kole pracy ciężkiej na chleb powszedni.

Widzieliśmy powyżej w „Obrazkach“ mniej udatne artystycznie uplastycznienia życiowe tej smutnej, troską głęboką nawskroś przenikniętej myśli poetki—spotykamy ją tutaj rozdźwięczoną tonami śpiewnych skarg i żalów w pieśniach lirycznych, z których niejedna zaliczona być może do najcenniejszych klejnotów jej poezji i całej wogóle poezji polskiej. Podobnie jak w „Modlitwach wiosennych“, i w tych pieśniach sielskich poetka nie może się swobodnie radować wdziękami przyrody, bo oczy jej:

Choć oglądały tę wioskę zieloną
I plon jej złoty...
Przez róż świeżych otwarte kielichy
Pól barwnych szaty
Ujrzały lud nasz posępny i cichy
I nędzne chaty.

(Z *łąk i pól*, I).

W innej piosnce o wierzbinnie, co ją las ciemny wychował, a wiatr szumny wykołysał, wśród śpiewnych odgłosów przyrody wciąż pobrzmiewa smutny motyw życia. Wiatr „z moglił starych zbierał skargi i żale“

Tęskność, smutek, lzy sieroco, jak białe
Tuman z łąki za nim w ślady leciały.

(Na *fijarce*, VII).

W pieśniach, dźwięczących odgłosami bytu chłopskiego, pod naiwnym tonem ludowym smutna myśl poetki wciąż się odzywa. Posługując się własnym jej wyrażeniem, powiedzieć można, że

daje ona tu usta wszystkim krzywdom ziemi — rodzinnej swej ziemi i ojczystego swego ludu—gdy rozwodzi skargi i zale w tonach śpiewnej piosnki polnej. W jednej z nich śpiewa o gwiazdach, jak to one świecą na wysokim niebie dla różnych stanów jeno nie dla stanu chłopskiego. Ongi zapalił Bóg wszystkie gwiazdy w równości dla wszystkich ludzi—

Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...
A te pańskie świecą
Jako talar biały...
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy pospadały.

(*Na fujarce, X*).

Podobnie smutny odgłos chłopskiej, ciężkiej doli w wielu innych pieśniach słyszemy. Oto cyganka-wróżbitka wróży chłopu świetną dolę:

Oj będziesz ty, będziesz panem
Ni to królem, ni hetmanem,
Twoje państwo, jak świat długi,
Zaorane twemi pługi.
Będziesz chodził ty w czerwieni
Potu swego krwawej rosy
W złocie, srebrze tych promieni,
Co padają od twej kosy.
Wykopiesz ty skarb bogaty,
Gdzie ta rola zaorana,
I talary i dukaty
Nie dla siebie, lecz — dla pana.
Umiłuje cię królowa,
Co się odrzec siebie nieda,
I wiary tobie dochowa
Aż do śmierci — krwawa bieda.

(*Z łąk i pól, IV*).

Oto matka nad kołyską dziecka śpiewa piosukę o przyszłej jego niedoli („Kołysz mi się, kołysz kołysko lipowa“). Oto różne pory dnia i nocy stają nad chatą chłopską, a każda trud ciężki, smutek i biedę w niej zastaje („Przyjdzie zorzeńka do mojej chaty“).

Niektóre pieśni wprost tragicznie brzmią odgłosami rozpaczliwej, ostatecznej nędzy, jak ta np. co śpiewa o wsianych na

wiosnę w rolę czarną główek dzieciątek z głodu pomarłych („Wsiąłem ci ja w czarną rolę“), lub ta inna o śmierci topiącego się z rozpaczny nędzarza („Oj mruga na mnie, mruga szumiąca, chłodna struga“).

Idea społeczna, przenikająca nawskroś myśl i serce poetki i złączona z nią ściśle wszechwładna siła współczucia dla cierpień zbiorowych, pozostawiają w jej poezji tak mało miejsca na odbicia różnego rodzaju uczuć jednostkowych, między którymi uczucia erotyczne najważniejszą zawsze odgrywały i odgrywają rolę. U Konopnickiej rzadko bardzo z nimi się spotykamy. A jednak nie była ona pozbawiona uzdolnień do poetyckiego ich wyrażenia. Nieliczne przez nie natchnione pieśni tyle mają wdzięku, niekiedy i siły tak wiele. W cyklu „Na fujarce“ jest jedna doskonale w tonie ludowym utrzymana („Jakże cię mam brać dziewczyno“), a w tejże samej II-jej seryi „Poezji“ spotykamy małe arcydzieło liryczne owiane erotyzmem: piosnkę p. t. „Co się stało?“ w której czar wiosny i czar miłości w jeden przeduczony, drżący uczuciem, świeżością tchnący spletają się akord

Ach! to wiosny słodki trunek
Upojenie w piersi sączy...
Ach to pierwszy pocałunek
Rozkochane usta łączy!

Rzadki jest też w omawianym tu okresie twórczości Konopnickiej wybuch żywiołowej mocy i pełni życia. Zbyt silnie dawał jej się naówczas uczuć straszliwy ucisk sił wrogich, gnębiących wszelkie podobne objawy w życiu publicznem. Później zdołała sobie uświadomić niespożyta energią przeciwdziałających in w głębi jestestwa plemiennego potęg życiowych i przedziwny w poezji swej dała im wyraz — narazie siła ucisku głównie jej się uprzytomnia. A jednak i w owej dawniejszej epoce tryska czasem w jej poezji iskra mocy, zwiastunka przyszłych natchnień płomiennych. Wśród bezdennie smutnych tonów żalu i skargi, jakimi przeważnie rozbrzmiewają jej pieśni wiejskie, taki oto naraz doleci nas okrzyk czuwającego wśród nocy na łące koniuchy:

Hej! głos dokoła!
Cości mię woła,
Cości z piersi zabiera mi duszę

liryczny odzew motywu, mającego tak potężną harmonią za-
brzmieć kiedyś w epickim jej finale—motywu utajonej, potencjal-

nej energii plemiennej, który autorka „Pana Balcera“ pierwsza pono wydobyla z ciemnych głębin życia na pełne światło poetycznie ukształtowanej samowiedzy narodowej.

V.

Zwątpienie i wiara. — „Fragmenty.“

Zanim życie w bardziej realnych nowych motywach pełniejszą i bystrzejszą falą napłynęło do poezji Konopnickiej, idea nie tylko wypełnia, lecz i przepelnia niekiedy treść jej natchnień twórczych. Aż nadto często zdarza się w jej liryce ówczesnej — szczególnie w pierwszej seryi „Poezyi“ — pewien nadmiar osnowy ideowej, poetycznie niezrealizowanej, wystającej, że się tak wyrażę, swą bezkształtną i bezbarwną abstrakcyjnością poza plastyczne, życiem zabarwione formy poetyckie.

Nie sądzę, aby słusznem było — jak to nieraz czyniono — przypisywać wyłącznie ten objaw niedostatecznemu jeszcze w danej epoce rozwojowi twórczych uzdolnień poetki. Zapewne, Konopnicka nie należy do tych geniuszów poezji, które, jak Goethe lub Mickiewicz przychodzą na świat gotowe i od razu objawiają się w pełni swej mocy. Uzdolnienia jej twórcze rozwijały się z czasem i rozwinęły się w bardzo znacznej mierze; jednak, jak mniemam, od samego początku było w nich tyle samorodnej siły natchnienia, iż ta starczyłaby do ukształtowania poetyckiego bardzo nawet bogatej treści psychicznej. Jeśli tedy w tej treści u naszej pieśniarki znalazły się myśli i idee nietyle wyspiwane, ile wygłoszone w słowie mniej lub więcej oderwanem, to wnosić stąd można niekoniecznie o słabości śpiewnego tonu, lecz czasem może o szczególnej sile jakiejś górującej nad niem, słowem uskrzydłonej dążności myślowej.

Pobudzane one były niekiedy w umysłowości poetki przez potracające ją pozytywno-racjonalistyczne prądy czasu, z natury swej poezji wrogie, wszelako jak w wielu innych i w tym wypadku pod zewnętrznym napływem ideowej obczyzny występuje u Konopnickiej idea oryginalna, samorodnie w głębi jej duszy powstająca z bardzo silnego odczucia potrzeb i zadań otaczającej ją rodzimej sfery życiowej.

Przekonać nas o tem może jeden z wierszy I-szej seryi „Poezyi“ p. t. „Fragment“, jeden z tych właśnie, w których oderwa-

na treść ideowa nie osiąga pełnej realizacyi poetyckiej, a przytem przeniknięta jest pewną jakby antypoetycką dążnością. Jest to porównanie poety i myśliciela w ich względnem znaczeniu społecznem, uwydatniające wyższość tego ostatniego nad tamtym, porównanie nadto symetryczne i racjonalnie tendencyjne, aby poetycznem mogło być nazwane. Godne uwagi wszakże trzy ostatnie zwrotki, dobitnie charakteryzujące ideową dążność poetki:

Poetów miały ludy już gasnące
 Co w lutnię tchnienie ostatnie przelały;
 Lecz myślicieli rodzi nowe słońce
 I pełne sił ideały.
 Poeta wschodzi jak kwiat, który sieje
 Wiosenny ranek na łące, nad strugą...
 Ale myśliciel jest krwawą dosługą
 Narodu, co zna swe dzieje.
 Módl się więc, smutny i stojący w cieniu,
 W koronie blasków zgaszonych narodzie,
 Niechaj pieśń wielka poi cię w pragnieniu,
 A myśl niech karmi cię w głodzie!

Jakże wymownie przebija tu troska poetki, wzbudzona przez pewien bardzo ważny i fatalny w skutkach niedostatek naszego społeczeństwa. Równi najpierwszym narodom w poezji, mowie uczucia i wyobraźni — czyż nie stoimy istotnie w cieniu na polu myśli wszechświatowej, „w koronie zgaszonych blasków,“ których żadne fantazyjne ani uczuciowe płomienie nie zdołają rozpaścić?

Obyż zabłysło światło myśli nad narodem! — oto nie jakieś hasło doktrynerskie, lecz szczerzy krzyk serca poetki, brzmiący odgłosem najistotniejszej potrzeby naszego bytu narodowego. Stanowi on przewodni motyw wielu, wielu jej pieśni, w których rozlegają się wołania o oświatę, o wiedzę, o zbudzenie świadomych sił ducha ludzkiego, wyzwalających, zbawczych sił człowieczeństwa.

Ze stanowiska ogólnieuropejskiego możnaby tu stwierdzić właściwe epokom racjonalistycznym doktrynerskie przecenianie jednostronnej kultury umysłowej, tak powszechne u nas w dobie pozytywizmu, gdy wykrzyknik: *wiedza to potęga!* rozstrzygać miał wszelkie zagadnienia życia; ale z odrębnego, polskiego stanowiska wołania poetki o światło myśli i wiedzy, jakże wiele miały w sobie arcykonkretnej prawdy życia. Spotykamy w jej poezji niekiedy dość pustobrzmiące odgłosy formuł oświatowo-humanitarnych, ale wszędzie, gdzie te do potrzeb bytu narodowego, do

rodziny, krajowych stosunków przystosowane zostają, duch poetki w nie wstępuje, serce jej bić w nich poczyna i odrazu poczynają one tętnić życiem, napełniać się bogatą treścią uczucia i myśli.

Za przykład może nam tu służyć przytoczony powyżej „Fragment.“ Rozwinięte w nim porównanie między poetą i myślicielem dość jałowe i mało mówiące, dopóki obraca się w dziedzinie wszechludzkich ogólników, skoro w ostatnich zwrotkach wstępuje na grunt rodzinny, jak wiele daje do myślenia, jak żywo do duszy przemawia. Nic też lepiej, jak tendencja tych zwrotek, nie daje nam odczuć właściwego poetce zaparcia się siebie wobec interesów i potrzeb dobra społecznego. Dla dobra tego pożyteczniejszą zdaje się jej praca myśliciela, aniżeli twórczość poety i bez wahania pierwszeństwo jej przyznaje chociaż z ujmą dla własnej swej sztuki. Podobnie poprzednio modli się do Boga o wzbudzenie śpiewaka, zdolnego silniej potrafić struny narodowej liry, gdy sama w sobie należytej mocy nie czuje. Cała twórczość Konopnickiej wymownie świadczy o szczerości tej modlitwy, o szczerem z głębi przekonania wynoszeniu zasług myśliciela ponad zasługi poety.

Powodowana niem tak wiele miejsca daje w swych pieśniach dążności ideowej z niemałą nawet ujmą dla czysto poetyckiej i artystycznej ich wartości. Wyżej zaznaczyłem, że nie zbywało jej na samorodnej sile twórczej. Nie z idei czerpała swe natchnienie, lecz odwrotnie, idee z natchnienia. Objawem pierwotnym było u niej wielkie umiłowanie ziemi rodzinnej, kraju, narodu — umiłowanie wynikłe z silnego odczuwania wrażeń, pobudek wszelkiej samorzutnej twórczości. Z tego nastroju uczuciowego rodziła się pełna troski i niepokoju myśl o straszliwej publicznej niedoli, myśl-macierz całego szeregu wyobrażeń, pojęć, refleksyj, osiągających swe streszczenie w przenikającej całą twórczość poetki i w przenikniętej całą mocą jej umiłowania ideą społeczno-narodową.

Na drodze do ostatecznego wykształtowania z siebie tej idei myśl jej nieraz błędziła, nieraz łamała się w sobie walką sprzecznych dążeń. „Błądzi człowiek, pokąd dąży,“ powiedziano w prologu do Fausta, tem najgenialniejszym ujęciu poetyckiem myśli nowożytnej. Ludzie obojętni na jej wysiłki, trudy i walki, czyż mogą żywić współczucie dla dążących i nieodzownie przytem błędzących jej bojowników. Tylko z twardą ich krytyką i bezwzględnem potępieniem spotykała się nasza bojująca poetka-myślicielka.

Gromy takich potępień padały też na jej duchowe zmagania się w obrębie idei religijnej, na jej protesty i bunty myślowe przeciw wyobrażeniu opatrnościowych rządów nad światem, którym tak okropnie, tak tragicznie zdaje się przeczyć urągający wszelkiej sprawiedliwości układ stosunków światowych, ten ustalony i uładzony w naszym świecie społecznym porządek rzeczy ponad bezbrzeżną przepaścią, „która ludzi dzieli na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli.“

Znane są powszechnie te buntownicze głosy w poezji Konopnickiej, te skargi i żale, te pełne niepokoju i zwątpień pytania, rzucane w milczące wiecznie niebiosa:

Czy Tobie, Boże, imię: „grom i burza“,
 Ze świat Twój w ogniach się nurza?
 Czy Tobie, Boże, imię: „błyskawica,“
 Ze mu miecz nagi przyświeca?
 Czy Tobie imię: „śmierć i wytępienie“
 Że się krwi leją strumienie?
 Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
 Iskrą ci przysła z żrenicy?

(*Z dni smutku, I. Poezyc, serya I.*)

Nie płaczcie smutni!

Ach! czy wy myślicie,
 Że tam wysoko w tym cichym błękanie
 Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga,
 Zakłóci spokojność Boga?
 Czy wy myślicie, że okrzyk nędzarzy
 W srebrne, przejrzyste rzucony powietrze,
 Wstrząśnie lazury i blaski z nich zetrze
 I ciszę niebios znieważy?

.....
 Krzyk uciśnionych nędzarzy nie sięga,
 Gdzie nieskończoność atomów ruch słyszy...
 Żaden głos do was nie ozwie się z ciszy:
 Milczenie — bogów potęga!

(*Fragmety, IV. Poezyc, serya II.*)

Oto dwa przykładowo wybrane urywki tych skarg poetki, które bluźnierczymi nieraz nazywano, za które surowo strofowano ją nieraz. Bluźniercze?—być może. Zaslugujące na karcenie, jako z ducha buntu i zwątpienia zrodzone? — trudno temu zaprzeczyć.

Nie zaszkodzi wszakże przypomnieć srogim karcicielom, że nieraz już podobne bluźnierstwa na ziemi słyszano i nieraz w podobny karcono je sposób.

Był mąż z ziemi Ur imieniem Hiob, który dotknięty okropnemi klęskami straszliwie na swą niedolę się skarżył i bluźnił Bogu, i oburzał się przeciw jego wyrokom, i buntownicze rzucał w niebo pytania. I byli przyjaciele Hioba, którzy boleli nad jego niedolą, ale strofowali go za bluźnierstwa, za zwątpienia, za niewiarę i przemawiali pobożnie a mądrze w obronie czci imienia Bożego przeciw wszelkim bluźniercom i wątpicielom. Wszelako patrzmy co za dziw: Oto Bóg, przemawiając „z wichru“ do Hioba, upomina i naucza go dobrotliwie, ale przyjaciół jego, a swych obrońców, karci twardo i surowo, jako obłudników, których usta „nie mówiły prawdy“ i ofiarę błagalną złożyć im każe... „A Hiob, sługa mój, dodaje, modlić się za was będzie.“

Wszak prawda? Nic nowego pod słońcem. Czy przyjaciele Hioba, obrońcy Boga, nie przypominają krytyków-karcicieli naszej bluźniącej poetki? Czy jej skargi rozpaczne, bluźniercze nie były odgłosem isticie hiobowych klęsk, walących się na dom jej i plemię rodzone, z którym sercem nierozzerwalnie była złączona? W konsekwencyi tej analogii czyż nie wolno nam przypuścić, że nie inny i w obecnym wypadku byłby sąd Boga jak w sprawie Hioba i jego przyjaciół?...

Jednem słowem mamy tu przeciwieństwo szczerości, co mówi z pełni cierpiącego serca, choć może błądzi po omylnych drogach myśli i obłudy, może mimowolnej w danym wypadku, w której słowach jednak niema prawdy, bo nie płyną z pełni odczucia, umiłowania, lecz z próżni bezmiłosnego formalizmu, niemogącego znieść silniejszego odgłosu cierpień i walk duchowych, co zbyt donośnie brzmi mu w otaczającej go dokoła pustce.

Oczywiście nie mówi się tu o wierze silnej, niewzruszonej, wyższej nad wszelkie zwątpienia, co może i ma prawo patrzeć z surowem politowaniem na błędne ścieżki wątpiącej, łamiącej się w sobie myśli. Że taka wiara za dni naszych istnieje:—temu nikt nie ma prawa zaprzeczyć, że jest ona wielką rzadkością, ośmieliłbym się rzec, prawie niemożliwością u ludzi, żyjących w wirze i zamęcie nowożytnych dążeń duchowych:—to przypuszczenie nasuwa się mimowoli każdemu, co głębiej nad smutnemi sprawami życia współczesnego rozmyślał. Wśród tych, co podobnemi myślami nie zwykli się zabawiać, nie trudno zaiste o takich, którzy, duchowo pokrewni przyjacielom Hioba, z najlepszą może, chociaż z pewnością nie najsilniejszą wiarą, gotowi karcieć

każde zwątpienie, a swem bezmiłosnem sercem zupełnie niezdolni wniknąć w wewnętrzne, tak nieraz tragiczne, jego pobudki. Są to liczni zawsze na świecie mimowolni obłudnicy, co, nie kłamiąc, mówią jednak słowa nieprawdziwe, jak niepowołani obrońcy Boga w księdze hiobowej.

O ileż bliżsi od nich prawdy są mimowolni sceptycy, wątpiący nie z lekkości i próżni serca, lecz owszem z nadmiernej jego pełni, pełni hiobowych bólów, cierpień, rozpacz, wybuchających okrzykiem zgrozy, co aż o zamknięte drzwi niebios uderza. Czyż nie słyszymy takich głosów w bluźnierczych zwątpieniach naszej pieśniarki? Z męką wyrzucała je z siebie, z jasną a bolesną świadomością straszliwego ucisku sercowego, jakim przygniata nas sceptyczna atmosfera wieku.

Ty mi się nie dziw, mówi w jednym z najbardziej przejmujących swych wierszy:

Ty mi się nie dziw, że ja cię wciąż pytam
I rzucam: „czemu?” w przestrzenie błękitu.

.....

Ty mi się nie dziw! — ja idę w pomroce
Zwątpień, któremi trużą się dziś duchy...
Zdala gdzieś—nikły promyczek migoce,
Lecz wokoło mnie lecą huragany
Tchnień niespokojnych, które w samo słońce
Ciskają strzały swoje pałające.

(Poezye, serya I).

A oto tenże sam motyw zwątpienia, szersze zataczający kręgi, w tragicznem z motywem wiary Chrystusowej zmaganiu się:

O ludy zbudźcie wy Tego Chrystusa
Z marmurów ciszy!
Bo oto na świat przychodzi pokusa
I otchłani dyszy,
Bo oto słyhać spękane gdzieś struny
Jęki i zgrzyty —
I wiatr przeciąga — i idą pioruny,
By bić w błękity.

.....

Kto idzie — nie wie, gdzie dąży; kto czeka,
Nie wie dlaczego
Ciemną jest, straszną, ta droga daleka,
Gdzie ludy biegną!

(Fragmenty, IX).

Obok zwątpienia — niepokój, również nader charakterystyczny stan duszy nowoczesnej, osobliwie polskiej duszy, przez klęski publiczne wciąż targanej. Konopnicka oddała go z wielką prawdą, mocą i z nieporównanym artyzmem, osobliwie w dwóch wierszach wyróżniających się szczególną siłą wyrazu i plastyką obrazowania. Jeden z nich osnuty na podaniu o góralu, co przez wichry porwany wciąż wśród przestworza w okrutnej latać musi męce. Jest to obraz duszy poetki, co burzą tęsknoty porwana w górnych strefach latać musi ponad tą ziemią, która jest jej domem i daremnie, jak on góral wichrem porwany, pragnie powrócić do swojej wioski i do swojej chaty. („Wichrem porwany.“ Poezye, serya II).

Z większą jeszcze siłą wyrazu i z wyższym artyzmem motyw niepokoju i wynikającej zeń wewnętrznej trwogi duszy wyrażony jest w innym, znacznie od poprzedniego piękniejszym, choć z dawniejszej pochodzącym epoki, bo zawartym już w I-jej seryi poezyi z r. 1881.

Gdzie jest mój dom? — pyta z niepokojem poetka. I szuka go kolejno w przestworach, marzeniami ulotnemi rozblękitnionych, w krainie smutków cichych, w strefach „gdzie stoją białe trony wieczystych prawd wśród ciszy majestatu,“ gdzie siła włada, gdzie szła otwiera swe ramiona. Nigdzie go nie znajduje i skargą bolesną na tę duchową swą bezdomność wybucha:

W błękitną dal wędrowny ptak odlata...
 W głębinę wód samotna łódź wypływa...
 Ach! mamże ja tak zawsze wpośród świata
 Zbłąkana żyć, jak cień, co nie spoczywa?
 Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału?
 Gdzie przystań jest dla wszystkich walk i trudów?
 Ach! gdzie jest cel krwi górny i zapалу,
 I życia chwil i wielkich dążeń ludów?
 W skarb drogi swej swe serce człowiek wkłada,
 Jednocząc w niem żądz swoich niepokoje,
 Jaż tylko mam z przestrachem pytać blada:
 Gdzie jest mój dom? ach! gdzie jest wszystko moje?...

Idę — i drzę — i wracam przerażona,
 I obcy świat otacza mię dokoła...
 Ach! gdzież jest dłoń przyjaźnie wyciągniona?
 Gdzie drogi głos, co na mnie: pójdź! zawoła?
 Gdzież skłonię skroń? ach! gdzież się ja ukoję?
 Gdzie płynąć dam tym wstrzymywanym łzom?
 Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?
 Gdzie jest mój dom?!

Przedziwna poezya tego wiersza, istne cudo poetyckiego nastroju i wyrazu, cała drżąca od uczucia, rozśpiewana głosami duszy, rozdźwięczona namiętym krzykiem serca — jakże wymownie świadczy o podnoszonej wyżej samorzutności, żywiołowości natchnień twórczych Konopnickiej. Ten utwór, należący do najwcześniejszych objawów jej geniuszu poetyckiego, zaliczony być może, na równi z najpiękniejszymi i najdoskonalszymi płodami epoki pełnej dojrzałości twórczej, do arcydzieł jej liryki, do arcydzieł liryki polskiej wogóle. Idea i artyzm osiągają w nim już pełnię harmonii w swem wzajemnem ustosunkowaniu przy tak ogromnem wytężeniu siły poetyckiego wyrazu. Stan niepokoju i trwogi duszy zbłąkanej, szukającej z utęsknieniem ogromnem dróg prawdy niewzruszonej i wiary niezłomnej oddany tu jest w słowach, nie tylko serdecznie wymownych, ale też dziwnie wyrazistych w tonie samem brzmieniem swem, brzmień swych falowaniem potracających najgłębsze struny naszego serca, takie, których słowo samo przez się nigdy osiągnąć nie zdoła.

Rzadko kiedy zaiste w poezji lirycznej osiągnięty został tak wysoki stopień wrażenia muzycznego, jak w kilku ostatnich wierszach przedziwnej owej pieśni i to wcale nienaśladowczą harmonią i rytmiką dźwięków, lecz czemś nierównie głębszem: bezpośrednim, żywiołowym wyrazem stanu uczuciowego, którego tajemnicę sama tylko muzyka posiada, który Schopenhauer pożytywał za objawienie się w niej najskrytszej istoty bytu. Coś z tych muzycznych tajemnic wypowiada niekiedy najbliższa siostrzyca muzyki — liryka. W liryce naszej pieśniarki jednym z najbardziej przejmujących ujawnień tych wewnętrznych skrytości duszy jest owo tak cudnie wyśpiewane pytanie o dom jej wiary, o przystań ukojenia jej zwątpień i niepokojów.

Widzimy, że najzagorzalszy krytyk-karciciel sceptycyzmu poetki nie mógłby wyrazić całej grozy tego arcysmutnego stanu duszy silniej i dobitniej, aniżeli to uczyniła ona sama. Nigdy nie spotykamy u niej szyderczego lub ironicznego ślizgania się po powierzchni wątpiącej myśli. Zawsze zapatrzona w posępne, mroczne jej głębie, z trwogą, z niepokojem śmiertelnym zdaje się odczuwać mroźne ich tchnienie; całą siłą swoich pragnień wiary, swej nadziei przeciw nadziei walczy z odurzającym wiewem sceptycznej otchłani. Przewyciężyć go w zakresie religijnych uczuć i filozoficznej myśli, nigdy całkowicie nie zdołała. Była od początku i pozostała do końca wymowną w naszej poezji rzeczniczką nowoczesnej myśli europejskiej, niepewnej swych dróg i celów, szukającej wyjścia z istnego labiryntu sprzecznych dążeń,

a, niestety, tak zawsze dalekiej od jedynej możliwej ich syntezy i harmonii w szczerzej, głębszej, całą istotę duchową człowieka ogarniającej wiary chrześcijańskiej. U Konopnickiej, jak u wielu wyższych, szlachetniejszych natur naszych czasów, było dużo uczucia chrześcijańskiego, dużo chrześcijańskiej myśli, była nawet, można rzec, dusza nawskroś chrześcijańska, ale pełni prawowiernej wiary chrześcijańskiej w niej nie było — i to istotna przyczyna jej trwogi, jej niepokoju, jej poszukiwań ojczystego domu duszy, kojącej dla niej przystani.

Taka natura bez wiary żyć nie mogła. Prędzej czy później, w tej lub innej postaci znaleźć ją musiała. Pojedyncze jej żywioły odnajdujemy już w najwcześniejszej twórczości poetki, tylko niezlewające się w jednolitą harmonijną całość. Same jej protesty i pytania buntownicze, rzucane w niebiosa, jakże wymownie świadczą o silnie ugruntowanych w jej duszy i nigdy zupełnie nieobalonych podwalinach wiary. Jej „Credo“ z owych czasów, rozplywające się w abstrakcjach i ogólnikach humanitarnych, samo przez się niewiele nam o jej wierze mówi, ale w związku z dążeniami tak silnie i tak szczerze zaznaczającymi się w jej poezji świadczy wymownie, że istotnie wierzyła ona głęboko i niezłomnie „w ducha potęgę i w wiedzy zdobycze, w cel życia wzniosły, święty, choć daleki, w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze, które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki“ — jednym słowem w to wszystko, co stanowi wyższą wartość i godność życia ludzkiego w przyrodzonych jego granicach.

Przy całej jednak swej szczerości i czystości była to wiara abstrakcyjnych ogólników, niezdolna zadowolić duszy, bo niewprowadzająca jej w bezpośrednią styczność z istotnymi rzeczywistościami życia, w których i przez które żywa, twórcza jej siła jedynie ujawnić się mogła. Tę drugą, konkretną, realną wiarę, w której obrębie nie sama wprawdzie istota, ale pewne, na gruncie naszego życia narodowego zasadnicze objawy chrześcijańskiej wiary religijnej należne im słusznie znalazły miejsce, wyrobiła i rozwinęła w sobie poetka przez twórczą pracę ducha z rodzimnej, ojczystej gleby czerpiącego odżywcze swe pierwiastki i plastyczną, kształtującą swą siłę.

VI.

Motywy swojskie i obce: „Z pól i lasów.“ „Helenica.“ — Motywy religijne: „Z mojej biblii.“ — Patryotyzm i narodowość: „Modlitwa Ezdreasa“, „Fragmenty.“ — Zwrot realistyczny: Nowelle.

Młodość życia jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przemija sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.

Wykuwała twórczy żywot poetki jej młodość „górna i chmurna“ — wykuwała bolesnymi ciosami wrażeń, w jakich wzrastało smutne pokolenie pogrobowców roku 63-go.

Wiele, wiele niegórných młodości, gnębiące te wrażenia, do poziomów tembardziej przybiły, wszelki młodzieńczy pęd ku wyżynom im odebrały. Tem dotkliwiej, bo w większem osamotnieniu, dawała się odczuć posępna wyżyn owych chmurność duchom wybranym, co przez samą swą naturę z nieprzepartą wciąż porywane były ku nim mocą.

Jak wiemy, młoda twórczyni „Modlitw wiosennych“, śpiewaczka pieśni sielskich wyjątkowo pono na owe czasy górnje bujała, w nadmiernem może oderwaniu od ziemi, w zbyt rozrzedzonej atmosferze abstrakcyi, ale w bardzo czystych przestworach uczucia i myśli, w wielkiem umiłowaniu nizin społecznych, na których tyle cierpień, tyle niedoli widziała. Zwracając się ciągle i uparcie ku tym smutnym, nizinym sprawom rodzinnej ziemi coraz bardziej sercem się do niej zbliżała, sercem w nią wrastała, a dzięki temu coraz lepiej, dokładniej zdolna była wyczuwać wszelkie jej wewnętrzne drgnienia, wszelkie rozchodzące się po niej z serc i dusz ludzkich prądy, dążności i oczywiście wszystko to coraz lepiej, z coraz większą mocą, wyrazistością i z większym artyzmem w pieśniach swych zdolna była wyrazić.

Piękności, czary, uroki przyrody ojczyściej po dawnemu przedziwnymi obrazami i nastrojami snują się w jej pieśniach, ale w większem jeszcze pogłębieniu lirycznego odczucia, w silniejszym, a zatem muzykalnie czystschem, wyrazistszem natężeniu śpiewnego ich tonu. Wędrując nieraz po obcych krajach pieśniarka nasza, jak Mickiewicz, piękność ziemi rodzinnej w tem większej ozdobie czuje i opisuje, bo wszędzie i zawsze tęskni do niej. W 4-jej seryi „Poezyi“ znajdujemy niewymownie piękny cykl li-

ryczny „Z pola i lasu,“ powstały widocznie na obczyźnie, jak należy wnosić z wiersza wstępnego, będącego jednym serdecznym porywem do dalekiej ziemi rodzinnej, wśród otaczających dokoła poetkę cudów obcej przyrody:

Cud po cudzie w oczy bije,
Przesłonecznie, przebogato,
Przecież nic mi nie zakryje,
Ciebie pole, ciebie chato!

Chodzę, patrzę na te dziwy,
Co nie moje, co nie nasze,
A dusza mi, jako ptaszę,
Na dalekie leci niwy.

Jakoż w następnych tego cyklu pieśniach snują się poprzez myśl i wyobraźnię pieśniarki czarownie swojskie obrazy:

Nigdy ja was nie zapomnę,
Pola moje przefaliste,
Lasy moje przeogromne,
Wody moje bystre, czyste.

Jak się tu żywo uprzytomnia wewnętrzna sercem i duszą przynależność do oddalonej przyrody ojczystej.

W serdecznem jej umiłowaniu potęguje się jej ozdobność. Wyobraźnia kładzie na nią swe cudne, tęczowe barwy, ale te w niczem nie zmieniają głęboko w całej mocy kochającego serca i twórczego natchnienia odczutej i uświadomionej prawdy jej obrazowania poetyckiego, jeno uwydatniają doskonale, kładą nam też przed oczy te istotne jej piękności i uroki, które w zwykłym toku wrażeń, wśród mnóstwa banalnych szczegółów i drobiazgów uchodzą niekiedy naszej bacności. Znamienny bardzo pod tym względem jest wiersz „Nasze srebro, nasze złoto.“ Jak wiele piękności umiała wydobyć tu poetka ze zbożowych naszych łąnów, jak cudnie odrzmiewa tu lirycznym nastrojem mickiewiczowski motyw pól naszych „malowanych zbożem rozmaitem, wylączanych pszenicą, posrebrzanych żytem.“

Kiedy zboża łąn zakwitnie,
Gdy zachrzęsną kłosy żytnie,
Kiedy w modrą ranną ciszę
Pszenny dział się zakołysze,

Jako fala poruszona
 Od zagona, do zagona,
 To ci duszę załaskota
 Pobrząk srebra, podźwięk złota.

U Konopnickiej, podobnie jak u Mickiewicza, z tęsknoty rodzi się myśl poetycka. Ale zauważmy znamienne różnicę. W epickim obrazowaniu „Pana Tadeusza“ motyw ojczystej przyrody ujęty jest ze strony malowniczej, w pieśni naszej poetki raczej ze strony liryczno-muzykalnej. Błyszczy jej wprawdzie w oczach srebro i złoto naszych łąnów zbożowych, ale więcej jeszcze dźwięczą w uszach przeróżne ich odgłosy: szmery, szumy falujących na wietrze kłosów, brząk kosi, nuta piosnki sielskiej, dolatująca z oddali, dzwoniący w błękitach śpiew skowronka.

A oto w niemniejszej ukazany ozdobie motyw z wrażeń zimowych („Na śniegu“):

Gdybym srebrne piórko miała,
 Tobym w szronie je maczała,
 W rannym szronie, na tej łące,
 Gdzie brylanty leżą drżące.
 Leżą drżące, rozsypane,
 Bładem słońkiem malowane.

Natura ojczysta zawsze uprzytomnia się poetce w związku z życiem ojczystego ludu, a to życie takimi smutnymi głosami w myślach i uczuciach jej zawsze się odzywa. To też wnet zachmurza się od nich słonecznie pogodna, złotem i srebrem „pól przefalistów“ rozdźwięczona symfonia przyrody. W obrazku, przedstawiającym siwego dziadka, co „z nowem słońkiem“ błogosławi polom i łąkom, odzywają się one jeszcze jakimś na poły radosnem, na poły bolesnem umiłowaniem w ciężkim, znojnym trudzie uprawianej krwawicy chłopskiej;—w obrazku dziecka chorego, co w ciemnej, ponurej izbie piwniczej słucha opowieści matczynej o cudach pól i lasów blaskami słonecznymi ozłoconych, występuje w całej swej wyrazistości tak częsty u Konopnickiej motyw beznadziejnej niedoli nędzarzy, tragicznym swym cieniem tem silniej uwydatniający się na jasnym tle czarów i uroków przyrodzonych.

Jakkolwiek myśl twórcza poetki z obczyzny wciąż ku ojczystej zwraca się dziedzinie, nie mogła jednak pozostać obojętną na spotykane po drodze w obcych krajach piękności natury. W 4-ej seryi „Poezyi“ znajdujemy wspaniałe, niezrównanie arty-

styczne ich odbicie w cyklu „Ren,“ a osobiwicie w kilku należących doń sonetach, rzadkich okazach tej formy lirycznej u Konopnickiej, która na ogół mało się nią posługiwała, choć, jak wszędzie i zawsze, niepospolitą rozwinęła w niej siłę artyzmu. Ale i tutaj, wśród nawału wrażeń, które przepysznyimi odzwierciadlają się w jej fantazyi obrazami, wspomnienia ojczystych niw i pól raz po raz w jej pamięci się jawią. Jeden z sonetów, odgłosami wodospadowych huków i łoskotów rozszumiały, takimi oto kończy się zwrotkami:

Dziw! Wskroś tego chorału przepaści i bezdna
Słyszę w dali stłumione echowe odgłosy,
Jakie niesie ze sobą noc cicha i gwiezdna...
Słyszę, jak szepcą trawy w łąkach nawskroś rosy,
Jak pod wozem żniwiarzy skrzypi droga jezdna
Jak wiatrem rozechwiane na łanie drżą kłosa.

(*Ren, VII*).

I myśl o niedoli, o znojnym trudzie nędzarzy nie opuszcza poetki.

Czasem poetka potraça odmiennie, rzadziej odzywające się struny swej lutni. Daje nam, przypominający dawniejszy „Romans wiosenny,“ z szeregu krótkich urywków lirycznych złożony poemacik miłosny p. t. „Zielone,“ kreśli piękny i rzewny, przed obrazem Prószyńskiego natchniony tryptyk balladowy „Na cmentarzu,“ wreszcie pociągana przez wrodzony sobie zmysł artystyczny, podobnie jak w poprzednim okresie swej twórczości, zwraca się do najbogatszego ze znanych nam źródeł artyzmu, do świata starożytności klasycznej i wysnuwa z niego cykl „Helenica,“ rozświetlony motywami greckiego piękna, wśród których wszakże płaczą się tu i owdzie odwieczne, wszędy obecne motywy ludzkiej niedoli. W pierwszej zaraz cyklu tego pieśni widzimy, jak na rozpromienioną blaskami słonecznymi Grecyę pada cień niewolnika Heloty „i w piersi Grecy gasi ruch i słońcu jej uraga“:

Napróżno Helios pęki strzał
Z żywego puszcza złota,
Olbrzymi mrok nad Grecyą stał,
Dopóki stał Helota.

I nim koi słońca w morzu pił,
Zamierzchły wód zwierciadła,
I młoda Grecya w pełni sił
I w pełni piękna — padła.

Wszędzie tedy, poprzez wszystkie poetyckie obrazy, liryczne nastroje Konopnickiej prześwieca zasadnicza jej idea humanitarna: protest przeciw wszelkiemu poniżeniu, sponiewieraniu natury ludzkiej, czy to w dziejach, czy w życiu współczesnem, bunt myślowy przeciw wszelkiej władzy ziemskiej czy niebieskiej, zdającej się nad człowieczeństwem tyrańską wywierać przemoc.

Ale sposoby i formy wyrażenia tych znanych nam już dobrze u poetki poruszeń serca i duszy różne teraz niż poprzednio: wzniesione na wyższy poziom sztuki, artystycznie zwartsze i obiektywniejsze, ideowo bardziej pogłębione. Dowodem wspaniały cykl „Z mojej Biblii“ w 4-jej seryi „Poezyi.“ Tytuł dobrze odpowiada treści. Te zwięzłe, o przedziwnej mocy strofy, mówiące o rzeczach wiecznych i bożych, mają w sobie iście biblijną, nieomal hieratyczną powagę, ale są to prawdziwie urywki własnej Biblii poetki, nader oryginalne w stylu i samorzutne w myśli odgłosy jakiegoś całokształtu ideowego, stanowiącego podwalinę najgłębszych jej wierzeń, zasad i przekonań. W formie słownej nie jest to wprost naśladownictwo stylu biblijnego, lecz jakby stylowa jego analogia, wynikła z głębokiego przejęcia się analogiczną treścią myśli i uczuć. Ponad głoszonemi tu wieczystemi prawdami ducha unosi się wyobrażenie groźnej Wszechpotęgi, pojętej w duchu starotestamentowego Jehowy, ale bez przyoblekających go zazwyczaj w Piśmie Ś-tym zmysłowych wyobrażeń:

Który ma złoty klucz od jasnej zorzy,
Który zawiera a nikt nie otwiera.

Oto określenie nienazwanej wszechpotężnej Istoty, władającej światem. Groza tragicznych przeznaczeń świata bije ze słów jej, którymi sama siebie w potężnych tercynach zwiastuje, jako niewzruszona Moc, co ponad sprawiedliwością i miłością się iści:

Jam ten, co wilki i jastrzębie poję,
A patrzę, jako rwą jagnięta we dwoje.

.
Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu
Na znieważony cichego próg domu,
Na głowy zwiędłe wśród krzywdy i sromu...
Jam ten, co słońcem ozłaca blask mieczy,
Co kłamiącemu moc bożą — nie przeczy...
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

Oczywiście, niema tu nic z chrześcijańskiego wyobrażenia Boga, Ojca świata. Rozpaczem przejęta zwątpieniem wobec

strasznych niesprawiedliwości i krzywde, wszechwładnie nad światem ludzkim rozpostartych, daje mu wyraz poetka w tem zwiastowaniu grozy i mocy, stanowiącej jakby transpozycję na ton nowoczesny starotestamentowej idei jehowistycznej.

A jednak pod tym jakby zanikiem chrześcijańskiej myśli religijnej ukrywa się z głębokiego nastroju i usposobienia duszy wynikła wiara chrześcijańska w ostateczny, zaświatowy tryumf tych co miłują i cierpią, co są jako Syn człowieczy cisi i pokornego serca. „Który ma złoty klucz od jasnej zorzy“ przed otwartymi jej wrotami w wyrocznym dniu świata ujrzy z podziwem „niepostanowione przez siebie i w zbroje obleczone setniki i namiestne.“

Lecz ujrzy rzesze ciche, jak łan żyta,
I nie odziane żelazem ni złotem,
Rzesze, co we łzach chodzą, złane potem,
I zadumieje w sobie -- Który pyta,
I puści światło, i onym otworzy,
Co oczy wznoszą do jutrzni rozblysku,
I żyją chlebem swojego ucisku,
Który ma złoty klucz od jasnej zorzy.

Można rzec, że idea, a z nią wiara chrześcijańska, przychodzi poetce nie z górnych stref ducha, na których jeśli nie wrogie wprost, to w każdym razie obce chrześcijaństwu panowały abstrakcje. Lecz z nizin społecznych, ku którym tak chętnie się nakłaniała, od owych, stojących przed otwartymi wrotami jasnej zorzy rzesz „cichych, jak łan żyta,“ w których łatwo rozpoznać tak bardzo przez nią umiłowany lud ojczysty, wiarą silny, w wiarę bogaty, promieniejący nią na tych, co się doń zbliżają ze szczerem sercem i z duszą szeroko na prądy życia otwartą.

Chrześcijański nastrój duszy poniekąd z tych od dołu idących prądów przejęty, poniekąd z własnej samorzutnej intuicji wynikły, nigdy i przedtem nie obcy poetce, w następstwie coraz wyraźniej w jej twórczości się zaznacza i coraz czystsza, bardziej do klasycznej prawowierności zbliżoną przybiera postać.

Oto jaki typowy ten nastrój znajduje wyraz w dwóch następujących strofach tegoż cyklu „Z mojej Biblii“:

A ci co giną w boju niechaj się nie smućą,
Że do nędzy swych ognisk i smutków nie wrócą,
Bo kiedy na boisku śmierć kosić ich będzie,
Życie wejdzie w ich domy i w progu usiedzie.

A ci, co idą z boju, niechaj się nie cieszą,
 Bo do nędzy żywota i smętku się spieszą,
 Śmierć na boisku swoje stępiła narzędzie,
 I wejdzie w dom zwycięzcy i ostrzyć je będzie.

Znamienny dla przemian dokonywających się w ówczesnym nastroju religijnym poetki (choć artystycznie mniej wybitny) jest wiersz p. t. „Angelus,“ w którym widzimy myśliciela, co duszę rozbił na atomy i wiarom wszystkim zaprzeczył, a jednak ze wzruszeniem słucha dzwonów, bijących na Anioł Pański i dosłuchuje się w nich jakichś głosów tajemnych, budzących dawno zapomniane echa w głuchej pustce jego piersi.

I w piersi poetki coraz częściej budziły się, coraz głośniej rozbrzmiewały echa odwiecznych, rodzimych uczuć, pragnień, wierzeń, w których tradycya narodowa nierozdzielnie z tradycją religijną się splata. I poprzednio słyszeliśmy te odgłosy w pieśniach wielkiej miłośniczki ziemi rodzinnej, ale brzmiały w nich nieraz zmieszane z obcymi głosami, które nigdy wprawdzie nie głuszyły tonów narodowych, owszem, ożywiały je barwą żywotnej nowoczesności, ale niezawsze zlewały się z nimi w doskonałe, pełnobraźniące akordy. Owóż tę pełnię rodzimego, a zarazem nawskroś nowoczesnego brzmienia osiągają pieśni doby późniejszej, ukazujące się już począwszy od 3-ej seryi „Poezyl“ coraz liczniejsze w następstwie i coraz bardziej wyrobione w swej treści ideowej i formie artystycznej.

Forma stylizowana w tonie mniej lub więcej biblijnym, od wieków naszej poezyi swojskim, dość często zjawia się w utworach Konopnickiej wieku dojrzałego i mistrzowskie znajduje w niej zastosowanie. Oto np. w 3-ej seryi „Poezyl“ niezrównana „Modlitwa Esdreasa“ tak przedziwnie wystylizowana w swym pełnym powagi i namaszczenia tonie biblijnym, a tak do głębi duszy przejmująca swem uczuciem patryotycznym i wykwitającą zeń religijnie zabarwioną wiarą narodową. Z jaką siłą ustami „mówiącego przed Panem“ proroka określone w niej są powołania narodów, ich wzrosty i upadki i niespożyta wewnętrzznego jestestwa ich żywotność:

Ty wybierasz narody, i dawasz im zbroje,
 I stawiasz je jak wodze przed hufce stuleci,
 I patrzysz jak się wznaga i jako się świeci
 Twój orzeł podsłoneczny, lecący na boje,
 i zwołujesz go z zasie,
 I gasisz jak pochodnie, i porzucasz w czasie,

Jako proch osypany i popiół wzgardzony.
 Lecz ducha tego, który w piersi jego żywie,
 Jako mgłę srebrną puszczasz i jako dym siny
 W tajny wątek żywota i ludów zaczyni.
 I siejesz go jak ziarno zbożowe na niwie.
 A nieznalezion będzie między umarłymi
 Żaden z tych, którzy żyli pod twymi błękity,
 I wzbudzisz z nocy czasów rozbłyski i świty,
 I dębom obalonym wstać każesz na ziemi.

Modlitewna rozmowa z Bogiem kończy się wymowniejszym
 od wszelkich słów krzykiem milczenia:

Lecz mowa o tych rzeczach trzęsie się i łamię
 I drży w sobie zgwałconym zaparta językiem,
 A wołaniem do Ciebie wniesione to ramię,
 A milczenie skrzywdzonych przed Tobą jest krzykiem.

Półwieczną prawie przestrzenią czasu rozdzielone, z tragicznie
 milczących głębin duszy narodu rwące się odgłosy zawsze
 niezmiennie rozpaczliwej jego niedoli.

Tenże motyw przymusowego, nad wszelkie słowa wymowniej-
 szego milczenia spotykamy we wstępie do głębokomyślnych, siłą
 skupionego w sobie uczucia potężnych „Fragmentów“ seryi 3-ej:

Nie mogę mówić do was jakbym chciała,
 Ani do głębi serca wam otworzyć...
 Ale wy wiecie, jak drży i jak pała
 Słowo to, które pragnę tu położyć,
 I stanąć przed nim z pochyloną głową,
 Wielkie, zakłęcia pełne, ciche słowo.

.

Więc zdala tylko stoję i milcząca
 Mówię dziś do was zamkniętych ust ciszą,
 I czołem w brzaski zwróconem do słońca...
 I wiem to, że mnie te serca usłyszą,
 Które nawykły samotnem swem biciem
 Gadać z tęsknotą, z nadzieją i życiem.

Nadzieja i życie!—oto hasła, któremi poetka protestuje prze-
 ciw wszelkim zwątpieniom i zmartwiłościom w zwątpieniu tak po-
 wszechnem w dniach rozkwitu jej twórczości i w bezpośrednim
 jej otoczeniu społecznem. Jakże wymownie te hasła, te protesty
 dźwięczą we „Fragmentach“, w ich słowach, drżących uczuciem,
 myślą polotną uskrzydłonych i w ukrytem pod słowami milczeniu.

Podnosi tu poetka głos przeciw innemu rodzaju milczeniu: przeciw milczeniu zropanzonej czy rozpaczliwej niemocy, lub zgoła gnuśnego zapomnienia, czy haniebnego zaprzaństwa. Tak milczeć umieją „słabe, bierne duchy, co chowają ból swój oswojony, jako gadzinę, gdy wyrwą jej jady, co się zwyciężać dają bez boju, hyle ich tylko z gnuśnego spokoju nie wyrwał okrzyk przyszłości.“ O takich mówi poetka dosadnie, że szukają „miejsca, gdzieby wolno nazywać się — niczem, oddychać bez powietrza i istnieć — bez życia.“ „Płytkie wieku i powszednie zdroje“ — oto napój takich duchów we własnej zmarniałych gnuśności, tłustością własnego zatyłych utuczenia. Innego napoju pragnie poetka:

Dla ust spalonych tajemnym pożarem
 Otchłań niech będzie kipiącym puharem!
 Słona łez fala o pierś niech mi bije...
 Niech piję gorycz — lecz z morza niech piję!

Takie to jest przeciwieństwo tajemnic pełni i tajemnic próżni i dwojakiego milczenia, pokrywającego te i tamte. Nowszymi czasy nigdzie lepiej nie uwydatnione zostało to przeciwieństwo naszego życia wewnętrznego, jak we wspaniałych owych fragmentach uczuć i myśli, niewypowiedzianych, czy niedopowiedzianych, a jednak tak potężnie zawsze wymownych w swem słowie i — w swem przemilczeniu. Protest w tem i w tamtem zawarty, był odgłosem intuicyjnie przez poetkę odczutej chwili przesilenia, przypadającego przy końcu zeszłego stulecia, przesilenia zbiorowej rezygnacji społecznej, którą nie bez słuszności możnaby po czytywać za objaw zaniku sił żywotnych w narodzie, gdyby nie to konieczne, choć nieraz może tragiczne w swych skutkach, budzenie się ducha nowego, najsilniej pono odczute i wyrażone poetycznie przez Konopnicką w danym okresie jej twórczości.

Jest to główny, ale nie jedyny objaw zbliżenia się jej do życia wierniejszego niż przedtem odzwierciedlenia zjawisk i prądów życiowych.

Drugim analogicznym objawem jest pewien zwrot do realizmu bądź w stylu, bądź w wyborze tematów, a często w jednym i drugim. Był to dość niespodziany zwrot talentu twórczego, który z natury swej zdawał się powołany do odtwarzania i wyrażania treści ideowej, aż nadto od życia oderwanej i stylizowanej idealistycznie, w obrazowaniu rzeczywistości ogólnikowo i bezbarwnie. Obecnie naraz spotykamy utwory o stylu bardzo barwnym i dosadnie charakterystycznym, jak np. w przewybornej

„Kartce z raptularza,“ zawierającej zwięzłą w staropolskim tonie (któregoby się ani Pol ani Rzewuski nie powstydzili) opowieść gawędziarską o wiedeńskiej Króla Jana wiktoryi.

Wtedy też ukazują się prozaiczne rzeczy Konopnickiej, mianowicie jej nowele, właściwie mówiąc, obrazki nowelistyczne, bo powieściowego wątku w nich niewiele (z wyjątkiem „Krysty“ i „Pod prawem“), a tylko obrazowanie życia nader wyraziste, barwne, charakterystyczne. Rozmiary mej pracy i zakres jej tematu nie pozwalają mi tu zatrzymywać się dłużej nad tymi płodami talentu poetki z wielu względów bardzo interesującymi — poprzestać muszę na kilku ogólnych uwagach, pozostających w ścisłym związku z zajmującym nas tu przedmiotem. Z tego stanowiska chodzi głównie o rodzimy, swojski, narodowy ton, objawiający się w nowelach, nie tylko ideowo, lecz i charakterystycznie, w sposobie ujęcia zjawisk i postaci życia, w barwnym tle akcji, dosadnym obrazowaniu, rodzajowo wyrazistym dyalogu.

Jak wszędzie u Konopnickiej, i tutaj idea przemagająca ma znaczenie, ale obok uniżowania idei jest też wielkie upodobanie w zjawiskach życia zewnętrznego, odtwarzanych wiernie, można rzec nawet realistycznie, a przytem oczywiście z ogromnym poletem poetyckim. Ta realizowana tu poezya, czy też poetyzowana realność stanowi szczególny owych nowel urok, a w rozwoju twórczości poetki stwierdza zwrot do otaczającego ją bezpośrednio życia, mający duże znaczenie dla dalszego w najwyższej mocy i pełni rozkwitu jej genialnych uzdolnień twórczych.

Weźmy oto takie arcydzieło nowelistyki Konopnickiej, jak „Głupi Franek.“ Jest w niem wyraźnie zarysowująca się idea żywiołowej naszego ludu wiejskiego łączności z ziemią i z przyrodą ojczystą. Pod koniec opowieści, gdy Franek namiętnie protestuje przeciw sprzedaży ziemi Niemcom i porywa za sobą lud w gorącej modlitwie, ideowość zbyt tendencyjnie się ujawnia i wystaje poza artystyczny obraz życia. Ale w rozwinięciu obrazowania co prawdy życiowej i co poezyi! — jaka przedziwna postać samorodnego wiejskiego poety wprost z „matki rzeki,“ z „ojca lasu,“ z pramacierzy ziemi wyrastającego twórczą swą istotą! A ta jego charakterystycznie chłopska „głupota,“ wysmiewana przez gmin prostaczy, a nieraz także dziwnie budząca w nim zadumy, takie dalekie przed jego czuciem i wyobraźnią otwierająca widnokreśli. Coś niby chłopski równoważnik mickiewiczowskiego „rozumny szaleem...“

Ze liryczne ustępy noweli, snujące się wątkiem snów i marzeń głupiego Franka o błękitnem przedziwiewie rzeki, o huczących

po lesie wojskach króla Balcera, w swym poetyckim polocie godne są cudownej wyobraźni naszej pieśniarki — nad tem zbyt uczynna się rozwodzić, to dla każdego aż nadto chyba widoczne. Nam chodzi tu głównie o realistyczne stylizowanie tych i innych ustępów opowieści, o dosadną charakterystykę chłopskiej mowy, chłopskiej umysłowości i całego wogóle środowiska wieśniaczego, w którym obraca się ta biedna wieśniacza „głupota“, „rozumna szaleńca“, jak śpiewak Ody do młodości, „współczuciem wiedząca“, jak wagnerowski niewinny głupek — der reine Thor.

I w innych nowelach takież sam panuje realizm, na wiernej obserwacji życia otaczającego ugruntowany, w stylizowanej odpowiednio charakterystyce jego zjawisk i postaci z nieporównanym ujawnionym artyzmem. Proza Konopnickiej nie ustępuje jej poezji, a właściwie jest tylko inną postacią jej poezji w swobodnej, niewiązanej, niekiedy realistycznie potocznej mowie, zawierającą istne skarby natchnienia poetyckiego i wysokiego artyzmu. Czyż nie dowodzi to, że poetka „zstępując z hymnu do prostej powieści“, szła zawsze za głosem swego powołania twórczego i tych upodobań, tych umiłowań serdecznych, z których ono wynikało. Wiemy, że przedmiotem ich głównym, a nawet pono istotnym były nizinne poziomy ojczyste, nad których niedolą tak bardzo zawsze cierpiała, nad którymi w poezji swej wciąż „jak ptak zraniony“ chciałyby latać.

Owóż obecnie w swej prozie naracyjnej zeszała na te poziomy pomiędzy ten biedny, a tak jej umiłowany lud bratni, co je zamieszkuje i sprawy jego jęła odtwarzać już nie w lirycznie rozśpiewanych serca swego odgłosach, lecz w wiernym, prawie fotograficznym, choć nawskroś poezją, liryzmem przesiąkniętym obrazowaniu.

Wszystkie nieomal powstałe stąd utwory nowelistyczne z nielicznymi wyjątkami wysnute są z życia rodzimego i uderzają w ton uczuć narodowych i patryotycznych (np. „Niemezaki“, „W winiarskim forcie“) lub w ton współczucia dla różnych niedoli i cierpień na nizinach naszego bytu społecznego („Pod prawem“, „Dym“, „Maryanna z Brazylii“, „Z włamaniem“, „Nasza szkapka“, „Józefowa“ i inne). Do wyjątków należy taka nowela jak „Krysta“, osnuta na motywie kolizji uczuciowej i wynikających z niej bolesnych zawikłań życiowych. Ta nowela, pełna siły dramatycznej i dosadnej charakterystyki, świadczy wymownie o wybitnych i w tym kierunku uzdolnieniach poetki, rzadko jednak rozwijanych z powodu pochłaniających ją przemożnie wielkich umiłowań i wynikających stąd wielkich trosk i bólów spo-

łeczno-narodowych. Wciąż do głębi duszy nimi przejęta, nie miała ona ani chęci, ani myśli swobodnej do zajęcia się indywidualnymi sprawami życia i rozwijającą się w nich różnorodną grą ludzkich uczuć i namiętności. Dlatego też, jak wyżej zaznaczyłem, w nowelach jej tak mało stosunkowo powieściowego wątku. W pewnym względzie można powiedzieć, że nie mają one samodzielnego znaczenia w rozwoju twórczości poetki. Są to raczej jej studia, aniżeli wykończone, same dla siebie istniejące dzieła sztuki. W tych realistycznych swych obrazkach zbliżona bardziej do życia, ujmując je w całej rzeczywistej jego prawdzie i swojskim, rodzimym charakterze, tem silniej, tem głębiej mogła odczuć i przyswoić sobie istotną jego treść i, dzięki temu, skoro następnie powróciła do swych przyrodzonych, czysto poetyckich sfer tworzenia w ostatnim, najdojrzałszym jego okresie, mogła zdobyć się na tak wysoki lot natchnienia, połączony z tak głębokiem poczuciem realnej prawdy życia.

WALERY GOSTOMSKI.

Samobójstwo rasy.

Brak rodzin liczniejszych we Francyi, a przynajmniej coraz mniejsza ich liczba, stąd zaś, jako skutek, słaby ruch ludności, to zjawisko, znane już nie od dzisiaj. Wszakże prawie do lat ostatnich, prócz garstki patryotów, oraz specjalistów demografów, socyologów, ekonomistów, moralistów lub lekarzy, których głos nie dochodził do szerszej publiczności, nikt nie zwracał bliższej uwagi na ten przecież tak szczególnie niebezpieczny fenomen społeczny.

Walki polityczne stronnictw, wzajemnie wydzierających sobie władzę i płynące z niej korzyści, do tego stopnia zajmowały umysły zarówno kierowników, jak i ogółu, że o niczem innym nie chciano i nie miano czasu myśleć. Dopiero, gdy pewna antyspołeczna propaganda, której nikt nie przeszkadzał, z ukrytej, stała się jawną i z całą bezczelnością przybrała formy doktrynalne, zaczęły otwierać się oczy, dotąd rozmyślnie lub niebacznie na te sprawy zamknięte.

Z wielu stron naraz uderzono na trwogę, której echo odbiło się aż w parlamencie, tem miejscu na rzeczywiste potrzeby narodu najbardziej głuchem.

Zwrócono się do statystyki i przekonano z przerażeniem, że ludność Francyi nietylko się nie powiększa, ale wprost jej ubywa. A dzieje się to od lat przeszło dwudziestu, gdy przedtem już od blisko półtora wieku przyrost stosunkowo stopniowo się zmniejszał.

Liczba zmarłych za każdy rok ostatniego dwudziestolecia przewyższa liczbę urodzeń. Deficyt stąd powstały wynosił w roku 1890—38,000; w 1891—10,000; w 1893—20,000; w 1895—18,000; w 1900—26,000; w 1907—20,000; w 1909—30,000 przeszło. Da-

wniej zdarzało się to wyłącznie w czasie wielkich klęsk społecznych: epidemij, zabójczych wojen i t. p. katastrof, wskutek nie braku urodzeń, lecz wielkiej śmiertelności przez te klęski spowodowanej. Obecnie rzecz ma się odwrotnie: śmiertelność we Francji jest mniejsza, niż gdziekolwiek, żadne powody zewnętrzne nie wpływały na jej powiększenie, pomimo to ruch ludności wykazuje stały i w ostatnich latach powiększający się deficyt. Zatem jedyną tego przyczyną jest zmniejszająca się liczba urodzeń, co też statystyka wykazuje najdobitniej.

To zmniejszanie się stosunkowej liczby urodzeń daje się zauważyć w odstępach dziesięcioletnich, począwszy od roku 1780, w którym na 1000 mieszkańców przypadło 38 urodzeń, gdy w dziesięcioleciu od 1801 — 1810 roku cyfra ta wynosi już tylko 32,5 i zmniejszając się dalej nieustannie, schodzi w okresie 1901—1908 do 20,9. Przy 12 milionach mieszkańców więcej, niż w XVIII wieku, ma Francja teraz rocznie o 200,000 urodzeń mniej.

Od r. 1825 do r. 1875 ubywało urodzeń po 500 rocznie; od r. 1876 do 1900—po 4000; od r. 1900 do 1907—po 12,000 rocznie. Na około 11 milionów rodzin francuskich, jedna szósta (1,800,000) nie ma wcale dzieci; jedna czwarta (2,900,000) ma jedno dziecko; jedna czwarta również (2,600,000) ma dwoje dzieci. Dopiero jedna piąta (2,200,000) ma troje dzieci i więcej. Przeciętna cyfra wynosi dwoje dzieci na rodzinę.

Na 86 departamentów, w sześćdziesięciu liczba śmierci stale przewyższa liczbę urodzeń, zaś są gminy, w których księga urodzeń przedstawia białe karty. Oto co mówi statystyka w tym przedmiocie i cyfry, które przytacza, są już same przez się dość wymowne. Ale o ileż jeszcze będą one wymowniejsze, gdy zauważymy, że ludność krajów ościennych stale i bardzo szybko się powiększa, pomimo zresztą, że i u tych narodów liczba urodzeń zaczyna się nieco zmniejszać, co wszakże wobec o wiele szybszego zmniejszania się śmiertelności, nie przeszkadza im wzrastać liczebnie. Od roku 1870 ludność tych krajów podniosła się:

w Niemczech	od milionów	40,8	do 64	przyrost	23,2
„ Anglii	„	32	„ 41,9	„	9,9
„ Austro-Węgrzech	„	37,5	„ 45,4	„	7,9
„ Włoszech	„	26,6	„ 32,5	„	5,9

podczas gdy Francja (39 milionów) zawdzięcza swój drobny przyrost wyłącznie imigracyi cudzoziemców, których posiada blisko 2 miliony. Według Levasseura zmiana w stosunku elementu francuskiego do sumy elementów niefrancuskich w Europie (biorąc

pod uwagę tylko Anglię, Niemcy, Austryę i Włochy) tak się przedstawia: za Ludwika XIV—38%; w okresie, poprzedzającym Rewolucyę—25%; po bitwie pod Waterloo—21%; w r. 1872—15%; w r. 1892—12%. Dziś sięga zaledwie 11%, a za lat trzydzieści wynosić będzie najwyżej 7%.

Ludność najniebezpieczniejszego sąsiada Francyi — Niemiec, od lat pięćdziesięciu podwoiła się prawie. W ostatnich latach: 1906, 1907, 1908 przybywało Niemców rocznie blisko milion (w roku 1906—910,000). Według obliczeń p. Vacher de Lapouge całe terytorjum państwa niemieckiego nie może wyżywić więcej nad 50 milionów ludzi, posiada zaś ich obecnie 64 miliony. Francya mogłaby wyżywić ludność dwa razy liczniejszą od tej, która ją obecnie zamieszkuje. W Niemczech na kilometr kwadratowy przypada przeszło 200 mieszkańców (w Saksonii—300), gdy we Francyi tę samą przestrzeń zajmuje tylko 74 ludzi. Stąd też skutek naturalnego prawa ciśnienia nadmiar ludności Niemiec dążyć musi do wypełnienia wolnego miejsca, opróżnionego przez Francuzów. Dotąd odbywa się to przez infiltracyę, czyli najście pokojowe, ale łatwo przewidzieć można chwilę, gdy upusty pokojowe okażą się niewystarczające, a wtedy prąd, ciągle zwiększający się, zerwie idealną tamę granicy i, przybrawszy postać zbrojnego najazdu, zaleje opustoszałe i bezbronne, a tak ponętne terytorjum francuskie. Wtedy to nastąpi chwila, o której marzy pisarz wszechniemiecki Römmeł, że „pięciu ubogich synów rodziny niemieckiej, zwabionych dostatkami Francyi, z łatwością da rady jednemu synowi rodziny francuskiej.“ I tak być musi, jeżeli okoliczności nieprzewidziane temu nie przeszkodzą.

Już teraz Niemcy posiadają czynną armię, złożoną z 634,000 żołnierzy doborowych, bo mając obfity materiał ludzki, mogą wybierać jednostki najzdatniejsze (1 żołnierz na 89 mieszkańców), gdy Francya, zmuszona brać wszystkich, nawet fizycznie nieudolnych, kaleków i zbrodniarzy, zdobyć się może zaledwie na 602,000 żołnierzy (1 żołnierz na 64 mieszkańców) i wobec ciągłego powiększania się sił zbrojnych przeciwników, będzie zmuszoną zmniejszać swe kadry co lat piętnaście o 50,000 ludzi.

To Francuzi mieli odwagę stwierdzić i głośno wypowiedzieć, wiedzą zatem dokładnie, co ich czeka. Czy potrafią temu zaradzić?

Po długim lekceważeniu tej kwestyi, rząd Rzeczypospolitej uznał za stosowne ją zbadać i przedsięwziąć środki zapobiegawcze przeciw niedającemu się już zaprzeczyć faktowi ubywania ludności. Z inicjatywy ówczesnego prezydenta ministrów, Waldecka-

Rousseau, utworzyła się w tym celu komisya z członków obu Izb. Ale, jak wszystko, co wychodzi z łona parlamentu, o ile nie tyczy się interesów wyborczych i osobistych jego członków, skończyło się to na bałamuctwie. Komisję, po jednym, czy też paru posiedzeniach, zaprzestano zwoływać, bo rząd i parlament miał pilniejsze i ważniejsze zadanie w prześladowaniu katolików i rabowaniu klasztorów. Zresztą, co tu pomoże komisya? Aby radzić złemu, trzeba najpierw poznać i usunąć jego przyczyny, bez czego wszelkie środki zwalczania jego skutków nie mogą mieć żadnego wpływu. Tymczasem działalność rządu i parlamentu może się ograniczyć do utrwalenia i zarządzenia drogą prawodawczą takich tylko środków, bo co do przyczyn, to usunąć ich ani rząd, ani parlament nie są w stanie, a gdyby nawet mogli, toby tego nie uczynili, bo sprzeciwiałoby się to ich własnym dążeniom.

Zbadaniem przyczyn wyludniania Francyi zajęli się tedy ludzie kompetentni częścią z własnej inicjatywy, częścią powołani do tego zadania przez Akademię nauk społecznych i moralnych, która w tej sprawie ogłosiła konkurs, lub przez jedno z pism peryodycznych („Revue Hébdomadaire“), które zarządziwszy ankietę tejże natury, uzyskało opinię ludzi wybitnych, których specjalność postawiła w bliższej styczności z wchodzącymi w skład tej kwestyi zagadnieniami. W ten sposób, jeżeli w praktyce nic nie rozstrzygnięto, to przynajmniej rzucono światło na tę ciemną dotąd sprawę z kilku stron naraz. W ankiecie „Revue Hébdomadaire“ wzięli udział pp. de Foville i Gide, jako ekonomiści, biskup wersalski, ks. Gibier, jako znawca dusz, dr. Burlureaux, jako lekarz, Lyon-Caen, jako prawnik, i Joly, jako sprawozdawca z konkursu, ogłoszonego przez Instytut (Akademię nauk społecznych i moralnych). Później wyszła z druku uwieńczona na tym konkursie praca p. Raula de Félice, systematyczna i zwięzła, ale wyczerpująca w ujęciu wielostronnych zagadnień kwestyi, oraz bardzo ciekawe, szczere, jędrnie motywowane studjum socyologa i wyznawcy doktryny Comte'a, Jerzego Deherme, p. t. „Croître ou Disparaître“, obok licznych innych rozpraw, konkursowych i nie konkursowych, sprawę tę traktujących.

Wszystkie te prace i artykuły, prócz stwierdzenia w cyfrach znanego już objawu zmniejszania się liczby urodzeń we Francyi i co zatem idzie, ubywania jej ludności, wykazują przyczyny tegoż i zastanawiają się nad skutkami, które ten smutny stan rzeczy wywołuje narazie lub sprowadzić musi w przyszłości. Najmniej znajdujemy w nich zalecania środków doraźnych, co też dowodzi, że autorowie traktują swój przedmiot zbyt poważnie, że

zgåębili go zbyt sumiennie, by łudzić siebie i innych, że zastosowanie jakichś zaimprovizowanych środków, że jakieś cząstkowe reformy prawne i ekonomiczne mogą zapobiedz złemu, którego powody tkwią tak głęboło. Wszyscy zgadzają się na jedno: że, by otrzymać istotny rezultat, trzebaoby przedewszystkiem zmienić, a raczej naprawić ducha narodu. Utrata wiary i uczuć religijnych, obejmująca coraz szersze koła, jeżeli nie ogół narodu, przy jednoczesnym rozwoju rewolucyjnego indywidualizmu, sztucznie wyhodowanego w centralistycznym ustroju demokratycznym, który na miejsce rozbitych przez się dawnych grup społecznych, t. j. stanów, i zawodowych, t. j. cechów, ustanowił jednostkę—indywiduum i, głosząc jej „prawa“ (Prawa Człowieka), nie wspomniął o jej obowiązkach, a rodzinę zupełnie pominął. Oto powód główny spaczenia i skrzywienia ducha narodu i jego ewolucyi w stronę coraz niższego poziomu moralnego. Stąd zapoznanie i uchylanie się od wszelkiego obowiązku u jednostki, która poczuwa się tylko do praw, jakie w nią wmówiono. Stąd też zanik wszelkiej powagi, szacunku dla starszych, dla kobiety, dla tradycyi, a zatem i dla ojczyzny i dla rodziny. Anarchia ducha, zaszczipiona ludowi przez doktrynę demokratyczną, wyrobiła w nim absolutny sceptycyzm. W tych warunkach jedyną wartością stał się pieniądź, który, prócz dostatku i zwolnienia od pracy, dał możność każdemu, bez innych zasług wyniesienia się ponad stan, w którym się urodził. Skutkiem tego: u jednych pogoń za groszem, staranie zdobycia go wszelkimi środkami, u drugich skąpstwo, zmysł oszczędności i kapitalizacyi posunięty do ostatnich granic, by utrzymać się na posiadaniem lub świeżo zdobytym stanowisku społecznem. W jednym i drugim wypadku jedynym bodźcem jest ciasny egoizm, chęć używania osobistego, czy to wezasu i uniknięcia trudu, czy to zbytku i zadowolenia próżności.

Tak tedy burżuazyjne rentierstwo stało się ideałem przeciętnego Francuza. Przy drożyznie życia, a przeto stosunkowo dużym koszcie wychowania dziecka, liczna rodzina jest pierwszą przeszkodą do osiągnięcia tego ideału. Stąd więc dążność do ścieśnienia, do ograniczenia tej rodziny, do sprowadzenia do minimum jej liczebności. Z drugiej strony wzrost ogólny, zwłaszcza ekonomicznej kultury kraju, podniósł potrzeby życiowe prostego ludu, nieprzysparzając mu w tym samym stosunku środków do ich zaspokojenia. Rozwój demokratycznego indywidualizmu zaostrzył jego ambicyę, która popchnęła go do gromadnego opuszczania wsi dla szukania w wielkich centrach fabrycznych większych zarobków i ułudnych widoków podniesienia się na wyższy stopień skali

społecznej, by znaleźć tam, obok warunków niehygienicznych, rujnujących jego zdrowie, większą jeszcze biedę wskutek wyższych kosztów życia miejskiego.

Dla przeciętnego robotnika liczniejsza rodzina stała się więc ciężarem nie do zniesienia, pogrążającym go w nędzę. W takich warunkach propaganda neo-maltuzyanizmu znalazła grunt gotowy, na którym przyjęła się odrazu, rozkrzewiła się z wielką szybkością i wydała w obfitości swój plon negatywny. W r. 1798, Malthus, pastor, filantrop i ekonomista angielski, wygłosił zdanie, nazwane odtąd prawem Malthusa, mianowicie: że „w okresach dwudziestopięcioletnich, jeżeli nic nie stoi temu na przeszkodzie, ludność powiększa się w stosunku geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16 i t. d.), gdy środki żywnościowe wzrastają w stosunku arytmetycznym (1, 2, 3, 4, 5 i t. d.).“ Stąd wniosek logiczny, że przybywanie ludności stanowi niebezpieczeństwo dla ludzkości, dla której z czasem braknie pożywienia. Malthus zbudził nanowo odwieczną obawę przeludnienia, która nie była obcą już światu starożytnemu. Arystoteles radził powstrzymanie mnożenia się ludności za pomocą prawa niedozwalającego zawierania małżeństw przed trzydziestym siódmym rokiem dla mężczyzny i zabraniającego ojcowstwa po pięćdziesiątym piątym roku. Zalecał również niszczenie płodu i noworodków niekształtnych. Niedługa przyszłość pokazała, jak ciężko się mylił, gdy jedną z przyczyn, które spowodowały upadek Grecyi, był brak ludzi. W istocie, czyni słuszną uwagę p. Deherme, nie widziano jeszcze rasy, narodu, społeczeństwa, któreby zginęło wskutek nadmiaru płodności. Zrównoważenie wytwarza się w sposób naturalny, czy to przez śmiertelność, czy emigrację, kolonizację lub podbój, czy też przez podniesienie kultury, wytwórczość intensywniejszą, postęp przemysłu, lepszy zarząd bogactw. W każdym razie cierpią na tem czasowo tylko jednostki. Ale niepłodność nie leczy się sama przez się i wycieńcza i zuboża całe społeczeństwo. Grecya i Rzym od tego zginęły.

„Rzym nie upadł wskutek nadmiaru despotyzmu—mówi Arsène Dumont, autor dzieła „Dépopulation et Civilisation“, równie jak Ateny od nadmiaru rozwiązłości. Oba te państwa zginęły dlatego, że przy najbardziej różnych formach rządu, ta sama toczyła je choroba: brak świadomego i dobrowolnego podporządkowania jednostki indywidualnej jednostce społecznej.“

Wielkie oburzenie, zwłaszcza u socjalistów wywołały te słowa Malthusa: „Człowiek, który się rodzi na świat już zajęty, jeżeli jego rodzina nie może go wyżywić, albo jeżeli społeczeństwo

nie potrzebuje jego pracy, człowiek ten nie ma najmniejszego prawa dopominać się jakiegokolwiek cząstki żywności i jest rzeczywiście zbytecznym na ziemi. U wielkiej uczyty zastawionej przez naturę niema dlań nakrycia. Natura każe mu odejść i groźby swej nie omieszka sama wykonać.⁴ Ale czasy się zmieniają—dziś socjaliści właśnie są zwolennikami i propagatorami teorii Malthusa, gdy przeciw niej powstają konserwatyści, którzy niegdyś przyjęli ją przychylnie, znajdując w niej broń przeciw komunizmowi! Jakkolwiekbyś sądzić jego teorię, Malthus był filantropem i moralistą. Na celu miał ulżenie nędzy materyjalnej i moralnej mas, którą przypisywał ich zbytecznemu mnożeniu się. To też środki, które zalecał przeciw temu, nie mają w sobie nic zdrożnego. Nie żądał przeto powstrzymania stosunków płciowych w małżeństwie, tem mniej praktyk, pozbawiających je skutków naturalnych, lecz radził powstrzymanie się od małżeństwa z zachowaniem czystości.

Zresztą nie myślał o stosowaniu w tym celu jakiegoś przymusu prawnego, lecz oczekiwał tylko rezultatów od nacisku moralnego opinii oświeconej. Dalej poszli ekonomiści jego szkoły.

Stuart Mill, który wyraził się, że „nie można się spodziewać większego postępu moralności, dopóki się nie będzie miało dla licznych rodzin tej samej wzdargi, jaką się okazuje pijaństwu i innym nadużyciom cielesnym“—proponował ustanowienie prawa, któreby zabraniało ubogim wstępowania w związki małżeńskie. Posunięto się nawet do zalecania owortacyi i kastracyi ubogich. To wszystko zresztą, jako niewykonalne w praktyce, pozostało w teorii, jako świadectwo dziwnych zbroceń, jakim podlegać mogą umysły nawet najbardziej rozwinięte. Praktyczniejszymi okazali się dzisiejsi neo-maltuzianie. Ci wiedzą, że żadne względy na dobro ogółu, ba, nawet na dobro osobiste jednostki, cóż dopiero wpływy opinii lub teorye społeczno-ekonomiczne wątpliwej wartości — nie mogą nic przeciw instynktowi. To też wolni od wszelkich uczuć religijnych, niekrepowani żadnymi przepisami moralności, uznali za najprostszą drogę dojścia do celu—pogodzenie interesu, jakim jest ograniczenie mnożności ludzkiej, z zadowoleniem instynktu i metodę swą tem łatwiej potrafili rozpowszechnić, że była już w praktyce stosowaną. Neo-maltuzianie w samej rzeczy jej nie wynaleźli, tylko postarali się praktykom, uważanym dotąd za naganne i niemoralne, potępionym przez Kościół i uznanym za zbrodnię przez kodeks, a przeto pełnionym skrycie, dać tłumaczenie naukowe i usprawiedliwić potrzebą humanitarną. Łatwo się domyśleć, że w tych warunkach teoria tak

postawiona, o ile zyskała sobie licznych, jawnych zwolenników, zarówno wśród rzeszy bezkrytycznej i kierującej się li tylko instynktem i bezpośrednim, osobistym interesem, we wszystkich warstwach społecznych, jak i u tak zwanych unysłów niepodległych, a niemniej u rozpuśników wszystkich kategorii, o tyle napotkała niewielu zdecydowanych przeciwników wśród tych, którzy w zasadzie byli jej przeciwni, bo i ci, nie mając przeważnie na tym punkcie czystego sumienia, nie śmieli zaprotestować dość energicznie.

Wobec tego neo-maltuzyanie nie zawahali się wystąpić z jawną propagandą za pomocą pisma i słowa rozpowszechniać swą doktrynę i sposoby stosowania swej metody w broszurach i konferencyach publicznych, w czym nie napotkali, pomimo prawa do tego obowiązującego, na żadne przeszkody ze strony rządu i władz Republiki. Owszem, doznali z tej strony zachęty i pomocy—dla ich konferencji i „kursów“ dla kobiet z ludu utworzono im sale rządowych szkół gminnych i to tem chętniej, że w neo-maltuzyanach znalazł rząd nader czynnych sprzymierzeńców w walce z „obskurantyzmem“ katolickim i pomocników do wykorzeniania „przesądów“ religijnych. To też neo-maltuzyanie znaleźli silne poparcie u wolnomularzy, którzy, jak wiadomo, rządzą obecnie Francją, i u intelektualistów semickiego pochodzenia, rozumie się nie w zastosowaniu do swej rasy, której nadzwyczajna mnożność jest powszechnie znana. Neo-maltuzyanizm jest z natury swej doktryną zasadniczo nihilistyczną, dąży bowiem logicznie, choć nie mówi tego wyraźnie, już nietylko, jak inne teorie przewrotowe, do wywrócenia porządku społecznego, ale do zniszczenia samego rodzaju ludzkiego i ma nad nimi tę wyższość, iż nic pozornie w ustroju społeczno-politycznym nie zmieniając, daje się z łatwością i z bezwarunkowym skutkiem w praktyce odrazu zastosować.

Adepci neo-maltuzyanizmu, jako doktryny, rekrutują się wśród wszystkich elementów rewolucyjnych i przewrotowych, zarówno anarchistycznych, jak i socjalistycznych, chociaż naprawdę dążeniom tych ostatnich więcej może przynieść szkody, niż korzyści, a w celach ostatecznych z nimi się nie zgadza. Znajduje również licznych zwolenników, obok pewnej kategorii intelektualistów teoretyków—literatów, autorów dramatycznych, dziennikarzy i t. p., w sferach pół-inteligentnych, zwłaszcza u znanych skądinąd z rewolucyjnego usposobienia nauczycieli i nauczycielek ludowych, którzy są nader pożytecznymi narzędziami propagandy. Niemniej zagorzałymi zwolenniczkami i propagatorkami neo-maltuzyanizmu są feministki, z których niektóre pozyskały sobie

w tym kierunku, jako prelegentki, pewien rozgłos (np. doktor pani Pelletier). Nawet te zresztą, które z kwestyami społecznymi ani z biologią nie mają nic do czynienia, jak powieściopisarki i poetki dzisiejsze, objawiają nieraz w swych nawskroś subiektywnych pismach niechęć i wstręt do macierzyństwa, przy jednoczesnym egzaltowaniu miłości zmysłowej, zwolnionej od wszelkich więzów, którymi kępuje kobietę wymyślona przez mężczyzn tyrańska moralność tradycyjna. Macierzyństwo jest też, według nich, najsilniejszym łańcuchem, służącym mężczyźnie do zakucia kobiety w niewolę. Kobieta nowożytna nie chce być niewolnicą, a więc precz z macierzyństwem! Takiego rozumowania zapewne Malthus nie przewidywał, ale również i neo-maltuzyanizmu i jego skutków.

Tak to bywa jednak, gdy się wygłasza teorie paradoksalne, które tłómaczyć i stosować można rozmaicie, że ich konsekwencye zwrócić się mogą w rezultacie przeciw myśli i celom tego, który je pierwszy sformułował i ogółowi podszepnął.

Dzisiejsza anarchia intelektualna jest tak wielką, że właśnie to najłatwiej się przyjmuje i szerzy, co najbardziej paradoksalne. Na paradoksach, na bezpodstawnych, nie wytrzymujących pozytywnej krytyki, apriorystycznych twierdzeniach, budują dzisiejsi myśliciele i reformatorzy społeczni całe systemy, którym niczego nie brak, prócz rzeczywistej podstawy. I to stawianie zamków na lodzie i gmachów karcianych uważaćby można za niewinną zabawkę dziecinną, którą lada wiatr zdmuchnie bez śladu, gdyby swą pozorną sofistyczną logiką te szczególne elukubracye nie wprowadzały coraz większego zamętu do umysłów już i tak pozbawionych równowagi przez wszystkie majaczenia rewolucyjne i nie miały wyobraźni mas bezkrytycznych nieziszczalnymi mirażami, popychając je z zawiązanymi na rzeczywistość oczyma do większego jeszcze upadku i niedoli, a w rezultacie do bezpowrotnej katastrofy, z której się już nie podniosą.

Neo-maltuzyanie rozpoczęli swą propagandę najpierw w Irlandyi i Anglii, później w Niemczech, w Szwajcaryi i Holandyi, ale bez wielkiego powodzenia, prócz w ostatnim z tych krajów, gdzie chwilowo nawet związek neo-maltuzyański, gdy jego prezes, Samuel Van Houten, został ministrem spraw wewnętrznych, otrzymał urzędowe uznanie użyteczności publicznej. W pozostałych zaś spotkał się z oporem władz. W Niemczech i Szwajcaryi zakazano wprost konferencyj neo-maltuzyańskich, jako sprzeciwiających się moralności.

We Francji neo-maltuzyanizm zjawił się (jako doktryna) stosunkowo najpóźniej. Propagandą zajął się „Związek odrodzenia ludzkiego“ (Ligue de Régénération humaine), założony w roku 1896 przez Pawła Robin, byłego dyrektora przytułku dla sierot w Cempuis. Wiemy już, jak się ta propaganda przyjęła i jak obfite przyniosła rezultaty, może dlatego, że praktyka była już tu stosowaną, nim poznano teorię.

Francja tedy, gdzie wszystkie węzły tradycyjne z przeszłości zostały zerwane, gdzie religia przestała obowiązywać, gdzie pojęcie rodziny, ojczyzny, państwa i społeczeństwa prawie zniknęło — Francja stała się terenem najdogodniejszym dla wszelkich eksperymentów socjalnych.

„Charakter chorobliwy neo-maltuzyanizmu — powiada p. Deherme — zaznacza się najwyraźniej w powodzeniu, jakiego doznaje we Francji, gdzie „obłęd zachodni“ doszedł do paroksyzmu. Większość cudzoziemców, jak Lombroso, Gumpłowicz, Björnsterne-Björnson, którzy winszują nam naszej niepłodności, przypisują ten objaw naszej wyprzedzającej cywilizacji. To się rozumie. Ale my wolimy być mniej wyprzedzającymi i żyć.“ W czasopiśmie, przeznaczonem dla szkolnictwa ludowego „Revue de l'enseignement primaire“, znajdujemy ustęp taki: „Dzisiaj liczba zejść przechodzi o dwadzieścia tysięcy liczbę urodzeń. Nasi ekonomiści ubolewają nad tem i przepisują napróżno środki, by powstrzymać to, co nazywają klęską. Ich usiłowania nic nie wskórają przeciw prawu naturalnemu, bo jestto prawem, że naród ma tem mniej dzieci, im cywilizacja jego jest dalej posunięta. Kraje najbardziej zacofane są zawsze najmnożniejsze, narody najwyżej wykształcone mnożą się coraz mniej.“

Te zdania wydają się zgodne z obserwacją, tylko w zastosowaniu do objawu wyludniania się Francji są fałszywe. Istotnie, w świecie zwierzęcym widzimy, że im gatunki stoją na wyższym stopniu rozwoju, tem płodność ich jest mniejsza.

Herbert Spencer mówi: „Ewolucya indywidualna jest w przeciwieństwie do zdolności mnożnej. Czy to z powodu większego rozwoju organów, służących do zachowania jednostek, lub wskutek ich budowy bardziej złożonej, czy też ponieważ czynność ich jest zwiększoną, ilość materyałów, których potrzebują i pochłaniają, zmniejsza o tyle zapas materyałów, przeznaczonych do przechowania rasy. Należy sądzić, że to przeciwieństwo pomiędzy indywidualizacją a mnożnością zaznacza się w sposób szczególny w tem, co się tyczy ustroju nerwowego, z powodu wyjątkowego wysiłku, jakiego wymaga ukształtowanie i czynność jego organów.“

Tem tłumaczyć można lekkie zwolnienie w przybywaniu ludności u głównych narodów Europy, ale nie tłumaczy wyludnienia się Francji. To bowiem pochodzi, jak zaznaczono, przedewszystkiem z przyczyn moralnych. Francuzi nie mają dzieci lub mają ich za mało w wielkiej większości wypadków, nie z powodu wad organicznych, lecz dla tego, że ich mieć nie chcą. Pierwsze, t. j. brak potomstwa mimowolny, trafia się częściej w miastach, zwłaszcza w klasach zamożniejszych, i to jeszcze przeważnie, jako skutek albo chorób wenerycznych, albo nadużyć cielesnych wszelkiego rodzaju, a także z powodu zawierania małżeństw opóźnionych, po przejściu pierwszej młodości, na co wpływa dłuższy czas, potrzebny dla pozyskania stanowiska, obawa ograniczenia się do warunków skromniejszych i t. p., a więc jeszcze przyczyny zewnętrzne, wynikające z mniej lub więcej egoistycznych pobudek.

D-r Burlureaux kładzie wielki nacisk na pierwszorzędne znaczenie wczesnych małżeństw dla wzrostu ludności liczebnie i jakościowo, pożądaných także bardzo ze względu na higienę fizyczną, moralną i społeczną, nic bowiem nie wpływa tak zbawiennie na zmniejszenie prostytucji, tego czynnika pomnażania się ludności szczególnie nieprzyjaznego, którego rozpowszechnieniu propaganda neo-maltuzyńska w wysokim stopniu dopomaga, umożliwiając mu wstęp aż do ogniska domowego rodzin, prowadzących na pozór życie regularne. W jak wielkich rozmiarach są dzisiaj stosowane praktyki neo-maltuzyjskie, te zwłaszcza, które, nie dając się zawsze ukryć, podlegają w dużej części kontroli lekarskiej, mianowicie polegające na niszczeniu skutków miłości, o ile im zawczasu nie zapobieżono, dają świadectwo o tem, prócz wymienionego wyżej, ginekolodzy: d-r Pinard, d-r Doléris, d-r Boisard oraz profesorowie: Desplat, Garraud, Laccessagne i wielu innych. Wszyscy oni twierdzą, że prócz spustoszenia, którego są powodem, praktyki te rujną bezpowrotnie zdrowie poddających się takowym kobiet. To jednak nie przeszkadza neo-maltuzyanom głośno domagać się zniesienia odpowiedniego artykułu w kodeksie karnym, który, sprzeciwiając się owym praktykom, stawiał jeszcze pewną tamę. Zaprotestowało przeciw temu projektowi Francuskie Towarzystwo Położnicze podczas kongresu międzynarodowego, oświadczając, że nie może uchylić się od obowiązku wypowiedzenia przestrogi zbawiennej, wobec niezmiernie niebezpiecznych skutków podobnych praktyk, bez względu na techniczną umiejętność i starania, użyte przy dokonaniu występnego czynu.

Statystyka stwierdza, że: 1-o) W wielkiej większości wypadków powoduje to długie i ciężkie choroby lokalne; 2-o) Mniej więcej w dwóch trzecich wypadków wynikłe stąd uszkodzenia zagrażają życiu kobiety, wywołują niezdolność do pracy na kilka miesięcy lub kilka lat i ostateczną niezdolność funkcyj, tak, iż pacjentki pozostają raz na zawsze ułomnymi; 3-o) W sześciu wypadkach na sto śmierć następuje natychmiast lub bardzo prędko.

Wobec wreszcie faktu, że, według ostatnio przeprowadzonej statystyki w wielkich miastach, jedna trzecia przybytku ludzkiego zostaje w ten sposób zniszczoną, Francuskie Towarzystwo Położnicze postanowiło utworzenie stałego komitetu międzynarodowego w celu zbadania, jakie środki zaradcze przeciw tej pladze możnaby przedstawić władzom publicznym.

Ale neo-maltuzyanizm ma swoje argumenta, którymi umie trafić do przekonania, interesów i uczuć nawet wszystkich kategorii społecznych. Do proletaryatu mówi: nie miejcie dzieci, bo to powiększa tylko waszą nędzę, a idzie na pożytek tych, którzy was wyzyskują, a więc burżuazji i kapitalizmu. Klasy posiadające znajdują niemniej sprzymierzeńca w teorii neo-maltuzyańskiej, wedle której dla ludzkości więcej znaczy jakość, niż ilość. Zatem lepiej jest mieć jedno dziecko starannie wychowane i zdrowe, aniżeli ich mieć dużo, wychowanych niedbale i niehygienicznie.

W istocie chodzi im o to, aby przy sukcesjach, wobec obowiązującego dziś prawa, nie rozdrabniać majątku zbyt znacznie, ale w powyższej teorii znajdują przedewszystkiem wymówkę, pokrywającą interes osobisty, egoistyczny. Wreszcie rozpustnikom teorie te dają usprawiedliwienie używania, bez ryzyka ciężarów i obowiązków, których nie pragną.

Neo-maltuzyanizm podaje się za doktrynę humanitarną, dąży bowiem jakoby do ulżenia nędzy i cierpieniom ludzkim, do powiększenia i rozpowszechnienia dobrobytu. Tylko szczęście to ludzkości ma być pozyskane kosztem jej zniknięcia!

Czy wychowanie jednego dziecka, zamiast kilku, z powodu, że starania rodziców skupiają się na niem jednym, daje ludzkości, jak twierdzą neo-maltuzyanie, jednostkę, której wyższa wartość, fizyczna i moralna, nagradza stratę ilościową, to pytanie, na które obserwacja życiowa odpowiada wogóle przecząco. Dziecko jedyne, wskutek właśnie nadmiaru przywiązania, jakiego doznaje od rodziców, i przesady starań, ma raczej wszelkie widoki zostania fizycznie niedołągą, moralnie egoistą, pozbawionym energii życiowej, przyzwyczajonym do zadowolania swych kaprysów, bez liczenia się z obowiązkami względem drugich. Dziecko takie,

z nielicznymi wyjątkami, zostaje z czasem albo nieużytecznym pasożytem, albo łotrem, a więc ciężarem lub plagą dla społeczeństwa. Dodajmy do tego, że na kilkoro dzieci więcej jest widozków, że w ich liczbie znajdują się jednostki zdrowe fizycznie i moralnie, aniżeli przy jednym dziecku, którego słabość już niczem nie jest wynagrodzoną.

Czy następnie przy mniejszem zaludnieniu dobrobyt jest większym? Otóż łatwo sprawdzić, że jest przeciwnie. Statystyka wskazuje, że we wszystkich krajach Europy ich czynność ekonomiczna wzrasta wraz z liczbą ludności, tylko we Francyi, gdzie ludności nie przybywa, ruch ekonomiczny zaczyna zwalniać. „Jesteśmy przekonani — powiada Karol Gide — że zwolnienie ruchu ekonomicznego we Francyi, która daje się wyprzedzać innym krajom, ma ścisły związek ze zwolnieniem ruchu ludności.“

Skądinąd August Comte twierdzi, że człowiek produkuje więcej, niż spożywa, a wedle Proudhona produkcya wzrasta prędzej, niż ludność, pauperyzm zaś jest skutkiem dezorganizacyi pracy.

„W jaki sposób jestto możliwem — zapytuje Proudhon — by w okresie, w którym bogactwo narodowe powiększyło się pięciokrotnie, podczas gdy ludność wzrosła tylko o 50%, znajdowali się ludzie mrący z głodu? Oto pytanie, na które wartoby odpowiedzieć przed obliczaniem, ile ludzi może pomieścić kula ziemska.“

A. Dumont mówi: „Nad czem należałoby się zastanawiać raczej (niż nad przeludnieniem), to, czy mała Europa potrafi zawsze, bez wyczerpania się, zasilać dostateczny prąd emigracyjny, by narzucić swego ducha ludnościom czterykroć liczniejszym. W każdym razie, już teraz Francya, z powodu słabego ruchu swej ludności, nie jest zdolną do wywierania trwałego wpływu na ludy barbarzyńskie. Państwa greckie cierpiały jedno od braku ludności, jak Francya, drugie od przeludnienia, co je zmusiło do założenia kolonij. Postawmy sobie pytanie, która z tych dwu dolegliwości była szkodliwszą dla cywilizacyi greckiej i postępu ludzkości? Gdyby pierwsza była powszechną, hellenizm byłby był zjawiskiem bez następstw, jak kwiat podwójny, który więdnie bez nasienia. Dzięki swym koloniom, rozrzuconym po całym basenie morza Śródziemnego, hellenizm rozpostarł się na naszym Zachodzie, jak nieporównany ferment czynności umysłowej i w tem, co miał najlepszego, stał się niezniszczalnym.“

I Francya ma kolonie, ale po to przeważnie, by w nich utrzymywać kosztowne zgraje urzędników-pasożytów, bez rzeczywistego pożytku dla metropolii.

Jedna tylko Kanada byłaby się stała prawdziwą kolonią francuską i doskonałym rezerwuarem ludzi, bo w tym kraju element francuski pozostał dotąd niezmiernie mnożnym, ale ta właśnie do Francji od r. 1763 nie należy. Tę mnożność Kanadyjczyków francuskiego pochodzenia przytaczają też, jako dowód, że objaw przeciwny we Francji nie jest właściwością rasy, lecz skutkiem przyczyn zewnętrznych, które wpłynęły na zmianę istoty moralnej narodu.

Czy, wracając do interesów proletaryatu, które zdają się mieć na sercu neo-maltuzyanie, ograniczenie liczebne mas roboczych wpłynęłoby na poprawę ich bytu? Przedewszystkiem, pierwszym tego skutkiem byłby tylko większy przypływ imigracyjny, a więc korzyść dla obcych, co najmniej bez zmiany dla miejscowych, jeżeli nie z ich stratą. Przypuśćmy jednak na chwilę, wbrew oczywistości, że tego napływu obcych by nie było, to, z brakiem sił roboczych i ich podrożeniem, wiele gałęzi przemysłu lub pojedynczych przedsięwzięć by upadło, a zatem zapotrzebowanie robotnika, chwilowo powiększone, zmniejszyłoby się bardzo wkrótce, a w tym stosunku i płaca musiałaby powrócić do dawnej normy lub spaść niżej. Jednocześnie zmniejszyłaby się ilość produkcji, a przeto cena produktów poszłaby w górę, co zatem robotnik zyskałby możliwie na powiększonej płacy, gdyby się mogła utrzymać, to straciłby znowu na zwiększonych kosztach życia. Zmniejszenie zaś ogólnego dobrobytu kraju, któreby stąd wynikło, zaciężyłoby nie mniej na proletaryacie, jak i na innych warstwach społecznych.

Ta uwaga, którą rozwija Jerzy Deherme, sprzeciwia się myśli, wypowiedzianej przez Karola Gide, który mówi: „Jeżeli chcemy ustanowić *à priori* ustrój demograficzny, pożądany dla Francji, to zdaje się, że dwoje dzieci w rodzinach robotniczych i co najmniej czworo w rodzinach klas średnich i wyższych odpowiedziałoby całkowicie wszelkim życzeniom. Przyrost ludności wynosiłby wtedy trzy do czterech tysięcy rocznie i przypadłoby prawie całkowicie na klasy zamożniejsze. Wypadłoby stąd z jednej strony powiększenie płacy wskutek mniejszej liczby robotników, z drugiej zaś coraz większy podział majątków nabytych, co wytworzyłoby większą dążność do zrównania warunków bytu. Kwestya społeczna przybrałaby przeto charakter mniej ostry i ryzyko rewolucyi zostałoby sprowadzone do minimum.“ Pominąwszy już, że takie uregulowanie ruchu ludności wymagałoby przyjęcia neo-maltuzyanizmu za normalny i konieczny czynnik regulacyjny, oraz powyżej wyrażoną uwagę co do skutków ilo-

ściowego ograniczenia sił roboczych, trzeba dodać wraz z p. Deherme, że najpierw, o ile jest zależnem od klas roboczych, wogóle o wiele więcej mnożnych, niż inne warstwy narodu, swą mnożność ograniczyć, o tyle powiększenie liczby dzieci w klasach zamożniejszych od woli tychże nie zależy. Następnie, gdy idzie o poprawę doli proletaryatu, to co może on zyskać na pomnożeniu burżuazyi, t. j. rentierów, urzędników, adwokatów, lekarzy, profesorów, literatów, artystów i t. p.? Jest ich już i tak za dużo, a przy niedorzecznej organizacyi wykształcenia nie można spodziewać się po burżuazyi, by dała swym synom kierunek praktyczny: rolniczy, handlowy albo przemysłowy.

Stąd nadmiar w kierunku zawodów wyzwolonych, stąd też rujnujący biurokracyzm. Położenie to jest tem gorsze, że dzisiejsze prawo spadkowe rozprasza własność i kapitały i przez to kładzie tamę wielkiej wytwórczości. Taka nierozważnie popierana dążność do równości jestto poprostu dążenie do powszechnej nędzy i inercyi.

Klasa burżuazyjna coraz liczniejsza, kapitały rozproszone i rozdrobnione, przy klasie roboczej liczebnie niepowiększającej się, to warunki szczególnie niekorzystne dla produkcyi intensywnej.

Zrównanie majątków, a więc rozdrobnienie własności i kapitałów prowadzi do większego spożywania, ale jednocześnie powstrzymuje coraz bardziej wytwórczość. Drobnii kapitaliści są zarazem bojaźliwi i nieświadomi. Najinteligentniejsi ośmielają się co najwyżej wkładać pieniądze w przedsiębiorstwa już ustalone i pewne. Tylko wielkie kapitały mogą łączyć się z pożytkiem, bo tylko one mają inicjatywę, śmiałość, kompetencyę i zrozumienie, potrzebne do rządzenia społecznem bogactwem. One tylko pobudzają naprawdę produkcyę. Dla produkcyi coraz bardziej intensywnej trzeba wydoskonaleńszych, kosztownych maszyn, handlu śmiałego, szerokiego, pewnego kredytu i szybkich, dążących we wszystkie kierunki kraju środków transportu i komunikacyi.

Te wszystkie warunki dają się osiągnąć tylko przy nielicznym, ale potężnym finansowo patrycyacie, minimum drobnej burżuazyi i licznym, ale zorganizowanym proletaryacie. Takim jest zdanie, jak sądzić można, dość uzasadnione, Jerzego Deherme.

W tem, co dotąd było powiedziane, prócz stwierdzenia faktu ubywania ludności Francyi, poznaliśmy w ogólnym zarysie przyczyny, które ten objaw wywołały lub wpływają na jego wzrastające ustalenie. Czy jest możliwem temu zapobiedz? Oto pytanie, na które trudno dać ścisłą odpowiedź.

Wprawdzie rad i projektowanych środków nie brak, ale praktyczność ich jest co najmniej w większej części wątpliwa. Jak mówi dr. Fréssinger, w swej pracy p. t. „Erreurs sociales et maladies morales“: „Kwestya wyludnienia, traktowana powierzchownie i ze stron drugorzędnych, prowadzi do rozwiązań śmiesznych i bezskutecznych.“

Mogą one być przytem niebezpieczne i szkodliwe, bo, jeżeli prawodawstwo nie może stworzyć i rozwinąć życia społecznego, to za to jest w stanie z łatwością rozstroić je i zniszczyć.

W wielu krajach i w różnych epokach, dla powstrzymania ubytku ludności lub przyspieszenia jej wzrostu uciekano się do najrozmaitszych sposobów prawnych, ustanawiano nagrody i kary — zawsze bez najmniejszego rezultatu. W Sparcie pozostawał żołnierzem każdy, dopóki nie dał ojczyźnie trzech synów. Mężczyźni, nie wstępujący w związki małżeńskie, byli chłostani różgami przez kobiety w świątyni Herkulesa. W Rzymie zmuszano nieżonatych do pojmwania wdów obywateli, poległych za ojczyinę; udzielano nagród za większą liczbę dzieci; zabraniano kobietom niezamężnym i bezdzietnym, do lat czterdziestu pięciu, strojenia się w drogę kamienie i używania lektyk; przeznaczano pewne urzędy ojcom rodzin; pozbawiano prawa dziedziczenia i nakładano różne ciężary na nieżonatych i udzielano przywileje rodzinom liczniejszym. Ale wszystkie te przepisy, prócz gwałtu i nadużycia, nie dały żadnych dodatnich wyników.

W szesnastym wieku, we Francyi, dla przeszkodzenia zbyt częstemu dzieciobójstwu, nakazano zawiadamiać władze o wypadkach ciężarności. W wieku XVII-ym Colbert ustanowił ulgi i przywileje dla ojców dziesięciorga i dwanaściorga dzieci, oraz zakaz pomnażania zgromadzeń zakonnych. W Polsce wreszcie, gdzie ludność w stosunku do obszaru była bardzo nieliczna i przez wojny często wyniszczana, wiemy, iż, zwłaszcza w okresach początkowych, sprowadzano obcych osiedleńców i że obdarzano starostwem szlachcica, ojca dwunastu synów.

Środki, proponowane obecnie we Francyi dla przeszkodzenia wyludnieniu, przypominają z wielu względów te, które w swoim czasie tak bezskutecznie stosowano w Rzymie. To też jeżeli niektóre z nich są słuszne, mianowicie te, które dążą do ulżenia ciężarów licznym rodzinom, to inne znowu, jak te, które mają charakter represyjny, są to prawa wyjątkowe i, jako takie, z natury swej przesładowcze. Inne jeszcze są śmieszne w swej naiwności, jak te, które obiecują nagrody. Środki te zaliczyć można do paliatywów. Są one wogóle dość niewinne, bo głębszych zmian

nie wprowadzają i nie wszystkie zresztą byłyby w praktyce możliwe do zastosowania. Ale wśród tych niezliczonych projektów są i takie, które wymagają bliższego roztrząśnienia, bo rezultaty, w razie ich zaprowadzenia, mogą być poważne lub niebezpieczne wskutek wywołanych przez nie zasadniczych modyfikacji czy to w stosunkach prawnych i społecznych, czy też w interesach żywotnych rasy i kultury narodowej. Dla walki przeciw wyludnieniu powstają stowarzyszenia, z pośród których jedne mają zadanie natury higienicznej, inne starają się działać na gruncie ekonomicznym i społecznym. Te żądają: represyi przeciw pewnym praktykom i propagandzie neo-maltuzyanizmu; zmian odpowiednich w systemie podatkowym; modyfikacji prawa spadkowego; zmiany w przepisach, dotyczących służby wojskowej; pierwszeństwa dla ojców rodzin przy obsadzaniu posad rządowych i w wielkich administracjach prywatnych; szerszego zastosowania środków ochrony nad dziećmi i t. p.

Senator Piot proponuje (w r. 1900) nałożenie podatku na obywateli bezdzietnych i podział wpływu z tego podatku pomiędzy rodziny potrzebujące. Paweł Leroy-Beaulieu i Karol Richet znajdują sposób zachęty w udzielaniu nagród pieniężnych za każde dziecko, prócz pierwszego, na co, wedle ich obliczenia, trzeba 300 milionów rocznie, któreby przyniósł podatek 25% od spadków, należnych jedynakom. Inni jeszcze proponują loteryę dla połoźnic z wielkim losem miliona franków. Jak widzimy, są to fantazyje śmiesznie naiwne i niewykonalne, tak, iż dziwnem jest, że mogły powstać w głowach ludzi poważnych.

Praktyczniejsze, bo możliwe do zastosowania, są żądania zwolnienia ojców licznych rodzin od pewnych podatków i obowiązków, jak skrócenie czasu służby wojskowej i t. p., lub udzielenia im pewnych przywilejów przy wyborach, jak głos podwójny. To wprawdzie jest słuszne już choćby dlatego, że przyniesie pewną ulgę ludziom skądinąd więcej obciążonym od bezdzietnych, ale przynosi też zbyt drobną korzyść, aby mogło stanowić zachętę do posiadania większej ilości dzieci, których wychowanie jest kłopotliwe i kosztowne. Toż samo można powiedzieć o projekcie deputowanego, księdza Lemire, by państwo wyznaczało dodatek płacy dla swych urzędników, mających dzieci, stosunkowy do liczby tychże. Niewiele skuteczniejszą reformą będzie, jak się zdaje, poszukiwanie ojcowstwa, obecnie już zatwierdzone przez obie Izby. Może to wpłynąć co najwyżej na nieco mniejszą śmiertelność dzieci naturalnych, jak to się dzieje, wedle wskazań statystyki, w kantonach szwajcarskich, gdzie istnieje takie prawo.

To jednak stanowić będzie korzyść stosunkowo bardzo drobną, tem bardziej, że zmusi przypuszczalnych ojców do większej uprzedniej ostrożności, nawet może nie opłaci nadużyć, procesów i rozlicznych trudności, które ta reforma musi za sobą pociągnąć.

Projekty, dotyczące prawa spadkowego, jeżeli też nie dają widowków poprawy pod względem wzrostu ludności, chociaż to zdaje się być ich celem, to przytem, w zastosowaniu mogłyby się okazać szkodliwe i niebezpieczne, pominąwszy już ich niesprawiedliwość. Niewątpliwie obecny podział na równe części majątku odziedziczonego po rodzicach pomiędzy dzieci, choć ma tę dobrą stronę, że, ustanawiając równość ich praw, żadnego z nich nie krzywdzi, to jednak, w dalszych skutkach, przynosi szkodę ogółowi przez to, iż rozdrabnia własność do ostatnich granic i odbiera jej tem samem skuteczną wartość, jako siły społecznej. System ten wpłynął też bardzo prawdopodobnie na ograniczenie potomstwa w rodzinach, pragnących utrzymać swe stanowisko społeczne, w czasach, gdy jedynie pewna cyfra dochodu może je zapewnić. Reforma zatem jest potrzebna. Rzecz w tem tylko, by, zamiast przynieść poprawę, nie spowodowała jeszcze pogorszenia. A wszystko, co w tym kierunku proponują, może raczej budzić obawę.

Tak więc dr. Bertillon żąda, by syn jednak otrzymywał tylko połowę przypadającego nań spadku; dwoje dzieci — każde trzecią część; troje — każde czwartą część. Część zbywającą zabierałoby państwo. Dopiero w razie, gdyby do spadku przystępowało więcej niż troje dzieci, państwo nie miałoby żadnego udziału. Inni idą dalej—chcą, żeby każdy spadek był podzielony na trzy części conajmniej, z tem aby państwo wstępowało w prawa brakujących spadkobierców.

Poznajemy tu myśl socjalistyczną konfiskaty własności prywatnej, czyli socjalizacyi, na korzyść państwa. Projekt generała Tontée jest niemniej arbitralny, ale jeżeli odbiera spadkobiercom, to przynajmniej nie na korzyść państwa. Brzmi on następująco: „Każdy spadek podlega działom. Każdy spadkobierca otrzymuje, oprócz swojej, tyle równych jej części, ile ma dzieci żyjących. Każde dziecko jedyne, dziedziczące po swych wstępnych, otrzymuje połowę spadku, zaś druga połowa przypadnie tym, którzyby dziedziczyli w razie braku spadkobiercy w prostej linii.“ Projekty te mają sztuczny charakter praw szczególnych, tendencyjnych, kierujących się nie duchem prawa, ale celem postronnym, a więc niesprawiedliwych, sankcjonujących gwałt i grabież. Nie mogą też ludzi skutecznością, bo trudno przypuścić, by młodzi małżon-

kwie, pod wpływem tych rozporządzeń, dotyczących się spadku, jaki pozostawia, mieli się starać o potomstwo. Raczej można sądzić, że będą mniej pochopni do robienia oszczędności, dla wzbogacenia rządu.

Według innych należy udzielić rodzicom prawa zupełnej rozporządzalności testamentowej swym majątkiem, chociażby z całkowitem wyłączeniem własnych dzieci, w czym niełatwo dopatrzeć się wpływu na przyrost ludności. Inni, logiczniejsi, chcą poprostu powrócić do dawnego prawa starszeństwa, co jedynie mogłoby ochronić własność od rozdrobnienia. O wiele bliższy związek z przedmiotem, który nas tu zajmuje, mają prawa dotyczące zawierania małżeństw i rozwodów. Wedle kodeksu cywilnego z r. 1804, mężczyzna do lat 25 i kobieta do lat 21 nie mogli zawrzeć małżeństwa bez pozwolenia rodziców, lub, w ich braku, innych wstępnych. To pozwolenie, w razie nieobecności rodziców na ślubie, musiało być dane aktem notaryalnym. Powyżej wymienionego wieku kandydaci do stanu małżeńskiego obu płci musieli zawsze przynajmniej żądać tego pozwolenia aktem notaryalnym, a do wieku lat 30 dla mężczyzny, lat 25 dla kobiety, żądano aż trzech takich aktów (*actes respectueux*) w odstępach miesięcznych, po czem dopiero, po miesiącu udzielano im ślubu. Dwa prawa z roku 1896 i z r. 1907 uproszczyły te formalności o tyle, że obecnie pozwolenie rodziców jest wymagalnem tylko do lat 21 dla obu płci, zaś od lat 21 do lat 30 wystarcza, już tylko proste zawiadomienie urzędowe rodziców, po którego doręczeniu ślub może się odbyć w dni trzydzieści. Wszystkie te formalności dawniej kosztowne i kłopotliwe, dziś są uproszczone i bezpłatne. Ta reforma wpłynęła rzeczywiście na przysporzenie małżeństw, zwłaszcza w pierwszym roku po jej wprowadzeniu, bo wiele stosunków nieślubnych zostało dzięki temu ulegalizowane. Ale we Francji nie można skarżyć się na brak małżeństw. Cyfra ich jest normalna, zatem nie to wpływa na brak dzieci. Sprawa rozwodów jest tu z pewnością o wiele ważniejszą. Tutaj indywidualizm rewolucyjny posunął się najdalej. Rozwód zaprowadzony przez Rewolucyę, skasowany za Restauracyi, przywrócony został za trzeciej Republiki.

Odtąd starano się nieustannie o rozszerzenie prawa o rozwodach. Główną kampanię w tym kierunku prowadzono, jak wiadomo, w literaturze za pośrednictwem romansu i na scenie. Trwało to lat przeszło trzydzieści, aż w końcu zrobiło swoje. Rozwód już i tak zbyt łatwy do uzyskania uczyniono nie tylko o wiele dostępniejszym, ale wprost powiedzieć można, że go niemal na-

zruciono, że go zrobiono obowiązującym, gdyż, na podstawie ostatniego prawa, po trzech latach separacji, legalnie uzyskanej przez jedną stronę, na żądanie również jednostronne rozwód staje się na tej zasadzie prawomocnym. Stąd do „małżeństw terminowych,“ już obecnie prekonizowanych, krok jeden. Rzecz prosta, że zwolennikami rozwodu byli i są przede wszystkim ci, którzy dążą do zniszczenia tej ostatniej ostoji organizacji społecznej, jaką jest rodzina, ale wśród tych znajdowali się również tacy, którzy w naiwności ducha wyobrażali sobie, że rozwód przyczyni się do wzrostu ludności, wskutek ułatwienia uczestnikom małżeństw bezpotomnych zawarcia nowych związków, być może na tym punkcie szczęśliwszych. Doświadczenie przyniosło rezultaty przeciwne—nikt nie pragnął rozwodu dla braku dzieci, za to nader prawdopodobnem jest, iż wiele bardzo małżeństw powstrzymało się od potomstwa, by nie utrudnić sobie widoków rozwodu. Obecnie nikt wątplić nie może, że rozwód jest jednym z ważniejszych czynników, wpływających na wyludnienie już przez to samo, iż odbiera stałą podstawę rodzinie, którą naraża każdej chwili na rozbitcie.

Nie wszyscy polegają na powstrzymaniu wyludnienia Francji naturalnym sposobem. Środkiem więcej niezawodnym wydało się niektórym zachęcenie imigracji, tej właśnie, która i bez tego, w warunkach istniejących, przybrała rozmiary żywiołowi miejscowemu zagrażające. R. de Gourmont powiedział o tem: „Najście może nie będzie tak złem dla Francji. Będzie to tylko chwila przejściową. Rasy muszą się odnawiać.“ „Journal des Economistes“ twierdzi, że imigracja jest z korzyścią dla narodu, który ją przyjmuje, bo przysparza mu darmo dorosłych pracowników, co potwierdzić może przykład Stanów-Zjednoczonych, które swój rozwój i pomyślność zawdzięczać mają imigracji. Wprawdzie i Amerykanie zaczynają już ograniczać imigrację, w obawie zbyt-niego napływu obcych elementów, które mogłyby im odebrać pozory jednolitości, uzyskane dzięki przyjętej z góry supremacji kulturalnej żywiołu anglo-saskiego. Ale, jeżeli imigracja była dotąd dla rozwoju Stanów-Zjednoczonych czynnikiem potrzebnym, a nawet niezbędnym i zapewne, mimo pewnych w tym kierunku niechęci, nie przestanie nim być jeszcze czas dłuższy, to dlatego, że kraj to nowy, bez istotnych tradycji, bez własnej odrębnej kultury, nawet bez własnego języka, kraj, którego mieszkańcy, przybyli świeżo ze wszystkich stron świata i niebędący w stanie zaludnić i wyzyskać jego olbrzymich i obfitujących w bogactwa naturalne obszarów, przedstawiają masę jeszcze nieuformowaną, znajdującą się w pierwszym stadium procesu przetwarzania, z któ-

rego kiedyś dopiero w przyszłości wyniknąć może naród i rasa w ściślejszem tego słowa znaczeniu, o ile okoliczności w dalszym ciągu temu sprzyjać będą.

Inaczej rzecz się ma z Francją. Francya, naród francuski ma zbyt dawno urobiony charakter własny. Jeżeli nawet złożyły się nań elementy różnolite, to w ciągu wieków wspólnego życia, dążeń i ideałów, elementy te przystosowały się wzajemnie i wytworzyły całość moralnie jednolitą — rasę, w znaczeniu moralnem i socyalnem, jeśli nie ściśle antropologicznem, przodującą światu wyższością swej kultury.

Naród z przeszłością, tradycjami i kulturą własną nie składa się tylko z masy ludzi, żyjących w danym okresie, ale i ze wszystkich tych, którzy przyczyniali się do jego rozwoju obecnego w ciągu wieków i z tych także, którzy nastąpią i dzieło przodków poprowadzą dalej. Pokolenie, żyjące w danej chwili jest tylko momentem w życiu narodu i przedstawia tylko pewną fazę jego rozwoju, a nie formę samą w sobie skończoną. Zatem dalszy jego rozwój nie może odbywać się bez związku z przeszłością, której jest wynikiem, tak samo, jak roślina nie może rozwijać się i wypuszczać nowych pędów, jeżeli zostanie odcięta od swych korzeni i wyrwana z właściwego sobie gruntu, z którego czerpała życiodajne soki. Rewolucya postarała się to uczynić, podcinając korzenie tradycyi i tem też tłónaczy się nieustannie obniżanie się, moralnie i politycznie, znaczenia i uroku Francyi, ztratę w narodzie jego dawnych przymiotów i ideałów, poddanie się pod hańbiące jarzmo niecznych wyzyskiwaczy, którym pozwala kompromitować swe dawniej zasłużone dobre imię. Idee rewolucyjne, zaszczipione na zdrowym pniu narodowym, podziały nań, jak trucizna, jak ferment rozkładu, zepchnęły naród francuski z właściwych mu torów tradycyjnych, powstrzymały na drodze naturalnego rozwoju, skrzywiły i spaczyły jego ducha i uczyniły zeń to, czem jest obecnie — masę bezkształtną i bezwładną, pozbawioną zarówno światła wyższego ideału, jak i realnej podstawy tradycyjnej, która w dobrze zrozumianem poczuciu siły i wartości własnej pozwala narodowi czerpać zaufanie na przyszłość. Stąd, u jednych obłęd anarchii, u drugich chęć osobistego użycia, bez względu na nic i na nikogo, chęć łowienia ryb w mętnej wodzie, zdobycia sobie osobiście stanowiska lub fortuny, których w warunkach normalnych by się nie dostało.

W takich warunkach uciekać się do imigracyi, jako do środka przeciw wyludnieniu, byłoby, wedle wyrażenia J. Deherme, „rzucić się do wody przed deszczem.“ Powołać imigracyę do

Francyi dzisiaj, znaczyłoby otworzyć wrota zawczasu zalewowi obcych, przygotować grunt przyszłym najzdom i podbojom. Do starczyć imigrantów Francyi mogą właściwie dwie tylko rasy — germańska od wschodu i włoska od południa. Otóż jedna i druga są sąsiadkami i rywalkami Francyi. Obie, przy rosnącym jej osłabieniu i rozstroju, czekają sposobności, by z bogacić się kosztem jej terytorium. Imigranci zatem, pozostający w blizkich stosunkach z sąsiednią ojczyzną, a więc odporniejsi na atrakcyę żywiołu miejscowego i jego kultury, zachowują z łatwością odrębność swych obyczajów i staną się placówkami lub koloniami, które, gdy nadejdzie chwila katastrofy, okażą się wielką pomocą w podbiciu i opanowaniu kraju przez swych pobratymców. Imigracya lub, by użyć innego wyrażenia, infiltracya cudzoziemców przeważnie tych dwu ras odbywa się już i tak, chociaż nieoficyalnie w rozmiarach, które w rządzie dbającym o dobro narodu mogłyby budzić obawę. Ale obecny rząd francuski znalazł wybieg, którym maskuje ów wzrastający napływ obcych, nałożył bowiem na synów cudzoziemców w wieku popisowym obowiązek służby wojskowej, tem samym zaś uczynił obowiązkową ich naturalizacyę i dzięki temu przysparza corocznie tysiące Francuzów na papierze, którzy nie mają w sobie nic ani z krwi, ani z ducha francuskiego.

W przypuszczeniu, mocno nieprawdopodobnem, dalszej ewolucyi pokojowej państw europejskich bez zbrojnych konfliktów i zmian terytoryalnych, imigracya taka przynieśćby musiała nieobliczalne straty całemu światu, z powodu mniej lub więcej szybkiego stłumienia ogniska kultury, jako skutek owładnięcia pierwiastku francuskiego, kulturalnie wyższego, przez niższe pierwiastki obce. Wtedy pozostałoby zapewne terytorium francuskie i nazwa, może nawet język francuski, ale Francya taka i jej mieszkańcy nie mieliby nic wspólnego z tą Francją historyczną, która w hierarchii cywilizacyi nowożytnej stanęła na najwyższym szczeblu. Do tego nietylko, że nie trzeba dążyć, ale, tak dla dobra narodu francuskiego, jak i całego świata, należy wszelkiemi siłami nie dopuścić. I z tem zdaniem rozumnych patryotów francuskich każdy się zgodzi bez wahania.

Ale po przejrzaniu tych licznych środków, które lekarze społeczni różnych przekonań radzą zastosować do społeczeństwa francuskiego, by przeszkodzić jego dobrowolnemu zanikaniu, widzimy, że są one albo śmieszne i niemożliwe do zastosowania, albo wprost szkodliwe. W ich liczbie są wprawdzie także, jako wyjątek, praktyczne i dodatnie, choć tylko znaczenia cząstkowego, ale na wpływ ich, w obecnych warunkach moralnych, liczyć nie można. „Pierw-

szem lekarstwem na wyludnienie, które grozi Francji, mówi Paweł Leroy-Beaulieu, byłaby całkowita zmiana kierunku nauczania publicznego i umysłowości rządowej. „A w tym celu trzeba „ująć w karby umysły, aby odbudować obyczaje.“ W istocie, ponieważ przyczyny złego są przedewszystkiem moralne, zatem i lekarstwo zastosować trzeba najpierw do strony moralnej, a wtedy dopiero te różne środki ekonomiczne, prawodawcze, higieniczne i inne tym podobne, rozumnie skombinowane i zastosowane praktycznie, mogą oddać rzeczywiste usługi. Ale, by osiągnąć cokolwiek w tym kierunku trzeba zawrócić naród z fałszywej drogi, na którą popchnęły go sofizmaty demokratyczno-rewolucyjne, trzeba powrócić do zdrowych tradycji i instytucyj narodowych, do wysokich ideałów moralnych, którym Francya zawdzięcza w przeszłości swe pierwszorzędne stanowisko wśród narodów chrześcijańskich, swą minioną potęgę materyjalną i swój urok moralny wyższej kultury, którym promienieje, jeszcze na schyłku, jak zachodzące słońce.

„Poza obrębem idei religijnej, mówi biskup wersalski, ks. Gieber, napróżno szukać będziecie siły duchowej, która byłaby w stanie zwyciężyć klęskę lub chociażby powstrzymać jej spustoszenia. Aby się poczuwać do obowiązku, bez względu na wynikające stąd ciężary, dać rodzinie i rasie potomstwo, którego one wymagają, trzeba mieć poczucie wyższego prawa moralnego i wierzyć, że należy żyć szlachetnie. Trzeba mieć wiarę, przekonania, ideał. Trzeba posiadać w sobie podnoszącą siłę religii.“ I to trzeba ją mieć w głębi i naprawdę, nie dla formy i pozorów, by jej nie zwyciężyły poniżające wpływy złego otoczenia, bo jak stwierdza tenże biskup wersalski „pomimo potężnej pomocy zasad religijnych, wiele chrześcijan nie ma odwagi dopełnić w całości swego obowiązku.“

„Trzeba odbudować społeczeństwo francuskie — powiada p. Deherme. — Im bardziej odkładać się będzie ten wysiłek, tem będzie on cięższy. Ale żadne słowo magiczne, żadne czarodziejstwo prawodawcze, żaden cud gwałtu nas od tego nie uwolni. Reakcyja powiecie? Być może. Dla chorego powrót do zdrowia jest także reakcyą. Alkoholizm wyleczyć można tylko przez zaprzestanie przyjmowania alkoholu; wyleczyć się od anarchii można tylko przez powrót do ładu. Trzeba się mnożyć — w całkowitem tego słowa znaczeniu — albo zniknąć.“

Czy Francuzi są jeszcze w stanie zdobyć się na to, przyszłość pokaże. Życzymy im tego z głębi serca.

ZAMACH NA STANISŁAWA AUGUSTA

(W świetle źródeł watykańskich).

Dnia 9 sierpnia 1770 r. ogłosiła generalność konfederacyi barskiej bezkrólewie. Akt ten wymierzony przeciw Stanisławowi Augustowi w chwili, gdy szukał zbliżenia do Barżan, był nietylko jednym z najcięższych błędów politycznych konfederacyi, ale zarazem miał stać się początkiem końca całego ruchu. Cios, mający ugodzić króla, uderzył w istocie w próżnię i skompromitował ciężko generalność. Zwolennicy tej szumnej manifestacyi obiecywali sobie, że przez to nietylko podniosą słabnący urok konfederacyi w kraju i wzmocnią ją na wewnątrz, ale co więcej, łudzili się, iż przez taką śmiałą inicjatywę wzbudzą do siebie zaufanie i zapewnią sobie wydatniejszą pomoc zagranicy. Ogłoszenie bezkrólewia miało pokryć bezsilność samego ruchu, wydobyć go z martwoty, w jaką z czasem popadł, pogodzić targające ninajsprzeczniejsze ambicje i stać się platformą zgody i porozumienia wiecznie skłóconych między sobą przywódców, a tem samym punktem wyjścia do nowej akcyi. Rachuby powyższe zawiodły przecieź zupełnie. Zamiast wzmocnić, pograżyła generalność swą sprawę. Niezręczny krok wywołał zdziwienie nawet w Wersalu, otwarcie popierającym konfederacyę, zraził kokietujący z nią Wiedeń, króla zaś rzucił w powrotem w objęcia Rosyi. To był efekt bezpośredni manifestu o bezkrólewiu. W długim natomiast szeregu następstw pośrednich tego niefortunnego pomysłu, łączących się i zlewających z fatalnym epilogiem pierwszego podziału, upamiętnił się w szczególności głośny zamach na Stanisława Augusta, dokonany 3 listopada 1771 r.

W archiwum watykańskiem znalazłem sporo druków i aktów, odnoszących się do tej sprawy, pomiędzy nimi kilka niezna-

nych. Na niektóre z nich chciałbym tu zwrócić uwagę, w przekonaniu, że mogą przyczynić się do wyjaśnienia bądź zupełnie niejasnych, bądź mocno zatartych momentów osławionego zajścia. Przygodne spostrzeżenia ograniczam jedynie do kwestyi spornej, jaka w niniejszym wypadku stanowi autorstwo zamachu. W znane i powielekroć omawiane szczegóły nie wchodzę. ¹⁾

Zamach, jak wiadomo, nie udał się i zdyskredytował ostatecznie konfederacyę barską w oczach całej Europy. Pierwszy Stanisław August wyzyskał go do oczernienia konfederacyi w opinii polskiej i zagranicznej. Zajście rozdęto do rozmiarów królobójstwa. Uczestników jego oraz przypuszczalnych organizatorów oskarżono o zamiar zamordowania króla, a odpowiedzialność za „zbrodnię, cały naród hańbiącą“ ²⁾, zrzucano na generalność. Tej ostatniej usuwał się grunt pod nogami. Dwór wiedeński nie mógł dłużej udzielać jej schronienia w granicach Austrii bez narażenia się na zarzut, że popiera moralnych sprawców niecnego

¹⁾ Historycy, którzy o zamachu na króla pisali, idą przeważnie za Rulhièrem („Histoire de l'anarchie de Pologne,“ t. IV, str. 232) i Strawińskiemu, który, jak wiadomo, był wykonawcą zamachu, przypisują także autorstwo. Według Rulhièra, miał Pułaski, gdy się doń Strawiński zgłosił i oświadczył gotowość porwania króla, zastrzegać się, że mu niczego nie rozkazuje uczynić, w końcu przecież plan Strawińskiego przyjął i robotę mu ułatwił, oraz wyznaczył termin porwania na dzień 3 listopada 1771 r. Na hipotezę Rulhièra pisze się Szujski („Dzieje Polski,“ t. IV, str. 480 sq.) i za nim twierdzi, że „Pułaski przyjął plan Strawińskiego i działał w tym planie, pod warunkiem, aby król w całości do Częstochowy przywiezionym został.“ Ferrand w swej „Histoire des trois démembrements de la Pologne,“ t. II, str. 53 sq. nie przesądza wprawdzie kwestyi, kto był autorem zamachu, ale w opowiadaniu swem trzyma się bądź Rulhièra, bądź oświadczeń Pułaskiego i pod widocznym ich wpływem skłonny jest autorstwo przypisać raczej Strawińskiemu. Niedorzeczną hipotezę Theinera („Geschichte des Pontificats Clemens XIV,“ t. II, str. 33), jakoby zamach cały był zainscenizowany przez Stanisława Augusta w porozumieniu z Saldernem i prymasem (?) dla podkopania konfederacyi barskiej, należy stanowczo odrzucić. Theiner oparł się na relacyach nunecyusza Duriniego, któremu, jak to wykażę poniżej, musiało zależeć na zamazaniu sprawy i utopieniu jej w domysłach i insynuacyach. Nakoniec d-r Wł. Ostrożyński („Sprawa zamachu na Stanisława Augusta... przed sądem sejmowym,“ Lwów, 1891) zdaje się nie mieć żadnych wątpliwości co do autorstwa czynu, utrzymując (str. 139), że „myśl i jej wykonanie należały do Strawińskiego,“ a udział Pułaskiego był „dość daleki.“ Oto krótki przegląd odnośnej literatury ze szczególnem uwzględnieniem punktu spornego.

²⁾ Wyrażenie Stanisława Augusta w liście do senatorów.

czynu. Niebawem ks. Kaunitz zakazał Pułaskiemu, jako najciężej obwinionemu, pobytu w Austrii i wezwał generalność do usunięcia z manifestu o bezkrólewiu tych zwrotów, które mogły być zachęcić kogokolwiek do zamachu na króla i do odwołania w sposób solenny całego inkryminowanego ustępu, a tem samem stwierdzenia, że generalność nic nie miała wspólnego ze zbrodnią. Pod tym jedynie warunkiem zezwalała dwór wiedeński konfederatom na przebywanie w granicach państwa. Generalności nie pozostawało nic innego, jak zastosować się do żądania Kaunitza. Dnia 4 grudnia 1771 r. ogłosiła też deklarację, w której, nie cofając wprawdzie swego manifestu o bezkrólewiu, opuściła zeń drażliwe wyrażenia i zastrzegła się, że „w akcji, w Warszawie zaszelej, ani przez rozkaz, ani przez wiadomość, ani przez koniwenyę“ żadnego nie miała udziału. ¹⁾

Bezpośrednio i najwięcej skompromitowany był przecież Pułaski, jeden z głównych dowódców konfederackich. Obciążająco wypadły dlań zeznania pojmanyh uczestników zamachu: Kuźmy i Łukowskiego. W opinii publicznej przestępstwo Pułaskiego było zarazem przestępstwem generalności. Jedyne wtedy wyjściem z kłopotliwego położenia i ostatnią próbą oczyszczającą mógł być tylko osobisty protest Pułaskiego przeciw posądzeniu go o udział w spisku. Pod naciskiem generalności i jej przyjaciół miał dać się Pułaski do tego nakłonić ²⁾. Ta jedynie okoliczność, t. j. wzgląd na konfederację barską i jej reputację w Europie może tłumaczyć dalsze jego postępowanie, oraz tuszować nie piękną i nie przynoszącą bądź co bądź zaszczytu jego charakterowi i całej działalności rolę, jaką odegrał wobec Strawińskiego, głównego wykonawcy zamachu.

Dnia 18 grudnia 1771 r. w dwa tygodnie po deklaracji generalności zjawiał się manifest, w którym Pułaski „protestował się przed Bogiem, Rzpltą polską i przed wszystkimi europejskimi potencjami, iż serce mając zawsze od zbrodni dalekie“ nie myślał nigdy godzić na osobę królewską, „chyba w boju.“ ³⁾ ogólnikowe wprawdzie usprawiedliwienie, ale wystarczające dla zadośćuczynienia pozorom i uspokojenia opinii zagranicznej, o którą w tym wypadku chodziło. Opinia krajowa, zwłaszcza dworska, nie była skłonna uwierzyć w niewinność Pułaskiego i nigdy w nią nie uwierzyła, tembardziej zaś potem, gdy odwołania i protesty marszałka łonżyńskiego zaczęły się mnożyć.

¹⁾ Por. Theiner, Monumenta Poloniae... IV², str. 384 sq.: Ostrożyński, str. 27. ²⁾ Ferrand l. c. ³⁾ Ostrożyński, str. 28 sq.

Epopea konfederacka dogasała. Zbliżał się tragiczny koniec pierwszego okresu nieszczęsnego panowania. W lutym 1772 roku podpisała trójca podziałowa konwencye w sprawie rozbioru. W czerwcu poddała się Częstochowa, Lanckorona, Tyniec, główne punkty oparcia konfederatów. Z przywódców ruchu jedni, nieprzejednani, szli na wieczną tułaczkę, inni zgłaszali recesy od konfederacyi i losy swe oddawali w ręce króla, a raczej Stackelberga nowego po Saldernie rozjemcy i pacyfikatora. Dla Pułaskiego, „królobójcy“, nie było miejsca w kraju. Bez narażenia się na pojmanie nie mógł pozostawać w granicach Rzpltej. Jeszcze przed kapitulacją opuścił fortecę jasnogórską, nie chcąc narażać podwładnych. Towarzysze jego pomiędzy punktami kapitulacyi postawili warunek, by publicznie zdjęto z niego potwarz królobójstwa.¹⁾ Niebawem Pułaski sam ponownie zabrał głos w swojej obronie. Snać trudno było mu się pogodzić z myślą, że kłamka na zawsze za nim zapada i droga do powrotu do kraju odcięta. Z Paryża, 22 sierpnia 1772 r., wystosował obszernie pismo²⁾ do Stanisława Lubomirskiego, marszałka w. kor., w którym zaprzeczał raz jeszcze swego uczestnictwa, a nawet współświadomości z zamachem, zastrzegał się, iż o samym wypadku, a także o potwarzy rzuconej na niego dowiedział się z gazet, winę całą przypisywał Strawińskiemu, Kuźmie i Łukawskiemu — zareczał dalej, że nietylko chciał aresztować Łukawskiego, gdy ten po zamachu przybył do Częstochowy,³⁾ ale także i ze Strawińskim miał zamiar to samo uczynić i w tym celu wysłał Strawińskiemu przez posłańca 50 dukatów, by go ściągnąć do Częstochowy. „Co zaś z wysłanym (posłańcem) stało się—pisze Pułaski—nie wiem, gdyż odtąd o Strawińskim żadnej nie odebrałem wiadomości.“ Jak widzimy, Pułaski nietylko umywał ręce, ale, co więcej, w potępieniu czynu posuwał się tak daleko, że gotów był oddać przestępców „przyzwoitej juryzdykcyi“, t. j. sądom Rzpltej. Kończył zaś temi słowy: „Czyż się jeden znajdzie, któryby śmieło mógł wyznać, że słyszał odemnie rozkaz przeciw królowi, dopieroż jakowym ten mi wypróbuje pismem?“ Dufał widać, że dowody pisemne, bezpośrednio o jego uczestnictwie w zamachu świadczące, nie znajdują się, albo też, że Strawiński,

1) Szujski: „Dzieje Polski“, IV, str. 485.

2) Ostrożyński, str. 30 sq.

3) Jak wiadomo, Pułaski w następstwie aresztował go, Łukowski wszakże uniknął i dopiero później został schwytany i postawiony przed sąd.

główny ich posiadacz, przebywając na wolności, nie zechce ich użyć przeciw swemu zwierzchnikowi, tem bardziej, że w jego osobie naraziłby także na szwank dobre imię sprawy, której z takim poświęceniem służył.

Strawiński tymczasem, który po zamachu uszedł cało, tułał się długi czas zagranicą, trapiiony nostalgią i rozterką wewnętrzną. W sumieniu własnem był czysty, na życie króla godzić nie myślał, chciał go jedynie pojmać i dostawić żywego do Częstochowy; wykonał rozkaz Pułaskiego w przekonaniu, że spełnia „gorliwą usługę dla dobra publicznego.“ Oskarżony niesłusznie o zbrodnię królobójstwa, ścigany przez władze błąkał się z rozdartą od boleści duszą „niby w letargu,“ zdala od kraju, o którego losach, jak równie o losach konfederacyi głuche tylko dochodziły go wieści. Tam to na tułaczce wpadła mu w ręce gazeta z manifestem Pułaskiego. Oburzony do żywego niegodnem zachowaniem się byłego swego komendanta, który tak bezwzględnie z nim się obszedł, byle tylko siebie salwować, dotknięty przetem przez Pułaskiego osobiście (Pułaski wyraził się o nim lekceważąco w liście do Lubomirskiego: „jakiś Strawiński“) postanowił za wszelką cenę odpowiedzieć mu publicznie w granicach Rzpltej. Nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, wraca na Litwę, przedziera się do Wilna i w grodzie tamtejszym zakłada 9 kwietnia 1773 r. uroczysty protest¹⁾ przeciw krzywdzącym go pismom Pułaskiego, dając raz jeszcze dowód wielkiej odwagi i determinacyi na wszystko. Na wstępie odpowiada przedewszystkiem Pułaskiemu, iż nie jest wcale „jakimś Strawińskim,“ ale dobrze mu znanym, z dziada pradziada osiadłym w województwie trockiem szlachcicem, poczem, zaznaczywszy, iż nie będzie mieszał niewinnych osób „do swego nieszczęśliwego losu,“ siebie nie uniewinniając, drugich nie oskarżając, opowiada o swoim udziale w konfederacyi aż do chwili zamachu. Czyn swój usprawiedliwia ogłoszeniem bezkrólewia przez generalność i „wyraźną dyspozycyą komendantów.“ Na dowód cytuje szereg ordynansów, otrzymanych kolejno od Pułaskiego, między nimi zaś list z dnia 19 października 1771 r., pisany na dwa tygodnie przed zamachem. Brzmiał on następująco: „Na list Waszmość Pana odpisuję, dukatów 50 posyłam, gdyż dla ubogiej Kassy więcej dać nie mogę. Staray się Kochany Panie, abys przed pierwszym przyszłego Miesiąca uskutkował w Naszych zamysłach, bo już po pierwszym mieć bę-

1) Archiwum watykańskie: Nunziatura Polonia-Russia, vol. 94, f. 330—341.

dziesz przeszkodę. Ordynans P. Łukawskiemu y list do P. Zembrzuskiego przyłączam, Siebie stateczney oddaie przyiaźni, powtarzam kilkakrotnie, abyś, kiedy masz co czynić, kończył przed pierwszym lub w sam pierwszy następującego miesiąca, adieu kłaniam.⁴ 1)

Kaz. Pułaski mł.

1771
L 17 863 1771 1771

Do listu króla Pana Ordynansu # 80 przyłączam
gdyż dla uszytania kłopotu - 1771 - nie mogę
stać się kochanym Panie aby przed pierwszym
miesiącem miesiąca następującego w Warszawie
nie miał co już po pierwszym miesiącu zjawić
przebiega Ordynansu P. Łukawskiego y list
do P. Zembrzuskiego przyłączam i. b. e. m.
Kaz. Pułaski mł. przyłączam do listu
którym abyś kiedy masz co czynić
kończył przed pierwszym lub w sam pierwszy
miesiąca następującego adieu kłaniam
Kaz. Pułaski mł.

List powyższy dowodzi, że Pułaski nietylko o zamachu wiedział, ale, co więcej, całym spiskiem kierował. W tym celu bowiem oddał Strawińskiemu do dyspozycyi oddział Łukowskiego, dostarczył mu pieniędzy, a wreszcie sam miał mu pomagać pośrednio przez wywołanie odpowiedniej dywersyi dla odciążenia z Warszawy oddziałów rosyjskich i ułatwienia przez to Strawińskiemu roboty. Miarodajne są w tym względzie słowa: „Stary

¹⁾ Archiw. wat.: Nunz. Pol. Russ., v. 94, f. 328.

się Kochany Panie, abyś przed pierwszym przyszłego Miesiąca *uskutkował w Naszych zamysłach.*“ Przynaglając Strawińskiego i wyznaczając mu termin zamachu najdalej na dzień 1 listopada, przewidywał zapewne Pułaski, iż najdłużej do 1 listopada będzie mógł krążyć w okolicach Warszawy i akcyę Strawińskiego podtrzymywać. Dlatego kazał mu się spieszyć: „powtarzam kilkakrotnie, abyś, kiedy masz co czynić, kończył przed pierwszym lub w sam pierwszy następującego miesiąca,“ gdyż „już po pierwszym będziesz miał przeszkodę.“ W słowach tych obok rozkazu przebijają się też pewne zuiecierpliwienie.

Okoliczność, że list ów znalazł się w oryginale ma niepoślednie znaczenie dla ustalenia kierowniczej roli Pułaskiego. Dotychczas bowiem można było powątpiewać, czy Pułaski wogóle list ten napisał, bo fakt, że go Strawiński zacytował w manifestie nie stanowił sam przez się jeszcze dowodu o jego autentyczności. Autentyczność listu mogła być poważnie kwestyjonowaną z uwagi, że akt wpisania manifestu do ksiąg grodzkich odbył się wśród wyjątkowych warunków nie bez presyi Strawińskiego. Pułaski, jak zobaczymy, nie omieszkał w następstwie, zaprzeczając do ostateczności, podnieść tego rodzaju właśnie wątpliwości i zakwestyonować autentyczność wszystkich załączników manifestu Strawińskiego, ale uczynił to dopiero wówczas, gdy już miał pewność, że nie ujrzą one światła dziennego.

Z kolei wróćmy jeszcze do manifestu Strawińskiego. Reasumując swój wywód, oświadcza on w zakończeniu, że „niczego nie czynił bez woli najwyższych komendantów,“ że od Pułaskiego otrzymał wyraźny rozkaz pojmania króla, że myśl zabójstwa była wyłączoną, że wreszcie „charaktery dowodne,“ t. j. akta, świadczące o swej prawdomówności wysyła do nuncjusza, aby je publicznie ogłosił w czasie sejmu. Droga ta zdała mu się najprostszą a zarazem najpewniejszą do osiągnięcia własnej rehabilitacyi.

Co zapowiedział, skutecznił. Zawiódł się przecież gdy mniemał, że nuncyusz zajmie się jego rehabilitacyą. Nuncyuszem w Warszawie był podówczas Józef hr. Garampi, dyplomata zbyt ostrożny, by angażować się w jakikolwiek, choćby najneutralniejszy sposób w tak podejrzaną sprawię. Zresztą być neutralnym, znaczyło w tym wypadku oświadczać się za obwinionymi i konfederacyą. Specyalnie zaś stanowisko Garampiego, jako przedstawiciela Rzymu, było tu wyjątkowo drażliwe. Stosunek Watykanu do dworu warszawskiego od samego początku panowania Stanisława Augusta nie najlepszy, pełen obustronnych podejrzeń, w któ-

re nie mogę tu wchodzić, pogorszył się znacznie a nawet groził zupełnem zerwaniem z chwila, gdy po łagodnym i układowym nuncyuszu Viscontim objął posterunek warszawski Anioł Marya Durini, gorączka i otwarty przeciwnik Stanisława Augusta. Durini przekroczył znacznie instrukcye otrzymywane z Rzymu w okresie konfederacyi barskiej i ściągnął na kuryę wiele ciężkich kolizyj. Za wielki błąd jego działalności poczytała mu kurya nie tyle to, że sprzyjał konfederacyi barskiej i gorąco ją popierał, ale że nie zachowywał przytem odpowiednich ostrożności i naraził Stolicę apostolską nietylko na wyrzuty Stanisława Augusta, którego zwalczał potajemnie i publicznie, ale także konfederatów, którym za wiele obiecywał, wbrew wskazówkom Watykanu przestrzegania ścisłej lecz trudnej, dodajmy na jego usprawiedliwienie, do zachowania neutralności.

Opinia dworska posądzała Duriniego o udział w spisku na króla. Stanisław August twierdził, iż posiada dowody współwiny nuncyusza. Czy słuszne, ocenić narazie dość trudno. Podług owej wersji ¹⁾ Durini miał komunikować się z Pułaskim i omówić z nim nawet szczegółowo drogę i sposób porwania króla. Na kilka zaś dni przed zamachem udał się Durini pod pozorem niewinnej przechadzki na rekonesans, zaś w przeddzień do pałacu nuncyatury zgłosił się jakiś jeździec, z którym nuncyusz poufnie konferował. Posądzenie to nadawałoby się do zaciągnięcia na registr zwykłych plotek i insynuacyj, tembardziej, że wyszło z kół dworskich, którym bardzo zależało na skompromitowaniu i pozbyciu się nuncyusza z Warszawy, gdyby nie okoliczność, że Garampi spotkał się z potwierdzeniem powyższych pogłosek także u innych osób. Obciążająco dla Duriniego wypowiedział się w tej mierze O. Esterhazy, generał Paulinów. ²⁾ Esterhazy bawił na kilka dni przed dniem 3 listopada 1771 r. w Warszawie i był już na wyjeździe, gdy Durini począł nań nalegać, by się jeszcze na krótko zatrzymał, a za 2 albo 3 dni zobaczy w Warszawie Pułaskiego. Usłyszawszy to O. generał, nie czekając aż się słowa Duriniego sprawdzą, opuścił Warszawę w największym pośpiechu. Zbierając te wszystkie pogłoski w subiektywną uwagę, zapisuje ostrożny Garampi w swoim dyaryuszu: „Sądzę, że może i Monsignor Durini był w porozumieniu“ (*Credo che forse anche Mgr Durini ne fosse inteso*).

¹⁾ Archiw. wat. Fondo Garampi, Diario Garampi vol. 71, str. 664.

²⁾ Tamże, Diario Garampi vol. 73, str. 823 sq.

Zrozumiałem przeto będzie zakłopotanie i niepokój Garampiego, gdy w czerwcu 1773 r. w chwili, gdy cała opinia publiczna zajęta była toczącym się właśnie procesem królobójców, rozeszła się po Warszawie wieść o manifeście Strawińskiego i o oświadczeniu tegoż, że akta dowodowe całej sprawy przesłał nuncyuszowi. Wiadomość ta, jakby nagłe uderzenie gromu, zelektryzowała spokojny gmach nuncyatury. Dopiero wtedy przypomniał sobie uczony Garampi, że w istocie otrzymał „dziwną drogą“ (*per viam curiosam*) jakąś przesyłkę, której narazie nie otwierał w przypuszczeniu, że zawiera akta kościelne, jakich wielka ilość napływała codziennie do nuncyatury. Zajęty ważniejszymi sprawami, nie zwracał na nią uwagi. Poinformowany o treści dokumentów (była między nimi uwierzytelniona kopia manifestu Strawińskiego, paszport, dany przez Pułaskiego Strawińskiemu, i list Pułaskiego, który załączyliśmy w podobiznie), postanowił copędzej pozbyć się ich ze swej kancelaryi, a to dlatego, by w razie gdyby został o nie zainterpelowany, mógł oświadczyć, że takich papierów nie posiada i zamknąć w ten sposób drażliwą dla siebie dyskusję. W sprawę mięszać się nie miał zamiaru w przekonaniu, że Strawińskiemu nie wieleby pomógł, a siebie tylko jego obroną mógłby skompromitować i wywołać podejrzliwe uwagi na zamku, gdzie nie przestano jeszcze komentować roli Duriniego w zamachu. Niezwłocznie więc zapakowawszy tak niebezpieczne akta, odesłał je „*sub arctissimo secreti iuramenti vinculo*“ regensowi collegium wileńskiego O. Żabie T. J., z nakazem, by odszukał Strawińskiego i albo sam, albo przez zaufaną i zaprzysiężoną osobę oddał mu je z powrotem, gdyby zaś Strawińskiego nie zdołał odszukać, miał je zatrzymać u siebie i czekać na dalszą dyspozycję.¹⁾ Równocześnie, korzystając z najbliższej rozmowy z marszałkiem Lubomirskim, zaprzeczył Garampi oficjalnie wiarygodności tego rodzaju pogłosek. Marszałek, stosując się do życzenia nuncyusza, złożył w jego imieniu na posiedzeniu sądu z dn. 14 czerwca zaprzeczającą deklarację.²⁾ W ten sposób stłumiono zajście, które mogło mieć niemiłe dla nuncyusza następstwa. Inkryminowane akta przeleżały czas jakiś w collegium wileńskim, poczem O. Żaba, nie doczekawszy się Strawińskiego, zwrócił je nuncyaturze.

1) Garampi do O. Żaby, 7 junii 1773 (minuta): Nunz. Pol. Russ. v. 94, f. 321; O. Żaba do Garampiego, tamże f. 323.

2) Diario Garampi vol. 70, str. 553 i 556.

Wraz z całym archiwum nuncyatury dostały się one po rozbiorach Polski do Rzymu.

Epilog procesu wiadomy. Większość obwinionych, z wyjątkiem uwolnionego na prośby króla Kuźmy, została skazana na karę śmierci, między nimi Pułaski i Strawiński zaocznie. Sprzecznie z istotnym stanem rzeczy sprawę od samego początku kierując, pomówiono oskarżonych o zamiary, których zgoła nie mieli i wydano niesprawiedliwy i tak surowy wyrok. Chciano przez to napiętnować nie tylko sprawców zamachu, ale także ruch, który ich wydał.

Pułaski protestował jeszcze kilkakrotnie, raz w czasie procesu dn. 30 czerwca 1773 r. manifestem na ręce Lubomirskiego, potem już po ogłoszeniu wyroku na wiosnę 1774 r. W pierwszym z tych protestów próbuje wykazać bezpodstawność obciążających go zarzutów, wypowiedzianych na podstawie ordynansów „słowy ogólnemi napisanych.“ „Podobne moim ordynanse — pisał on — każdy inny mnie podobny wydawał, na moje jednego nieszczęście mój tylko przy zloczyńcy znaleziony i na spotwarzenie i oczernienie mnie obrócony.“ Miał tu na myśli ogólnikowe w istocie rozkazy dane Łukawskiemu. O liście, wystosowanym do Strawińskiego dn. 19 października aż nazbyt przejrzystym, nie wspomina wszakże wcale. Jako dowód zaś, że ze Strawińskim nic nie miał i nie mógł mieć wspólnego, podaje fakt, że na 4 dni przed zamachem, t. j. 31 października, został rozbity przez komendanta rosyjskiego Langiego. Czyżby więc nie powinien był donieść o swej klęsce Strawińskiemu i przestrzedz go, że mu dalszej pomocy udzielić nie może? Skoro zatem Strawiński mimo to dokonał zamachu, to jasno stąd wynika, że nie umawiali się przedtem między sobą, bo przecież Strawiński, wiedząc o jego klęsce, nie byłby ryzykował.¹⁾ Tak słabą argumentację, nie mogącą nikogo przekonać, usiłował poprawić w następnym manifeste, który nadszedł do Warszawy 22 marca 1774 r. Wtedy już zaprzeczenie nuncyusza, który, jak wiadomo, oświadczył, iż nie otrzymał żadnych ze sprawą związanych dokumentów, przyszło Pułaskiemu z pomocą i ułatwiło mu zadanie. „Strawiński wspomina — pisze Pułaski w pomienionym manifeste — że posłał nuncyuszowi apostołskiemu pewne papiery, które służą za dowód, iż otrzymał od Pułaskiego rozkaz porwania króla. Czy papiery te doszły do nuncyusza? A jeśli nie doszły, czyż twierdzenie Strawińskiego nie

¹⁾ Por. u Ostrożyńskiego str. 84 sq.

jest obalone? Czyż nie leżało zresztą w jego interesie, by wnosząc manifest, zaciągnąć także wszystkie te papiery i uzupełnić w ten sposób swoje usprawiedliwienie?“¹⁾

Który z nich dwóch miał za sobą prawdę, Pułaski czy Strawiński, to zdaje się po tem, cośmy przytoczyli wyżej, nie potrzebuje uzasadnienia. Na usprawiedliwienie Pułaskiego stwierdzić należy, że zapierając się, nietyle własną osobę, co sprawę i honor konfederacyi miał na widoku.

MACIEJ LORET.

¹⁾ Diario Garampi vol. 72, str. 330.

Kultura życia muzycznego.

We współczesnem życiu artystycznem muzyka odgrywa rolę pierwszorzędną i jest, bez zaprzeczenia, obok literatury, najpopularniejszą gałęzią sztuki. Nie przemawiając wprost do intelektu, lecz poruszając przedewszystkiem struny uczuciowe duszy ludzkiej, muzyka jest zrozumiała dla wszystkich i największe budzi zajęcie ogółu; głęboka tęsknota za muzyką przenika najszerwsze warstwy społeczne, czego wyrazem jest dyletantyzm najdalszych kół muzycznych, w szlachetnem znaczeniu pojęty, jest ożywiony, gorączkowy ruch muzyczny w „sezonie“ koncertowym i nacisk, jaki się kładzie w wychowaniu na wykształcenie muzyczne. Na ten ostatni moment działają nie tyle względy estetyczne, ile raczej silnie zakorzeniony przesąd o uszlachetniającym i moralnym wpływie muzyki na psychiczny charakter człowieka: odłam pisarzy, patrzących tak na muzykę jak i na sztukę wogóle—pod kątem platońskiej etyki, zdołał wpoić w ogół silne przekonanie, że sfery etyki i estetyki nierozzerwalnie ze sobą złączone, nie dadzą się od siebie odgraniczyć. Stworzona przez Schopenhauera metafizyka muzyki, przybrana w olśniewającą szatę barwnego języka, przysłaniającą niejednokrotnie dyalektyczne sprzeczności i niekonsekwencye samego systemu („ästhetische und intellektuelle Anschauung“!), przyczyniła się w znacznej mierze do utrwalenia tego dogmatu etyczno-muzycznego: Schopenhauer bowiem, przyznając muzyce dominujące stanowisko wśród innych sztuk pięknych, pojmując ją nietylko jako źródło estetycznej rozkoszy, wprawiającej nas w stan upojenia i szału (por. Nietzschego „Lyonijski pierwiastek“), lecz jako ucieczkę i wyzwolenie z życia, stanowiącego jedno nieprzerwane pasmo cierpień; gdy bowiem słuchamy muzyki, duch zatapia się w cichej kontemplacyi i za-

traca swoją wolę t. j. istotę życia i przyczynę jego cierpień. Nie wątpi, że w poglądzie Schopenhauera na muzykę tkwi sporo romantycznej egzaltacji, lecz skoro się z tego poglądu wyłączą pierwiastki etyczne, a ujmie sprawę ze stanowiska czysto estetycznego, to przyznać trzeba, że muzyka, jako źródło rozkoszy duchowej, spełnić może wysokie posłannictwo metafizyczne.

Czy w ramach dzisiejszego życia muzycznego może muzyka odpowiedzieć swemu zadaniu? Nad tem pytaniem pragnę się zastanowić. Rozpatrzmy formy naszego współczesnego życia muzycznego, a w szczególności koncertowego, będącego bezpośrednim wyrazem muzycznej kultury i starajmy się z tych uwag wysnuć wnioski ogólniejsze.

Nasze życie koncertowe, spoczywające w rękach przemysłowego przedsiębiorstwa, pochodzeniem swoim sięga nie zbyt odległej przeszłości, gdyż w dzisiejszej postaci wytworzyło się przy końcu XVIII wieku najpierw w Anglii, skąd następnie przeszczepione zostało na kontynent. Pierwotnie odbywały się publiczne popisy muzyczne w kościołach i teatrach, dopiero później przeniosły się do sal koncertowych; jeszcze Mozart, bawiąc we Włoszech, dawał koncerty swoje w kościołach.

Instynktownie odczuwa się, że nasze dzisiejsze życie koncertowe nie tylko nie odpowiada potrzebom i pragnieniom ogółu, lecz jest czemś sztucznym i fałszywym, od czego odwraca się z niesmakiem wrażliwa natura o subtelniejszym poczuciu estetycznym. To można przyjąć jako pewnik. Dotychczasowa forma życia koncertowego jest prostytutką muzyki, rzucaniem jej w ramiona sprytnych przedsiębiorców, umiających utrafić w upodobania chwili i schlebających najpospolitszym instynktom tłumu, który nie szuka w muzyce głębszych wrażeń i piękna, lecz wytechnienia dla nerwów, trzymanych w chorobliwym napięciu i płatnej rozrywki po nużącej pracy. Wprawdzie pod względem zewnętrznym kultura muzyczna ostatnich czasów znacznie się pogłębiła i przybrała szlachetniejszy wyraz pod wpływem dodatniego zwrotu, jaki dokonał się w ramach naszego życia artystycznego, przedewszystkiem w sztukach plastycznych. W związku z ogólną tęsknotą za wytworną atmosferą sztuki, w związku z dekoratywnym nastrojem, który mieszkania nasze wyzwolił z zimnej i bezstylowej pseudo-elegancyi, a wniósł w nie jednolity i zaciszny ton, odziewając ściany nasze, sprzęty, książki w szaty wykwintnej kultury, obudziło się i w muzyce pragnienie, by muzykę przepoić technieniem szlachetnej kultury, a przedewszystkiem w miejsce dzisiejszej sali koncertowej, rażącej nagim i niesmacz-

nym „przepychem,” stworzyć wewnątrz poufne, działające wprost muzycznie samym swoim zewnętrznym wyglądem. W ramach szarmonizowanej i subtelnej atmosfery dekoratywnej muzyka stałaby się prawdziwą karmią ducha i wewnętrznym przeżyciem, a przestałaby być przedmiotem rozrywki i lekkomyślnej zabawy.

Nasza sala koncertowa, pełna zmysłowej i banalnej atmosfery, wieje przeraźliwym zimnem, gdyż brak jej zacisznego, poufnego tonu, niema w niej nici łączącej między artystą a słuchaczami; artysta, stojący na estradzie przed publicznością, odcięty od niej—jakby przepaścią—pustą przestrzenią, ściąga swoją osobą na siebie główną uwagę widzów. Zwrot ku reformie jest obecnie coraz wyraźniejszy: z ogólnego niezadowolenia wylaniają się najrozmaitsze projekty teoretyczne i praktyczne, opracowane do najdrobniejszych szczegółów.¹⁾ Nie brak i fantastycznych i wyrafinowanych pomysłów, pozbawionych doniosłości praktycznej: w tęsknocie za subtelnością tonów i barw pragną niektórzy salę koncertową przyoblec w kolorowe światła, zależne od charakteru i nastroju muzyki, rozpraszać wonie delikatnych perfum, artystów przystroić w kostiumy, dostosowane do rodzaju muzyki: pomysły bardzo znamienne dla owego prądu reformy, lecz bez zaprzeczenia tchnące żądzą sensacyi. Dekoratywna zmiana sali koncertowej, usunięcie z niej wszystkiego, co razi ucho i oko — oto najważniejszy postulat reformy. Nie chodzi mi o wyczerpujące przedstawienie wszystkich projektów i technicznego aparatu, boby to wykraczało poza ramy i cel niniejszego szkicu, poruszę tylko w najogólniejszych zarysach zasadnicze myśli reformy:

Zerwać należy z systemem łóż, jako czynnikiem nader nieestetycznym, a pochlebiającym tylko ambicyom niektórych warstw społecznych; orkiestra wraz z dyrygentem winna być niewidoczna, ukryta za ścianą czy to żywych kwiatów, czy sporządzoną z lekkiego i cienkiego materiału, nie pochłaniającego głosu, lecz potęgującego wrażenie akustyczne. Podobnie jak orkiestra, tak i chóry i soliści występują na niewidocznem podyum za zasłoną sprawiającą miłe dla oka wrażenie. Miejsca daleko odsunięte od podyum, oddzielone od siebie nieznacznymi, lecz wygodnymi odstępami, powinny wznosić się amfiteatralnie lub w prostych rzędach, stopniowo, aby fale głosowe, nie załamując się we wgłębieniach łóż, mogły dotrzeć wszędzie z jednaką siłą. W czasie koncertu winna być sala przyćmiona, nie całkowicie, lecz tonąć w mi-

¹⁾ Na czele reformy kroczą Niemcy: A. Seydl, Marsop, Ehlers, Seydlitz.

łym półmroku słabego światła, sączącego się z góry: muzyka, płynąca z niewidocznego źródła, ogarnia duszę słuchacza tajemną falą i wywiera silniejsze wrażenie estetyczne. Projekt przyćmienia sali świadomie trafia w nasze instynktowe poczucie estetyczne, które pragnie przede wszystkim słuchać, a nie patrzeć. Olśniewające blaskiem światła dzisiejsze sale koncertowe nie pozwalają skupić uwagi słuchacza, lecz ją rozpraszają widokiem wykonawców i publiczności. Prócz względów estetycznych przemawia za przyćmieniem sali jeszcze inny moment: oto взгляд na nasze przemęczone i napięte nerwy, dla których zbyt jaskrawe światło jest niewątpliwie zbyt silną podniecią, nie dającą im należytego wytchnienia i spoczynku. W końcu kto do sali koncertowej wstępuje jako do przybytku, w którym przeżywa się chwile podniosłych wrażeń, kto pragnie w takich momentach skupienia, chce czuć się sam i wyzwolić się z pod ciężaru swego otoczenia, złożonego niejednokrotnie z ludzi, których nie sprowadził tam szczerzy interes artystyczny, ten powitać musi projekt przyćmienia, jako prawdziwe dobrodziejstwo. Że dla utrzymania bezwzględnej ciszy drzwi sali muszą być zamknięte aż do chwili, gdy przebrzmi ostatni ton, rozumie się samo przez się, jako najelementarniejszy warunek produkcji. Oklaski, wybuchające z siłą strzałów rewolwerowych, są zbyt pierwotnym środkiem, by mogły przyczynić się do spotęgowania estetycznego wrażenia; dlatego winno się objawy uznania wyrażać w kulturniejszej formie. Niemniej zrewać należy z żądaniem i zmuszaniem artystów do naddatków, które łechcą jedynie ambicję tak wykonawców, jak i publiczności, i zamiast skupiać rozpraszają wrażenie ogólne, gdyż nie mogą służyć się ogranicznie z resztą programu w jednolitą całość.

Projekt zasłony ma w sobie, prócz estetycznych i akustycznych względów, i tę jeszcze korzyść, że artysta, grający za zasłoną, nie musiałby wykonywać utworów z pamięci; jestto moment bardzo ważny: gra z pamięci, niezwykle forsowna, utrzymująca artystę w obawie i naprężeniu nerwowem, czy pamięć nie odmówi posłuszeństwa w decydującej chwili, utrudnia w wysokim stopniu wykonywanie i zaznajomienie publiczności z kompozycjami ostatniej doby: zwłaszcza starsi artyści, których pamięć już nie tak elastyczna i chwytana, skazani są z konieczności na odgrywanie zawsze tych samych utworów, których się za młodu nauczyli; wieczne przetrzymywanie tego samego materiału pozbawia artystę zapału i impulsywnej bezpośredniości, a wytwarza w nim pewien nieunikniony mechanizm, spycha go do rzędu biernego automatu, zaś słuchacza przykro uderza, budzi w nim nie-

smak i w ostatecznej konsekwencji paraliżuje głębsze wrażenie. Nadto dla wykonawcy, obdarzonego poczuciem artystycznym, nie dbałego o hołdy, oklaski i czczone objawy podziwu, staje się zasłona prawdziwym wyzwoleniem. Przypomnijmy sobie, jaką walkę wewnętrzną staczał Chopin przed każdym występem publicznym, gdyż — jak sam się żalił — „widok publiczności onieśmiała go, jej oddech go dławił, a ciekawy wzrok obezwładniał,“ wówczas zrozumiemy, jak bolesną przykrością bywa niejednokrotnie dla natury wrażliwej publiczny występ przed tłumem obcym i żądnym wrażeń za wszelką cenę.

Do muzyki, płynącej z niewidomego źródła, jesteśmy przyzwyczajeni: wszak w kościele poddajemy się czarowi muzyki, zapominając, że głos spływa z wysokości chóru; nie pragniemy widzieć kto gra lub śpiewa, ani wiedzieć o medyum, przez które do nas przemawia muzyka. Niektóre z poruszonych tutaj momentów nie są nowe: myśl ustawienia wykonawców za zasłoną jest zastosowaniem problemu przeprowadzonego w Bayreucie przez Wagnera; dla ścisłości historycznej dodać należy, iż tę zasadę wagnerowską stosowano już we Florencji podczas przedstawień pierwszych dramatów muzycznych (r. 1600), gdyż orkiestra, towarzysząca śpiewowi, umieszczona była za sceną.

Zamierzona reforma, wprowadzona w czyn, zmieniłaby fizyognomię dzisiejszej sali koncertowej, wniosłaby ton zacisznej atmosfery muzycznej i wycisnęłaby na niej piętno wysokiej kultury. Wszelako, jak każdy proces reformy, tak i ten projekt walczyć musi z głęboko zakorzenionymi przesadami, uświęconymi tradycją, to też wcielenie go w czyn spotyka niezliczone trudności. Jeszcze zbyt jest wielkie upodobanie w zewnętrznym, błyskotliwym wirtuozostwie, zbyt wielkie uwielbienie solistów-śpiewaków i instrumentalistów; publiczność chce przedewszystkiem patrzeć na wykonawcę i podziwiać go, chce jego ukłonów i uśmiechu wdzięczności, pragnie śledzić jego ruchy i sposób, w jaki on pokonywa techniczne trudności; w ostatnich czasach przeniósł się ów kult wirtuozów także na orkiestralnych dyrygentów, których mimiczne i gimnastyczne poruszenia (niepozabawione niejednokrotnie komicznych rysów) są przedmiotem baczonej uwagi, nawet zachwyty słuchaczy, zapominających, że wszystkie ruchy dyrygenta nie są celem popisu, lecz jedynie środkiem porozumienia między nim a orkiestrą, na którą dyrygent przelewa z suggestywną siłą wszystkie swoje intencje i najłżejsze odruchy uczucia.

Zasadniczym warunkiem reformy, wiodącym do celu, winna być zmiana programów koncertowych, odznaczających się zazwy-

czaj brakiem wszelkiego programu. Za dowód niewybredności słuchaczy i braku myśli przewodniej w układzie programu niechaj posłuży program koncertu (odbytego w jednym z miast stołecznych), zawierający obok pieśni Karłowicza i Różyckiego... Rossiniego „Cavatine“ z „Cyrulika“; tu już chyba śpiewaczka, obdarzona zresztą przepysznym głosem i władająca nim umiejętnie, okazała brak najpierwotniejszej—kultury muzycznej. Zależało jej wyłącznie na okazaniu możliwych zalet głosu, na rozwinięciu olśniewającej koloratury, słowem na odniesieniu największego sukcesu osobistego bez względu na muzykę. Tymczasem program nie ma być środkiem dla opisu wykonawcy, pragnącego wysunąć własną sztukę na pierwszy plan z pominięciem istotnego celu sztuki, lecz musi zawierać jakąś myśl przewodnią, służyć do utworzenia duchowej fizjonomii artysty, któremu koncert jest poświęcony, czy też do wyczerpującego oświetlenia pewnego kierunku muzycznego lub całej epoki. A więc w miejsce dotychczasowej iście kalejdoskopowej pstrokacizny należy wprowadzić jednolitość stylu, należy połączyć i stopić poszczególne punkty programu w organiczną całość, zdolną jak najplastyczniej i najjaśniej uwydatnić wszystkie znamienne rysy danej indywidualności artystycznej. Nie należy więc zestawiać utworów symfonicznych z utworami lirycznymi, różnymi od nich charakterem, ani też w ramach programu symfonicznego umieszczać kompozycji solowych czy to wokalnych, czy instrumentalnych. Niezaprzeczoną wadą naszych koncertów jest dalej zbyt długi czas trwania, niweczący niejednokrotnie głębsze i trwalsze wrażenie; już Schopenhauer trafnie zauważył, że zanadto długa muzyka koncertowa nuży, a w końcu staje się nieznośną męczarnią dla nerwów (Parrerga. II). To też leży w interesie artystycznym, by czas trwania koncertu skrócić; gdy się zacieśni jego granice, muzyka nie znuży, lecz spłynie na nerwy ożywczym źródłem i pozostawi niezmacone niczem wrażenie. Celem skutecznego przeprowadzenia zamierzonych projektów konieczne jest pozyskanie dla myśli reformy jak najszerzych warstw do współdziałania i pomocy, konieczne uświadomienie ich i—powiedzmy wprost—celowe kształcenie: trzeba budzić poczucie dzisiejszych braków i wad w życiu muzycznym, trzeba wykorzenieć płytki dyletantyzm i upodobanie w muzyce lekkiej, posługującej się grubymi środkami wirtuozostwa, trzeba wyplenić przesady, a natomiast podnieść przede wszystkim ogólny poziom wykształcenia muzycznego: należy wśród ogółu zaszczepiać, prócz elementarnych zasad muzycznych, znajomość historycznego rozwoju muzyki i znajomość form mu-

zycznych. Wszak dzisiaj spotyka się na koncertach powszednie zjawisko, że po każdej części symfonii lub sonaty zrywa się huragan oklasków i po przymusowem milczeniu rozwiązują się na dobre usta gadatliwych słuchaczy: pochodzi to właśnie z nieznamomości form muzycznych, z braku podstawowego wykształcenia; większość publiczności nie wie, że symfonia i sonata nie są zlepkiem ustępów, zestawionych obok siebie luźnie bez wewnętrznego związku i przyczyny, lecz są utworem cyklicznym, złożonym z kilku organicznie ze sobą zespolonych części, których przerywać nie można bez szkody dla dzieła.

Wielkie usługi w tym przygotowawczym czynie, wiodącym do pogłębienia kultury muzycznej, oddać może szkoła, uwzględniając przy nauce śpiewu, obok elementów muzycznych, zagadnienia estetyczne i historyczne.¹⁾ Planowo obmyślane koncerty szkolne i popularne, poprzedzone objaśnieniem, podaniem w formie przystępnej, nie mniejszy zdołają wywrzeć wpływ i położyć podwaliny pod estetyczne wykształcenie ogółu.

Wstępem do przeprowadzenia reformy w obrębie życia koncertowego musi być reforma w pielęgnowaniu muzyki „domowej.“ Tu grzeszy się najwięcej. Nie ulega wątpliwości, że gra się za wiele, że uprawia się zabójczą swoim mechanizmem tresurę muzyczną, że muzykę uważa się nie za źródło estetycznej rozkoszy, lecz za dekoratywny środek wykształcenia. Dość spojrzeć na zebrania towarzyskie, wykwitłe z nieszczerzej i sztucznej atmosfery naszego „salonu“ i okraszone muzycznym „popisem,“ by się o słuszności powyższych zarzutów przekonać. Naszym zebraniom towarzyskim brak zacisznej, poufnej atmosfery, brak bezpośredniości, gdyż muzyka nie jest szczerem pragnieniem, nie wpływa z wewnętrznej potrzeby. W produkcjach muzycznych panuje natrętny, krzykliwy ton dyletancko-wirtuozowskiej zarozumiałości, spragnionej hołdu i dymu kadzideł salonowych, których trujący oddech złamał lub wypaczył niejedyn prawdziwy talent. Muzykę „domową“ należy sprowadzić na nowe tory; dzisiejszy dyletantyzm — objaw zresztą bardzo sympatyczny — należy uszlachetnić i natchnąć powagą sztuki.

Z jakim uczuciem estetycznej rozkoszy patrzymy na obrazy z czasów renesansu, przesycone zaciszną atmosferą wysokiej kultury muzycznej: obrazy Giorgiona, Paola Veronese, Sebastjana

¹⁾ Sprawę tę poruszyłem w artykule „Nauka śpiewu w szkole średniej,“ umieszczonym w „Muzeum“ (grudzień, 1909).

del Piombo i mistrzów holenderskich, owiane tchnieniem subtelnej poezji, rozsiewają dziwnie ukojny nastrój muzyczny; a ile łzawej tęsknoty, ile miękkich tonów muzycznej poezji przemawia do nas z obrazów Aubrey-Beardsleya, który dźwięk przetopił w linię. Przypominamy jego ilustracje do „Tristana i Izoldy.“ Jakże radziłybyśmy hypnotyczny nastrój zachwyty, wiejący z tych ilustracji, przenieść w nasze gwarne a głucho koncertowe i zbiorową duszę tłumu nastroić na ich ton podniosłej ciszy i skupienia.

Jakże radziłybyśmy wskrzesić owe zaciszne zebrania, które urządzał Chopin w swoim mieszkaniu lub owe wieczory kwartetowe tak popularne za czasów Haydna i Beethovena w kołach arystokracji wiedeńskiej! Starajmy się pielęgnować muzykę kameralną, ów najpiękniejszy kwiat ducha, gdyż właśnie ta muzyka, zwracająca się nie do szerokich mas, lecz do koła wybrańców, budzić może swoim poufnym charakterem, subtelnością nastroju i środków technicznych, głębią myśli i uczuć, zrozumienie i odczucie prawdziwych dzieł sztuki, a przez to nadać życiu muzycznemu szlachetniejsze formy: muzyka komnatowa jest najlepszą miarą panującego poziomu artystycznego.

D-R JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.

GWARA TATRZAŃSKA

I JEJ PIŚMIENICTWO.

I.

Wszyscy znawcy „gwary tatrzańskiej,“ t. j. gwary polskich górali, zamieszkujących Tatry i ich podnóża wokoło, zwanej u nas „podhalską,“ stwierdzają bardzo zgodnie wielkie jej bogactwo słownicze, jako też liczne archaizmy językowe, w niej się znajdujące, które nietylko są staropolskie, lecz sięgają jeszcze dawniejszych czasów—starosłowiańskich, przeddziejowych. Używam zamiast utartej nazwy „gwara podhalska“—gwara tatrzańska, bo ta wydaje mi się właściwszą, niż tanta, jako obejmująca cały polski lud górali tatrzańskich, podczas gdy przymiotnik „podhalska“ umniejsza znacznie jej uziemie (terytorium), ograniczając ją miejscowo tylko na Podhale, czyli galicyjskie północne stoki Tatr, nie obejmując polskich górali na węgierskiej stronie Tatr, t. j. na Orawie, Spiżu i Liptowie, jako też względnie w żupaństwie trenczyńskim, szaryskim, abaujeckim i ziemlińskim (górali bieskidowych), lud przeszło 300,000 dusz liczący, jednego pochodzenia i tej samej mowy jak lud, zamieszkujący północne stoki gór.

Pracując nad „Słownikiem gwary tatrzańskiej,“ zdołałem zebrać około 12,000 wyrazów gwarowych, które mi się jeszcze wciąż pod ręką mnożą, wyrazów, nie znajdujących się w najznacniejszej części w naszym języku piśmiennym, a pochodzących z prastarych czasów. Ten archaizm i inne właściwości gwary, zbliżają ją do na-

rzeczy słowackich i morawskich z jednej strony, z drugiej zaś do mowy ludu krakowskiego, czyli małopolskiego i górnośląskiego, wskazując, iż w prawięku około Tatr i Bieskidów, jako ośrodka na dzisiejszych ziemiach słowackich, morawskich, małopolskich i górnośląskich, siedlił pierwotnie lud, tworzący jedną całość językową i że ludu tego gwarą, jak na to istnieją wyraźne wskazówki, była mowa polska. Uderzającą w oczy jest dalej okoliczność, iż ziemie te wszystkie tworzyły razem przeddziejową Chrobacę, następnie zaś w okresie dziejowym państwo Wielkomorawskie i dzierzawy naszych pierwszych królów z rodu piastowskiego. Pomniki językowe staromorawszczyzny, podane przez Szemberę¹⁾, dowodzą wielkiej bliskości do polszczyzny, prawie wspólności pierwotnej, jeśli zważymy, iż pochodzą one już z późniejszych czasów, bo z wieku XIII i XIV, a więc z czasu przeszło dwuwiekowego, względnie trzywiekowego zerwania łączności politycznej pomiędzy Morawą a Polską. Ludy zaś te ziemie zamieszkujące: górali tatrzańskich, Małopolan, Górnoślązaków, Słowaków, morawskich Hanaków, Walachów i Lachów, łączy po dziś dzień wielkie pokrewieństwo etnograficzne i gwarowe. Dziś jeszcze po tyłowiekowym odosobnieniu i braku wszelkich łączących nas z nimi stosunków są morawscy Słowacy, Hanacy, Własi i Lasi, jako też węgierscy Słowacy, daleko bliżsi pod każdym przyrodzonym względem Małopolanom i Górnoślązakom, aniżeli ludowi czeskiemu. Jak dalece te ludy morawskie i słowackie są dziś jeszcze nam bliskie, dowodzi tego, prócz wielu wspólnych zwyczajów i obyczajów, wspólność słownicza ogromnej części wyrazów gwarowych, wielka wspólność przysłów, wierzeń i pieśni ludowych. Sami Morawianie posiadają około 500 pieśni ludowych, których teksty powtarzają się albo dosłownie lub też z nieznacznymi zmianami w polskich pieśniach ludowych.

Z powodów powyżej przytoczonych, niemniej też dla okoliczności, iż w archaicznej gwarze tatrzańskiej znajdują się liczne znamiona i wyrazy, cechujące narzecza morawskie, małopolskie, słowackie i śląskie, uważam tę gwarę w głównych jej podstawach za zabytek pierwotnej mowy Chrobacy i Wielkiej Morawy.

Przecztał to już duchem wieszczym Seweryn Goszczyński, gdy pisał²⁾ o gwarze tatrzańskiej: „Mowa czyli narzecze jego (ludu góralskiego) nie jest to język czysto polski, nie jest nawet krakowski, mimo to spotykam w niej często wyrazy, znane mi

¹⁾ „Zakładowe Dialektologie czesko-slovenskie.“ Wiedeń, 1864.

²⁾ „Dziennik podróży do Tatrów.“ Petersburg, 1853.

tylko z niektórych dawnych pisarzy takich, jak np. Rej, Kochanowski i t. p. Dlatego skłaniam się bardzo ku myśli, że górale jedni może dochowali w największej czystości polską mowę z owych wieków, gdzie wszystkie języki słowiańskie, pilnując się więcej wspólnego swego źródła, mniej się między sobą różniły. Narzecze albowiem Podhalań, ściśle rozstrzygnięte, zdaje się być zlewkiem wielu języków, a głównie polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Prawda, że go dotyczą wszystkie te ludy, to sąsiedztwo mogło wpłynąć na mowę górali, co poczęści mam za prawdę niezawodną, ale nie idzie zatem, żeby mowa nie miała swego korzenia, swej posady odwiecznej, swego tła rodzimego. I ma niezawodnie. Taki lud, jak góralski, z natury swego położenia, nie łatwo przyjmuje obce, jeszcze trudniej puszcza swego.“

Goszczyński zowie gwara tatrzańską „bratem bliźniakiem“ języka polskiego, mówiąc: „Gałąź więcej, niż ze pnia polskiego, bo z tego samego korzenia, co i główny pień polski... Dzisiejszy pień polski silniejszym życiem strzelił... i rozrósł się w drzewo główne... Cała budowa języka Podhalań, duch jego, członki pojedyncze, wiązanie ich, wszystko w nim okazuje brata języka polskiego, brata bliźniaka.“

Jakoż istotnie, gwara tatrzańska jędrna i zwięzła, wielce zasobna w słownictwo i formy gramatyczne, może dla świata górskiego i potrzeb życiowych jego ludu starczyć zupełnie za język. Jeśli zaś okolicami, szczególnie na opuszczonej węgierskiej stronie Tatr i Bieskidów, ujawniają się w niej zboczenia i pewne odmiany, nie można im żadną miarą przypisywać jakiegokolwiek głębszego znaczenia, gdyż pochodzą one, że się tak wyrażę, z niegramatykalności ludu, t. j. z nieustalenia gramatycznego gwary dla pisowni i głośowni, co w szczególności jaskrawo objawia się na Górnych Węgrzech. Lud góralski pozostawał od wielu wieków w stanie niepiśmienności, a gwara rodzima żyła tylko w uściech ludu. Dopiero w nowszym czasie poczęto na nią zwracać nieco uwagę, lecz tylko miejscowo, bo prawie wyłącznie na Podhale, na cząstkę uziemi gwarowego, obejmującego nie tylko całe Tatry i Bieskidy, lecz sięgającego po południowej ich stronie głęboko w niziny górno-węgierskie.

Z prac, usiłujących ustalić gwara gramatycznie, znane mi są tylko dwie, mianowicie: Al. Kryńskiego „Gwara zakopiańska,“ studjum dyalektologiczne ¹⁾ i W. Kosińskiego „Przyczynek do

¹⁾ „Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności.“ Kraków, 1884. T. 10.

gwary zakopiańskiej¹⁾, w których stwierdzają obydwaj językoznawcy odrębne właściwości, a Kryński w szczególności orzeka, że „właściwości mowy zakopiańskiej obce są językowi polskiemu.“ Obydwie jednak prace nie wyczerpują bynajmniej przedmiotu, raz dlatego, że już swoim założeniem ograniczają się tylko na Zakopane i jego okolice, powtóre ani jedna, ani druga praca nie odpowiada temu, czego od gramatyki gwarowej żądać należy. Są to raczej studia dyalektologiczne. Tym sposobem gramatyka gwarowa zawsze jeszcze nie istnieje, a z tego wynika, co też jest widoczne w gwarowym poczynającym się piśmiennictwie, nieustalona pisownia gwarowa mowy, żyjącej właściwie po największej części w uściech ludu, a podlegającej w swej niegramatykalności wpływowi języka polskiego na Podhalu za pomocą szkoły polskiej i styczności ludu z letnikami, zaś na Górnych Węgrzech madziaryzacya i wpływ piśmiennej słowaczyny, szczególnie w kościele, czyni w niej wciąż szczyrby i wypacza ją.

Władysław Matlakowski, znawca stosunków podhalskich, żali się z tego powodu, pisząc²⁾: „Osobliwe zwroty, malownicze wyrażenia, techniczne nazwy, w przerażający sposób zwyradniają się i giną, jak śnieg na górach. Dziś już z młodem pokoleniem niema co mówić, tak dalece szkoły i zetknięcie się z przybyszami okaleczyły i zmatowały ich język; jedynie starsi ludzie pamiętają jeszcze starsze wyrażenia, które, zdaje mi się, bardzoby się przydały naszym słownikom technicznym, przeważnie zapożyczającym się z niemieczyny.“

Bronisław Dembowski w przedmowie do swego „Słownika gwary podhalskiej“³⁾ podnosi, że „ze wszystkich gwar ludowych polskich niezaprzeczenie najbogatszą, bodaj że najpiękniejszą jest gwara Podhalan.“ Piszze on dalej: „Odmienna od reszty polskiego kraju przyroda góraska, zgoła różne warunki bytu górali i długie ich odosobnienie od głównych arteryj życia narodowego, wpłynęły z jednej strony na oryginalność gwary ludowej i jej bogactwo, z drugiej znowu pozwoliły przechować się mowie ludu w prastarej, nieprzeistoczonej formie. Jest w niej mnóstwo archaizmów językowych... Sprawdziłem niejednokrotnie np. na „Psalmach“ Kochanowskiego i na „Żywocie pocziwego człowieka“ Reja, że

1) „Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności.“ Kraków, 1884. T. 10.

2) „Budownictwo na Podhalu.“ Kraków, 1892.

3) Kraków, 1894. Nakład Akademii Umiejętności.

niepiśmienny chłop na Podhalu lepiej dziś rozumie język literacki XVI w., niż wykształcony człowiek współczesny. Ogólną charakterystykę gwary Podhalan można streścić we wrażeniu barwnej obrazowości i giętkości języka, a przede wszystkim jego zwięzłości i siły. O każdym niemal góralu możnaby powiedzieć, że jest w mowie swojej urodzonym i bezwiednym stylistą... Na ogół wszyscy mówią na Podhalu pięknie i barwnie.“ I on żali się na zanik gwary, mówiąc: „Gwara ludowa Podhalan zasługuje niezaprzeczenie na największą uwagę... Niwelujący wpływ szkoły zagraża nie żartem odrębności gwary ludowej, dziś już na Podhalu z pośród młodego pokolenia, przeprowadzonego przez szkołę ludową, rzadki człowiek mówi czysto po góralsku: jakiś sztuczny, na pół książkowy język usuwa z dniem każdym starą i dziwnie piękną mowę. Napływ gości i szkoły zawodowe w Zakopanem dokonywują cywilizacyjnej reformy. Za lat kilkanaście nikt w Zakopanem, prócz starców, gwara ludową mówić nie będzie. Dziś już, chcąc uzupełnić „Słownik“ swój i sprawdzić pojedyncze wyrazy, zwracałem się przeważnie do dalszych wiosek i polan, zdala od gościńca głównego założonych. Cywilizujemy lud, odbierając mu jego gwara; jest to nieubłagana konieczność; słusznem byłoby jednak, aby naodwrot to, co w mowie ludowej zasługuje na ochronę, przeszło z kolei do języka literackiego. Pisarze potrafili zawsze odżywiać język literacki mową ludu, tem źródłem, wiekuiście żywym i zdrowym... W czasach dawno ubiegłych cała potężna literatura nasza był swój pierwiastkowy i nagły rozrost temu źródłu zawdzięcza... Ile wyrazów, wrażeń, gotowych form i myśli przeniósł Mickiewicz z poezyi i mowy ludowej do literatury naszej.“

Zdaniem mojem nie w szkole i napływie letników należy szukać niebezpieczeństwa dla gwary, lecz głównie w zaniedbaniu i nie pielęgnowaniu jej. Widzimy bowiem we Francyi i w Niemczech, iż tam przy silniejszym szkolnictwie francuskim, względnie niemieckim i przy silniejszym ruchu, gwary ludowe nie zanikają, lecz owszem rozwijają się. Lecz tam pielęgnuje je naród, tam ustalono ich pisownię i głosownię, wyrwano je ze stanu niepiśmienności i stworzono kwitnące piśmiennictwo ludowe. Otóż tego samego potrzebują nasze gwary ludowe, w szczególności gwara tatrzańska. Trzeba jej przede wszystkim gramatyki, ustalającej jej głosownię i pisownię, któraby dowolność pod tym względem usunęła, następnie byłoby do życzenia bardzo, gdyby w szkole ludowej na góralczyźnie wprowadzono naukę gwary miejscowej. Wtedy z pewnością szkoła polska, ani napływ gości letnich nie zagrażałyby gwarze zanikiem.

Stanisław Witkiewicz, jeden z głównych miłośników góral-szczyzny i ojciec „stylu zakopiańskiego,“ zaznacza ¹⁾ piękność, bogactwo wyrazów i form gwary tatrzańskiej, która „pociąga urokiem swoich archaizmów z echami Orzechowskiego, Kochanowskiego i znacznie dawniejszych form języka polskiego.“

Kazimierz Przerwa-Tetmajer w 4 cyklu „Na Skalnem Podhalu“ zowie tę mowę „klasycznym narzeczem wszechgóralskich polskich,“ uznając ją za „najsławniejszą z gwar polskich.“ Pisze on: „Mowa to nie tylko góral-ska, mowa to w wielu, wielu szczegółach staropolska, w wielu szczegółach dawna mowa narodu i taki „Ogród fraszek“ Wacława Potockiego roi się poprostu od tego, co dziś się nazywa góral-szczyzną. I dobrzeby było, aby ta gwara, tak odrębna, tak bardzo piękna i dźwięczna a tak bogata, coraz więcej wzbogacała sobą nasz język literacki.“

Potrzebę tą odczuł już w pierwszej połowie ubiegłego wieku Ludwik Zejszner, który we wstępie do wydawanych przez siebie pieśni podhalskich ²⁾ mówi, że „pieśni Podhalań wprowadzają do języka naszego nieznanne wyrazy, dotyczące się górskich stosunków, których wypadnie terminologię geograficzną układać.“

Wyraźniej i dobitniej wypowiedział po nim tę myśl S. Goszczyński: „Pisarze nasi—mówi on—powinniby przez swój własny interes zająć się mocniej nauką tej rzeczy. Słownik góral-skich przedmiotów świata góral-skiego jest, według mnie, w naszym języku książkowym dosyć ubogi, nie zdąża w tem za innymi językami, posługiwać się nieraz musi nazwami obcemi albo określeniami; kto wie, czybyśmy go nie wzbogacili, gdybyśmy się lepiej obeznali z mową tatrzańską.“

Z pewnością mogliśmy z tej gwary zaczerpnąć niepospolicie nowej siły, gdyż bogactwo jej wyrazów we wszystkim, co należy do świata góral-skiego i z życiem ludu góral-skiego posiada tylko jakikolwiek związek, jest zaiste ogromne, podziwu godne.

Bogactwo jej słownicze, obejmuje wszystkie gałęzie życia góral-skiego i cały zewnętrzny świat je otaczający. Zasób wyrazów, w szczególności ziemiopisnych i miejscopisnych zdumiewająco obfity, a wszystko to wyrazy własne, od nikogo niezapożyczone a dźwięcznie brzmiące i trafnie rzecz określające, z ogromnie ściśniętym odróżnieniem i różniczkowaniem w miarę często ledwo dostrzegalnego przymiotu, nacechowane ogromną bystrością spostrzegawczą, —

1) „Z Tatr.“ Lwów, 1907.

2) „Pieśni ludu Podhalań czyli góral-ski tatrzański.“ Warszawa, 1845.

wyrazy, których w większej części język nasz nie posiada zgoła i które trzeba określać kilkoma lub nawet kilkunastoma słowami, jeśli nie są zapożyczone z obcych języków, jak np. żleb, żlebek i żlebik: wązkie koryto na zboczu góry lub pomiędzy dwoma górami, z potokiem albo bez niego; jeśli ten skalisty parów jest już szerszy, zowie się już żlobem, a gdy szerszy parów idzie w kierunku bardziej do pionowego zbliżonym nosi nazwę komina; wklęsłość zaś na wierzchu góry zowie się żlebina; regiel oznacza lesisty wierzchołek góry, a regle—lasem pokryte podnóża gór wysokich, rygiel—odnoga skalista; plosso—głębokie miejsce w rzece, gdzie jest nagły spadek wody, dziura wybita wodą w rzece, także jezioro głębokie; ziabica—to skała wilgotna; kopa—góra zaokrąglona lub wierzchołek góry okrągławej; graźnia—dziura w skale lub w ziemi, grotą, graźń zaś ciemna jama; płaśnia—łąka wśród lasów; śicgalina—łąka z lichą trawą lub łąka z lichym zbożem; wysiecisko—pole długo ugięte leżące z lichą trawą, a wyrobisko—miejsce, z którego las zupełnie uprzątnięto; przegonisko—droga do wygonu była pomiędzy polami; hyrb zowie się spadziście wzgórze, a hyrba—grzbiet gór; borowaczna—bagnisko grzązkie w górach, porośnięte mchem i kosówką, w którym człowiek może się utopić; kamienice—brzeg potoku kamieniami zawalony lub część jego łożyska kamienista, sucha przy zwykłym stanie wody; styr-znik—niewielkie wzniesienie pomiędzy dwoma potokami; wygonisko—miejsce w górach, z którego woda zmyła warstwę ziemi urodzajnej, pozostawiając żwir lub gołą skałę; zapik—miejsce na turni z rozległym widokiem a z zabezpieczonym tyłem, które zwykle zajmują kozice, stojące na straży; wywierzysko—wielkie źródło w wielkich wapiennych dolinach tatrzańskich, z którego woda odrazu wytryska wielkim strumieniem; gromówka—kamień rozsypujący się w żółtą glinę; rypa—wielkie rumowisko skał zarosłe; rumiska—porozrzucone w nieładzie głazy, różnej wielkości, w górnej części doliny górskiej, pod samym grzbietem góry, jedne na drugich leżące; bule—piętra powstałe w Tatrach przez połączenie się boków dolin za pomocą poprzecznych otworów w skałach, które, opierając się erozyi, dzielą dolinę na osobne, coraz wyższe piętra i t. d. i t. d.

Z wyrazów tego zakresu może korzystać nie tylko nasz język, lecz także nasz słownik naukowy.

Nie mniej obfity zasób wyrazów ma gwara w dziale meteorologicznym. Dla oznaczenia różnych stopni i rodzajów śloty używa góral wyrazy: skasielina, siępawica, siompa, psota, pluta, papracka, mokwa, kwaśba, fujawica, ciabraha, ciabracka; deszcz

i śnieg u nich: ciabrzy, zafuja, trzepece, papracy, siąpi, rumoli i ramoli, przypirsa, płuzy, pirli, kida, pyrsci, pluci i durka, co zależy od tego, jak pada i kiedy; burze i nawałnice zowie góral: burka, tucza, zlewka, cyrniawa, siekawica i siekanica, paškawa, naremnicza, lić, lejba, kurniawa i kurniawica, fujawica i hucba—wedle tego, jaka burza lub nawałnica, lub z której nadeszła strony. Wiatry noszą też różne nazwy. Jest wiatr: halny, wałowy, falisty, mięgowy, maćący, lub od strony, z której dmie: wyhodny, południowy, zahodny i północny; jest też: wiher, powiher i powichrzyca; dujawica ozkostuje (rozdziela) watrę (ognisko) na zogliki (płomyki) a latawiec (trąba wietrzna) nakroca w lesie, co znaczy, iż miejscami łamie drzewa lub wyrwa je z korzeniem. Chmury czerwone przy zachodzie słońca zowią zapyry, a spolszczona lawina nosi własną nazwę obwał, tak samo kwadra miesiąca zwie się po swojsku wietek, jako też własne nazwy posiadają poszczególne kwadry, jako to: nów, na pełni, po pełni i na wietku, zaś wyraz śródpolu oznacza równy czas pomiędzy wschodem słońca a południem, równie też kierunek wschodnio-południowy, podczas gdy śródwiecz przypada na równy czas pomiędzy południem a zachodem słońca, oznaczając zarazem kierunek południowo-zachodni. Nie brak też w gwarze nazw dla oznaczenia pewnych konstelacyj gwiazd, jak: sraga, kos, wilkołak i t. d.

Miesiące roku noszą też odrębne nazwy gwarowe, z których w szczególności nazwa kwietnia — budzikwiatem a także łudzikwiatem, nazwa grudnia — godnikiem, a lutego — gromnicnikiem, zasługuje na uwagę.

Gwara posiada dużo sobie tylko właściwych zwrotów i sposobów mówienia, nacechowanych jędrną zwięzłością. Góral mówi np. rywac ryje bór, co znaczy: człowiek, kopiący torf, wydobywa na torfowisku cegiełki torfu. To prawie stenogram głosowy. Nie brak licznych wyrażeń obrazowych, jak np.: Wysła mi pstra sroka, co znaczy: skończyło się dla mnie na niewielkiej biedzie, albo: iść z kijami za psami — iść w poniewierkę, hodzić z bębnami na zające—robić bez potrzeby hałas i t. d.

W gwarze znajduje się, prócz licznych przezwisk, przeszło 300 rozinaitych nazw dawanych człowiekowi podług jego przymiotów duchowych, fizycznych i charakteru, jako znamionujące go jędrnie. Oto niektóre z nich: pokłęba (natrętny), pokłębnik (niezgodny, wadliwy), pazdernik (chciwy), papara (pijak), paprznia i setniak (kretyn), babroń (szkodnik), babrac i babrak (źle robiący), bawa (małego wzrostu), bogoń (dąsający się), bizwa (nie wielki a niezgrabny), besgont (bardzo gruby), bezera (bezu chy),

behlak (mówiący prędko a niezrozumiale), parda (dziewczyna nieporządna), smotrak (niechlujny), ździorba (łakomy), zgłoba (rzędzący nudziarz) i zagłoba (zawalidroga), cehrak (drapiący się co chwila po ciele), dziawraga (nędznik), dyrdac (potrzęsający się w biegu), skrzek (ciągle narzekający lub ciągle się o coś upominający), skrzęta (uparty), skucina (małego wzrostu), smętek (urwis), przehyra (przechwalający się), mersena (drab), matoga (kłótnik), niepilak (obcy, przybysz), koloment (plotkarz), kołdos (obżartuch), kiściak (słabowity), karapetniak (głupkowaty, niezdara), kałkuśnik (złodziej), posmyncik (mający pociąg do złodziejstwa), kurta (nie-mający palca u ręki albo u nogi), gramata (opieszaly), gizd (nieporządny), gibas i gibcak (wysoki), garazda (niespokojny), gajdos (nie idący prosto na nogach), obol (próżniak), obsirkar (fałszywy), oceświak (niezgrabny), wargac (z wielką gębą), papez i papezniak (zgłupiały) i t. p. i t. p.

Chociaż podług góralskiego przysłowia „na Podhalu głód się zaczyna“ i góral tatrzański głównie żywi się nabiałem, spotykamy w jego gwarze stosunkowo dość nazw, któremi swe potrawy określa, jako to: bryja, warmuz, sapka, zur, kwaśnica, parzenica, rozmaite kluski, moskal, watrzniak, zaciorka, spyrcone grule, kałuski, kulas i t. d.

Istnieje też w gwarze dużo wyrazów swojskich, które w języku polskim oznaczamy rażąco obczyzną, jak np.: śróć — po tatrzańsku brok albo biegunki, spichrz — sąsiekka albo sypaniec, szuter — rumek, ladsztok (przy strzelbie) — rymac, lejce (w uprzęży końskiej) — powodki albo powocki, koc — pokrowiec, kloc (drzewa) — tram, fałdy — zbiery albo podpinki, spiżarnia — pitwor, stal — ocel, haftka — kobyłka, ufnal (gwóźdź przy podkowie końskiej) — kliniec, frendzle — kistki a bukiet — kistka, szwagier — dziewczerz, torf — bor i brzyzek, kresy przy kapeluszu — skrzele, fartuch — zapaska i t. d.

Choroby, posiadające w języku polskim przeważnie nazwy zapożyczone z obcych języków, zowią się na góralszczyźnie swojsko, jako to: astma — cemir albo duhota, dysenterya — cerwonka, nabrzmienie gruczołów limfatycznych — ciemierz, febra — zimna, zimnica, hłodna i kostna, kaszel — krzypota, reumatyzm — łomka albo postrzał, konwulsje — niewolnica, niewolna moc i padacka, tyfus — łożnica, dyferya — studzielnice, letarg — przeumarcie i t. p.

Wrona męskiego rodzaju zowie się wron, a sarna — sar.

Niem mało jest też w gwarze jej tylko właściwych wyrazów, jak np. zoglik (płomyk z ogniska rozdzielony podmuchem wiatru), zrucno (widno przy świtaniu porannem o tyle, że można już odróżnić przedmioty od siebie), posynąć (cierpieć ból w krzyżach),

stepnąć (przystanąć ze strachu), pawęż i pawężnik (drag i sznur na wierzchu woza naładowanego sianem, przymocowujące je przy wiezieniu, by się nie rozlatywało), kluka (żerdź z hakiem do wyciągania wody ze studni), grozda (rodzaj żłobu poniżej głównego żłobu w stajni dla koni, do którego kładzie się siano), guzwać (łajac kogo bez powodu), dor (jedzenie noszone po chrzcinach przez kumotrów do domu rodziców dziecka), porunić się (zaziełnić się z wiosną), brość (zawiazki nowych liści na bukach, przydarzające się w jesieni), morowica (krew zmarłego człowieka), kiernozić się (dokazywać w zabawie), porwaśny (skłonny do kradzieży), paškawa (złość), cyrgiel (próchno drzewne), dragi (liche odzienie, łachy), gągol albo zabol (podgardle u ptaka), jar, jarz (wiosna), jarzec (jęczmień), jaz (skała wystająca z dna potoku, tworząca spadek wody), iścizna (kapitał, pieniądze), merdać się (kołysać się), międza (najgłębsza część naskórka), myrsina (brzydactwo), naremnny (gwałtowny), orulić się (przyjść na myśl), otok (surowica), otupno (strasznie), pitwać (patroszyć), parazdzić (śmiecić), pełt (tratwa), pępowica (czysta trawa), pieleso (barłóg w chlewie), plekać (karmić dziecko przy piersi), płony (biedny, lichy), boskać (całować), podbarbić (pokrzepić się jadłem lub napitkiem), pohibość (lekkomyślność), pokłęba (niezgoda, kłopot), porny (mocny, tęgi), poskarpny (niemogący jeść prędko), rzonie, rzonnie (wiele), sarłooki (zezowaty), styrbny (niebezpieczny), suny (przystojny, okazały), sybały (energiczny), tulcyć (karmić, pielęgnować), usłaknąć (zmarnieć, zginąć), wozgry (smarki), wrodzić się (brzydzić się) a wrodny (brzydki), zasepny (nielitościwy), zdurzyć (spuchnąć) i t. d.

Nie brak też takich wyrazów, które mają w gwarze inne znaczenie, aniżeli w języku polskim, jak np.: dumny znaczy dumny, pyszny; ciekawy—pilny, chętny; godny—duży, wielki; hytry—rączy, szybki; pasieka—pastwisko; potrawy—siano lub rośliny pastewne; skrzętny—niecierpliwy, gniewliwy i t. p.

Płaskędz oznacza płaską stronę przedmiotu w przeciwstawieniu do krawędzi. Górale mówią: Płaskędzią—hajba krawędziom go nie bij, bo mu wnet kości połamies.

Nadzwyczaj bogato przedstawia się słownictwo gwarowe w pasterstwie, jako też w rzeczach, odnoszących się do chowu bydła i gospodarstwa mlecznego. Zaspakajanie popędu płciowego zowie się u kłaczy bić się, u krowy—biegać się, u owcy—ścigać się, a u świni—halukać albo huceć się; gdy kłacz poroni, to poruca, gdy to samo stanie się u krowy albo owcy, to zjałowiła. Przeszło 60 różnych nazw istnieje, dawanych krowom podług róż-

nic, zachodzących pomiędzy niemi. Gdy krowa bardzo ułaskawiona, zowią ją Mazulą, gdy posiada maść podobną, jaką nabierają przedmioty przy okopczeniu się, wołają ją Koplina, gdy jest bez rogów dostaje miano Siutana, a gdy ma maść białą z popręgami cisawemi, to Bakiesista. Przy innych przymiotach zowią się: Kornuka, Kisior, Barwina, Bawala, Niedzicha, Sobula, Pistrula, Apcula, Okaista i t. d.

U strysek (owiec) podobna rozmaitość nazw. Bacowie¹⁾ i juhasi²⁾ wołają je: Jarka, Zmudz, Ganiata, Siwka, Mucula, Kurnotka, Liskajka, Kurta, Byrka, Starka, Margasista i t. d.

Nie mniej obfity zasób wyrazów w myśliwstwie i leśnictwie, jako też w drzewnictwie. Cyrkla—drewno w lesie powstałe wskutek obdzierania drzew z kory; drapa—mały, rzadki lasek świerkowy; gan—miejsce ścięcia drzewa od pnia, a rzas—miejsce, przez które przechodzi piła, przecinając tram (kloc) na deski; siadaki—tramy, na których siadają juhasi do dojenia owiec; łupawica—rozpołowiony pień drzewa; razy—na pół przegniłe tramy; podpłatnice—rodzaj belek; zórawiec—nadpróchniałe drzewo; wirhowiec—wierzchołek drzewa; starka—drzewo zbutwiałe; sosrąb—bardzo gruba belka; siecisko—las zasiany w rąbanisku; suharz, suharcyk—uschłe drzewo; scelina albo scypa—kawałek drzewa odrąbanego z polana; sarowka—tarcica do krycia dachu; rzyźnia—z trzech desek zbite koryto do spuszczenia polan z góry; kolenica—drzewo pocięte na wszystkie strony; karkoska—smolny sęk w drzewie; pełty—ścięte drzewa w lesie; palisko—drzewo na opał; pałazajta—czwarta część grubego drzewa, rozłupanego w podłuż, grubości dwóch polan; oduziemice, odziomek—pień drzewa; miła—stos drzewa ułożony do palenia węgla; skrzęk—część drzewa w lesie zwrócona ku północy i t. d.

Sporo też posiadają górale nazw dla noszonych toporków i lasek. Odróżniają oni: ciupaga, wałasek, watlarz, wahlarz i watażka pomiędzy toporkami, a rozmaite laski i kije zowią się u nich: patyka, smalcak, bukowiec, sperulec, sękowiec, watrzał, siekaniec, obłak, kostar i kostyra, buńkos, kuła, kijanka, kulmaga, koziorka, karkoska, palica, spełstek i kijoso.

Ogromne bogactwo słownicze w budownictwie wykazał Matlakowski.

¹⁾ Starszy pasterz owiec w szałasie na hali, rządcą szałasów.

²⁾ Pasterz owiec, podwładny bacy a zwierzchnik chłopców pasterskich, homelników.

Rolnictwo przedstawia się równie jako wielce zasobne w wyrazy własne. Góral odróżnia między ziemniakami: kulaski, symcycka, ganówki, burawki, siwe i jakobowki; między owsami: widyniak, gruboziarnisty, małajcak, klecak, rychlik i polownik.

Bogactwo słownicze obejmuje wszystkie potrzeby życiowe ludu góralskiego, niemniej też wszystkie gałęzie zajęć, a więc też upowszechnione w góralszczyźnie rzemiosła. Na szczególną uwagę pod tym względem: tkactwo, młynarstwo, rzeźbienie drzewne, kołodziejstwo, ciesielstwo, garncarstwo, wyrób wszelkich przyborów z drzewa, stolarstwo, krawiectwo i szewctwo.

Dla dania wyobrażenia o nadzwyczajnej słowniczej zasobności gwarowej przy rozmaitych nazwach technicznych, wystarczy przytoczyć, jako przykład, nazwy części składowych warsztatu tkackiego, zwanego stojakami. Składa on się z brzuchaca, synki, nicielnicy, karkulca, darmowisa, trybulca, cófenka z cwakiem, zawoju, podnoza, cewki, bardzioska, surówki, koła z trybami, ozpinki, wału z trybami, kolusek, bica, rytki, spularza, snowarki, widełek, suk, cołka, snowadła, gib i płócienska—dwadzieścia swoich nazw technicznych, między którymi tylko spularz przypomina niemieckie *spullen* i tryby—niemieckie *treiben*.

Gdy jesteśmy przy wyrazach, pochodzących z obczyzny w gwarze tatrzańskiej, należy zaznaczyć, iż jest ich w niej nadzwyczaj mało, a większość ich wcisnęła się do mowy górali dopiero w nowszych czasach. Do najbardziej upowszechnionych należą: poki—ospa, frajer i frajerka—kochanek albo kochanka, matura—chęć albo zdolność do czego, despet—żart, złość i kilka innych, które atoli razem wzięte można policzyć prawie na palcach rąk. Natomiast gwara tatrzańska nie zna podobnych brzydkich barbaryzmów niemieckich, jak: wasserwaga, szpongówka, colsztok, holajza, stechzeza i t. d., jakie się gnieźdzą w języku polskim, bez wszelkiej potrzeby, a których zawsze jeszcze nie możemy się pozbyć.

Mówiąc o słownictwie mowy góralskiej, nie należy pominąć milczeniem znajdujących się w niej wyrazów, tak zwanych „wałaskich,” które znamienne znajdują się w większej lub mniejszej ilości we wszystkich narzeczach morawskich, słowackich i małopolskich, a nawet w górskich małoruskich, właśnie na ziemiach, które tworzyły państwo Morawskie. W okoliczności tej widzę jeden dowód więcej, iż ludy na tych ziemiach nie tylko w pierwotnych czasach, lecz nawet w czasach dziejowych, tworzyły jedność narodową albo raczej językową. Wałaskie wyrazy w gwarze tatrzańskiej są następujące: baca—starszy pasterz na hali, zwierzchnik szałas;

bakro—dzwon koła; banior—większy wir wody; basarunek—okup za wyrządzoną szkodę; banować—żałować; bisagi—worek z otworem w środku do przewożenia mleka na koniu; biskura, biskurcja—przekleństwo; bryndza—ser owczy solony; bugar—duża mucha końska; bunda—wierzchnia sukmana, rodzaj culi; bustrynek—obrączka na główce koła wozowego; cuha—wierzchnia krótka sukmana; dzer—cienka serwatka; gieleta—naczynie do dojenia owiec; grapa—stromy grzbiet wzgórze; harwa—krzyk, hałas; hasen—zysk; hotary—duża przestrzeń ziemi; hurda, urda—najtłuszcześniejsza żętyca; huzew, huzdew—obręcz z młodego smreku; hyr—rozgłos, sława; jafery—krzaki czarnych jagód; jata—podręczna szopa; juhas—pasterz owiec na hali; kieltować—wydawać pieniądze i kielcyk—wydatek; kurnasisty—rogaty; kułastrą—pierwsze mleko krowy po ocieleniu się; kira—zakręt; kierdel—stado; klag—żołądek cielęcy używany jako podpuszczka do mleka przy robieniu sera; kłagać—robić ser za pomocą kłagu; koliba—schronisko w górach; kucma—czapka barania; kierpce, kyrpce—obowie wykrojone z jednego kawałka skóry; korhel—łotr; mizra—mięśna część skóry; mosur—naczynie wydrążone z drzewa; nart—podbicie w stopie ludzkiej; piarg—usypisko drobnych kamieni w górach; podysar—półka na ser w szałasie; puciera—naczynie na żętycę; redyk—wyprawa bydła na wiosnę w hale i powrót jego w jesieni do domu; salas—mieszkanie zbudowane z okrągłaków dla bacy i juhasów na halach, gdzie też prowadzi się gospodarstwo mleczne; satra—schronisko z gałęzi, wsparte na żerdziach dla ochrony bydła; serdak—krótki kożuszek bez rękawów; singar—pukawka na biczu pasterskim; siuty—bez rogów; skurłat—wymię; suhaj—młodzieniec, parobek; watra—ognisko; wahon—duża drewniana miska; żętyca—serwatka owcza i inne jeszcze.

Miklosich ¹⁾, L. Malinowski ²⁾ i Kałużniacki zaliczają jeszcze do tego rodzaju wyrazów następujące: strąga—otwór w koszarze, którym owce wypuszczają się do dojenia; strzyga—naziemska istota w wierzeniu ludowym; sumar—osiół; cetyna—igliwie; Magora—nazwa góry, powtarzająca się w Tatrach i Karpatach; silła—bagnó mchem i kosówką porośnięte; ciura—dziewka, włoka; rokita—roślina; gajdos—zgarbiony człowiek; gruń—pagórek; merka—zła kobieta; pyrć i perć—ścieżka w górach; kasanka—spód-

¹⁾ Wanderungen der Rumanen.

²⁾ „O niektórych wyrazach ludowych polskich.“ Rozprawy i sprawozd. Wydziału filolog. Akad. Umiejętn. Serya II, t. 2. Kraków, 1893.

nica; fujera—fujarka; harnadź—dowódca zbójników; kosar—ogrodzenie dla owiec na otwartem miejscu; miercuda—zapas żywności i miercudzić—przeżuwać; porny—mocny i putnia—naczynie drewniane używane do pojenia bydła.

Zdaniem mojem czynią to wyżej wymienieni niesłusznie, gdyż wyrazy: straga—po morawsku stranga, po małopolsku stranka, po serbsku struga, po polsku strągiew; cetyna—Cetynia, stolica w Czarnogórze; Magóra—ze źródłosłowem góra; rokita—o której pochodzeniu wałaskiem powątpiewa sam Miklosich wobec twierdzenia Kałużniackiego; merka—znajdująca się równie w czeszczyźnie, wolnej od wyrazów wałaskich; pyrc—o której Miklosich twierdzi, że to „pierwotnie słowiański wyraz“; kasanka—widocznie pochodząca z kasania się, podkasania się; fujera—powstała z duhać, hujać—dmuchać, hujawica, dujawica i fujawica—zawierucha; harnadź—pochodzący ze słowiańskiego wyrazu harny—tęgi, pyszny; porny—w starosłowiańskim języku pora—siła; sumar—w starosłowiańszczyźnie somar—osiół, są bezsprzecznie czysto słowiańskie, pozostające zaś: sihla, ciura, gajdos, gruń, kosar, miercuda, mogą nawet pochodzić z obcych języków, lecz żeby koniecznie miały być wałaskie, tego nie widzę żadnej jasnej przyczyny, zwłaszcza, iż np. wywód Miklosicha wyrazu gajdos z rumuńskiego *haitu* (suka)—Miklosich a za nim Malinowski identyfikują „wałaszczyznę“ z rumuńszczyzną—nie przemawia wcale do mego przekonania, a miercuda znajduje się w madiarskim języku i z niego łatwo mogła przejść do gwary tatrzańskiej, zaś: sihla, ciura, gruń i kosar brzmią wcale dobrze po słowiańsku.

Pod żadnym atoli warunkiem nie mogę się zgodzić z utożsamianiem wałaszczyzny z rumuńszczyzną, pod którą w językowym kierunku należałoby przypuszczać łacinę, jako matkę rumuńszczyzny, a z powyżej przytoczonych wałaskich wyrazów zdołali najgorętsi zwolennicy rumuńszczyzny wyprowadzić z największym mozolem zaledwo trzy wyrazy, jako wrzekomo z łaciny pochodzące, mianowicie: kurnasisty z *cornus*, chociaż niemiecki *Horn* (róg) z tym samym źródłosłowem, co *cornus*, wskazuje na aryjską wspólność tego wyrazu, następnie kulastra z łac. *culastrum* i fujera z *fluire*, czemu przecistauiłem inny wywód.

Wałaszczyzna rozprzestrzenia się na rozległych ziemiach, obejmując Górny Śląsk, Małopolskę, Morawy i Ruś podkarpacką, a przez Tatry, Bieskidy i Karpaty przechodzi do całych Górnych Węgrzech, na Słowaczczyznę. Dzieje zupełnie nic nie wiedzą, żeby Rumuni mieli kiedykolwiek zajmować tak wielki obszar, a tak samo o przebywaniu ich w Bieskidach i Tatrach nie przechowały

żadne dziejowe dowody, zaś okoliczność, iż powyższe właskie wyrazy, mające analogie słownicze w rumuńskim języku, mogą chyba dowodzić tylko tego, że w rumuńskim języku, zaliczającym się do romańszczyzny, obok notorycznego, dość silnego podkładu słowiańskiego, tkwią nadto wspólne z językami słowiańskimi pierwiastki przeddziejowe, które mogłyby pochodzić od Keltów, zwanych przez Słowian Włachami, lub też od Daków, o których wiemy, że po podbiciu Dacyi przez Rzymian opuścili tłumnie dawną swoją ojczyznę, ciągnąc w Karpaty, gdzie szukali schronienia przed rzymskimi najeźdźcami.

O rumuńszczyźnie wyrazów właskich, w rozumieniu pod tem Rumunów i ich dzisiejszego romańskiego języka, żadną miarą mowy być nie może.

II.

Wielce pociesającym objawem jest, iż zaczyna u nas powstawać gwarowe piśmiennictwo tatrzańskie. Niwa ta w Polsce do niedawna leżała odłogiem, bo prócz kaszubskiej literatury gwarowej, reprezentowanej przez d-ra Cenowę i Derdowskiego, nie posiadaliśmy prawie nic więcej. Dziś wybiła się już tatrzańska literatura gwarowa na pierwsze miejsce, a jako posiadająca wszelkie warunki rozwoju, zapowiada się jaknajświetniej. Wnikając bliżej w jej istotę, trzeba ją podzielić na dwie części, mianowicie na ustną i na pisaną, chociaż obydwie łączą się ze sobą jak najściślej, pierwsza będąc rodzicem drugiej.

Do *literatury ustnej* zaliczam: przysłowia, zagadki i łamigłówniki, pieśni, wierzenia, bajki, podania i opowieści, żyjące w uściech ludu, a nacechowane niezrównanym wdziękiem prostoty, jedną oryginalnością, nadzwyczajną pomysłowością, niepospolitą bystrością umysłu i daru spostrzegawczego, szczerą i śmiałą otwartością, nie znającą prawie granic; nadto zaś przebłyskami głębszych myśli, jakoteż zdrowym a czerstwym humorem i dowcipem.

Zaczynam od przysłów, zwanych po góralsku „przymowami.“ Jest ich bardzo pokaźna liczba, a obejmują one swoją mądrością całe życie ludu. Wielka w nich rozmaitość. Życiowe doświadczenia i trafne spostrzeżenia górują. Głoszą one, że „bida cleka pokłamię i lnet wyglupi,“ a „świecka docka sie wieciora,“ że „bida

ma rogi a hleb nogi," że „fto drogi prostuje, ten doma nie nocuje," zaś „fto stuka pode ściany, ten wystuka swoje gany," że „gazdzina trzyma trzy węgły w hałupie a gazda lem ¹⁾ cworty," że „u skapego zawdy po objedzie a u leniwego po robocie," zaś „własna fała ²⁾ u drzwi stała, dali nie sła, bo sie bała," że „wte na grzibi hodzom, kiedy rodzom," a „ptak nie tego, co go wi, ale tego, co go zji," znowu „na obłudzie daleko nie pódzie," „jeden sie sydłem ogoli, drugi brzytwom nie może," a „sława ze ławą, jakby siad, toby spad," „smutne serce gorsze, niż horost ³⁾, pilniej ⁴⁾ cłeka uśmierzci," zaś „lepi z brzyćkim pod pierzynom, jako z ładnym pod jedlinom," „słowko wróblem wyleci a wrca wołem," „gdzie nima gazdy, tam głupi kazdy" i „lepsa cnota w błocie, jak niecnota w złocie," a „ostatnie wilkiem orać."

Głęboka myśl przeziera z następujących przysłów: „Jakiegos mnie Panie Boze stworzył, takiego mnie mas." „Sen śmierzci brat, ale dobrej rady ociec." „Wyzeń ze siebie smutek, to ci i zycie bedzie milse." „Ociec Stary nim świat stworzył, to wiedział jako na nim bedzie." „Z turbacyi a ze smutku krew do serca uhodzi — a jakze jom gonie? — heba weselem." „Zycie cłeka dobre, godne, ale nie wygodne; co fto temu winy ⁵⁾, ze żyć musi."

Wiadomą jest rzeczą, iż lud góralski jest bardzo bogobojny i religijny, mimo to odzywa się w niektórych swoich przysłowiaach ze śmiałą a prostą szczerością, prawie zdumiewającą:

„Každy święty
ma swoje wykręty."

„W Boga wierz,
dobrze mierz,
będzie zwierz."

„W Pana Boga wierz, ale mu nie wierz." „Z Paniezusa ⁶⁾ się nie spuscaj, ale rób, jak ci kaze stary obycaj." „Nadzieja w Bogu, hleb w torbie."

Z drugiej strony przemawia szczerą bogobojność z przysłów:
„Jak się Bogu nie sprzeciwisz, to nie zginiiesz."

„Hoćbys siedział w zelezie,
to cie Panbóg nalezie."

„Kany ⁷⁾ w imie Boze dwók, tam Panbóg trzeci."

„Wola Tego,
co świat jego."

¹⁾ Tylko. ²⁾ Chwała. ³⁾ Choroba. ⁴⁾ Prędzej. ⁵⁾ Winien. ⁶⁾ Na Pana Jezusa. ⁷⁾ Gdy.

Nie brak też łagodnych utyskiwań społecznych, jak tego dowodzą przysłowia:

„Hłopskie miary
Nie majom wiary.“

„Hereśt nie lo panów.“ „Hudy do budy, tłusty do kapusty.“

„Cego panowie nawarzom,
tem sie hłopi poparzom.“

Z niektórych przysłów błyska patryotyzm, jak: „Kazdy ptak gałgan, co do swego gniazda paskudzi.“ „Nie bij świętej ziemi, bo by cie nie przyjena.“

Zdrowy i czerstwy humor tryska z przysłów: „Co głupiemu po rozumie, kie go nima.“

„Dobrze temu, co nie nima,
bo sie wyśpi, nie wydrzyma.“

„Dziad o hlebie, baba o fijołkak.“ „Górala stworzył Panbóg, góral sie wys...ł, a z tego g...a zrobił się Miemieć.“

„I ja hory i ty ni móg,
a z garka tak jakby wymiót.“

„Kie ja mam,
to zjem sam;
kie ty mas,
to zjizdmy wraz.“

„Koło koło kościoła, a osi we wsi.“ „Mądry jak Maćkow kot, co swiecke zjad a hodził po ómaku.“ „Po bryji ¹⁾ nie bees ²⁾ wykłówał zęby.“

„U gdowy
hléb gotowy,
serce zakaliste;
u panny hleba nima,
ale serce cyste.“

„Wcero mróz, dzisiaj mroz,
dobre kluski
bez pietruszki,
ino masła włóz.“

„Z ładnyj miski bida jeść, kie je prózna.“

„Widelcami ładnie,
ale rado spadnie;
palicami brzyćko,
ale zje sie syćko.“

Zagadki i łamigłówki cechują te same zalety, nadto odznaczają się one niepospolitą bystrością umysłu i nadzwyczajną pomysłowością. Oto niektóre z nich:

¹⁾ Rodzaj papki z owsianej mąki. ²⁾ Będziesz.

Jaki święty ma dwie głowy, dwie dusze, dwa serca, śtyry
ocy, śtyry nogi, a nie był w niebie? (Św. stan małżeński.)
Jakiego drzewa nawienzył ¹⁾ w lesie? (Okragłego.)

Pełna becułka wina,
a obrącki na nij nima.

(Jajo.)

Cemu wrona leci do lasa? (Bo las do nij nie przyleci.)
Co to jes, co hłop często widzi, król rzadko, a Panbóg nig-
da? (Hłop widzi hłopa często, król króla rzadko, a Panbóg Pana-
boga nigda.)

Jak ma wodę, pije wino, a jak nima wody, pije wodę.
(Młynarz.)

Ftóry święty najtłuściejszy? (Olej święty.)

Ftóry święty ma ogon? (Duch św.)

Co na świętyh w kościele? (Kurz.)

W lesie było, liście miało,	Serce niciane,
przyszło na wieś, zabecało.	ognista głowa,
	a ciało na tem wól,
(Basy.)	albo krowa.

(Świeca.)

Wesołe drzewo, wesoło śpiewa,
koń na baranie ogonkiem kiwa.

(Gęśle—skrzypce.)

Dwa syny i dwa ojce
zabili trzy zające,
a kazdy niósł jednego,
choć nie było ewartego.

(Dziad, ojciec i syn—dziad i ojciec dwa ojce, ojciec i syn dwa syny.)

A rosło se w lesie i zieleniało,	Święta Ursula
a teraz nosi duse i ciało.	perły rozsula,
(Kołyaska.)	miesiącek widział,
	nie nie powiedział,—
	słonecko wstało,
	pięknie pozbierało.

(Rosa.)

Góralskie pieśni ludowe są po największej części krótkie,
dwi lub czterowierszowe, przypominające często swoją formą kra-
kowiaki, chociaż śpiewane są na zupełnie inną nutę, w większej

¹⁾ Najwięcej.

części smętną. Jest ich niezliczone mnóstwo, istotnie niezliczone, gdyż dotychczas nikt ich nie zebrał, chociażby w przybliżającej całości. Mamy tylko cząstkowy ich zbiór, dokonany przez L. Zejsznera, garść ich podał Sew. Goszczyński w swoim „Dzienniku podróży po Tatrach,“ wiele ich jest rozsypanych luźnie u A. Wrzeźniowskiego¹⁾, St. Witkiewicza²⁾, K. Przerwy-Tetmajera³⁾ i innych jeszcze, lecz wszystko to tylko w rozrzuceniu i nie obejmujące bynajmniej całości pieśni ludowej w Tatrach. Niestety, pominął ją też Kolberg w wiekopomnym swoim dziele „Lud.“

Janosik, słynny harnadź zbójnicki⁴⁾, żyje w licznych pieśniach jako istny bohater ludowy. Wielbią jego męstwo i nadprzyrodzone dary, a sławią przede wszystkim, iż bogatym zabierał mienie, a dawał je biednym, klnąc zdrażliwej kochance, która wydała go „liptowskiom panom.“ Do zbójnickich pieśni należy podana przez Goszczyńskiego i Zejsznera pieśń „Mąż zbójca,“ zaczynająca się od słów:

„Hańciu moja, pudź do domu,
wydam ja cię nie wiem komu;
wydam ja cie Janickowi,
hej, walnemu zbójnikowi“—

zakończona straszną katastrofą, gdy zbójnik, jej mąż, zasłyszawszy jak ona, po odkryciu zabójstwa swego najmłodszego brata, kołysząc syna śpiewała:

„Lulaj, bubu, synu mój!
nie bądź tak, jak ociec twój.
Na kuski bym cie siekała,
Orłom, krukom rozsypała“—

rzekł jej: „Oblec, Handziu, drogą satkę, a pódziemy na przechadzkę,“ wywiódł ją „za rucycku ku gaicku, ocka carne jej wydłubał, rącki białe jej odrubał,“ a gdy „rozpłakał sie syn jej młody,“ mąż zbójnik zawołał do niej:

„Wstańże, Hanciu, przemilena,
pudź, otul twójego syna.“

Poczem

poszedł w skały, lasy;
i nima go po te easy.

¹⁾ „Tatry i Podhalanie.“ Kraków, 1882. ²⁾ „Na Przelęczy.“ Warszawa, 1906. ³⁾ „Na Skalnem Podhalu.“ ⁴⁾ Przewódca rozbójników.

Goszczyński mówi o tej pieśni, że „jedna z najpiękniejszych“ pieśni ludowych, „niewoląca prostotą, rozdzierająca głębokiem czuciem, okropna całą osnową,“ nie przedstawiająca „żadnego braku, żadnej skazy: jest wykończona w każdym szczególe, równie jak w całości, z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartem i w swoim umyśle prostym, dlatego jasnym—do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwem imieniem.“ Zaleca on dalej brać tę pieśń „za wzór“ i „dobrze się uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu i w formie do naszej poezyi.“

Po zbójnickiej, bohaterskiej pieśni zajmują w tatrzańskim piśmiennictwie ludowym drugie miejsce pieśni pasterskie, łączące się pieśniami miłośnemi z pierwszemi.

Oto kilka próbek tego rodzaju:

Juhas ci ja, hłopiec,
lepsy jak mój ociec,
nie było to hłopca,
nad mojego occa.

Owce moje, owce,
niek was pasie kto fce,
ja was paść nie budziem,
bo ja na zboj pódziem.

Hej juhasy! hopsa śmieie,
bo to w karcemie, nie w kościele!

Kozicka wetula poszero do grunia²⁾
jako jom ułapić, kie nima ogona.

Juhas ci ja juhas, na panske ne póde,
na panskie nie póde ani nie pojade.

Ctery kozy, piąta owca,
teli kierdel³⁾ mego occa.

Tańcowali Lahy¹⁾ po kolana w kasy
Juhasi się zbiegli, Lahom kase zjedli.

Idom se owiecki tom Słowianskom percia⁴⁾,
juhasów nie widać, ino dzwonki zbercom⁵⁾.

Z pieśni miłosnych odzywa się smętek, szarpiący serce, lecz często trwa tylko bardzo krótko, bo wesołość życiowa bierze nad nim górę:

Boli mnie głowa, boli,
bo mój miły innom woli,
woli innom a mnie nie kce,
kamienieje moje serce;
mój miły się z innom śmieje,
moje serce kamienieje.
Niek się śmieje—wola jego.
Ja pokoham tez innego.

Hej tęskno mi, tużno⁶⁾ sama nie wim cego,
bez mego Janicka, dalekom od niego;
boli mnie główceka, serduska nie cuje,
hej, nik tego nie wie, za kim ja banuje⁷⁾:
bodaj ten cłek nie żył, bodaj nie wiekował,
co on to kohanie na świecie fundował.
„Nie płac frajerecko⁸⁾, otrzyj sobie ocka,
przyde ja do ciebie, jak się sciemni nocka.“

¹⁾ Mieszkańcy równin. ²⁾ Wzgórze, do grunia: na wzgórze, t. j. na kosar. ³⁾ Stado. ⁴⁾ Ścieżka. ⁵⁾ Dzwonią. ⁶⁾ Tęskno. ⁷⁾ Za kim żal mi. ⁸⁾ Kochanko.

„Juhasi, juhasi, gdzieście owce paśli,
ja wieniec straciła, wyście tez go naśli.“
„Ale już nie cały,
ctery trzepiotecki ¹⁾ z niego uleciały.“

Ujmująca prostota i naiwność przeblýskują z piosnek:

Na wysokiej jodle gołąbeczek siedział,
ja by sie kohała, kieby nik nie wiedział.

Ponos ty mnie matko w lesie wyhowała,
kogo se uwidze, radabym go miała.

To mój kohanecek taki barzo głupi,
kie nawienył ludzi, to mi kiermas kupi.

Humor, przechodzący w swawolę, miejscami szylderczą, od-
zywa się znowu z piosnek:

Braciszku rodzony
siustajmy ²⁾ na zony;
twoja cienka, długa —
moja krótka, hruba.

Moja młodość taka płoła,
ze sie naroz we dwok koha;
a ja mówie: nic w tem zlego,
lepi dwok mieć jak jednego.

Pod Krakowem Wisła,
ja wianeczek ciśla;
coz mi po wianecku,
gdym na bide przysła.

Przyjdz Janicku śmiało,
kie w okienku siano;
kie w okienku słoma,
to matusia doma.

Siwy koń, siodełeczko sare,
jak mam cie poboskać ³⁾, kiedyś babsko stare.

Niemas ci to, nie mas, jako panom w piekle,
uzyjom, napijom, nasiedzom sie w cieple.

Zastanowienia godną rzeczą jest, iż w pieśniach polskich górali dość często wspomina się Dunaj, co też ma miejsce w małopolskich i górnoślązkich, morawskich i słowackich pieśniach ludowych. Przypadkowe to być nie może. Można przypuszczać natomiast, napewno wiąże się wspomnienie ludu z prastarą przeszłością, że Dunaj się z nią wiąże, z czego byłby dalszy wniosek, iż praszczurowie tych ludów przebywali kiedyś w zamierzonych czasach nad tą rzeką. Znakomity uczony słowacki, d-r San Czambel ⁴⁾, przyjmuje jako pewnik, iż pierwotna siedziba Słowa-

¹⁾ Listki. ²⁾ Siustać: mieniać się. ³⁾ Pocałować. ⁴⁾ „Słowenska Recz.“ Turczański Święty Marcin, 1906.

ków była na południu. Mogłoby to wszystko popierać hipotezę Daków w Karpaty i Tatry.

Lecz przysłuchajmy się bliżej wspomnieniom Dunaju w pieśniach góralskich.

Złoty pierścioncek,	po bystrym Dunaju,
ruciany wianeczek,	I puściła ci go
hej nam, hej!	hej nam, hej! i t. d.

Janicku, zbójnicku z ciernymi ocyma,
dyć by ja za tobom Dunaj przeskoczyła, i t. d.

„Kaś ty beł Janicku od białego rana?“
„Wodziłek konicki pojić do Dunaja.“

Ani tak nie idzie, ani seł Dunaj,
jako idzie dziewce, kie jom wiedzie sukaj. ¹⁾

Rapacowe plemie, nigda nie przeminie,
ani na Dunaju, ani na dziedzinie.

Te moje konisie nie urobiom skode,
pódom do Dunaju, napijom sie wode.

A na rosie pasła gęsi, zaganiała za Dunaj,
cegoś fciała, toś dostała, teraz sobie ty dumaj.

S tamty strony Dunaja
zieleni się dwa gaja:
w jednym ptaski śpiwajom,
w drugim panny gadajom.
O kim ze to te mowe?
O dziewczynie wojtowe:
ze troje dzieatek straciła,
jesce sie pannom nosiła.
Skoro sie ociec dowiedział,
do kata jej iść kazał.

Przyszed ci do nij kat młody
i wziął ci jom w rozmowe:
„Jeśli byś mojom fciała być,
radbym cie od śmierzci wybawić.“
„Kiem zasłużyła, niek gine,
bo ja tej śmierzci nie mine.“
Zawiódł ci jom na most wysoki
wtrącił ci jom w Dunaj głęboki.

Dunaju, Dunaju, wielga woda w tobie,
oj moja dziewczyno, gadajom o tobie.

Powiedziała ja ci niesczęsny hultaju,
teraz mój wianeczek pływa po Dunaju.

Dyj se nie dumaj,
bo to tu nie Dunaj,
zańdzies do Dunaja,
tam bedzies dumała.

Młode gąski
na gałązki,
ale stare na Dunaj. i t. d.

¹⁾ Parobek.

Siwa gąska, siwa,
po Dunaju pływa;
z wielkiego kochania
rado nic nie bywa.

Mój zieleni wianek do Dunaja spadał,
spadał mi on, spadał, aji tam uwadłol.

Kie ¹⁾ han ²⁾ zajedziemy,
coz my pić budzieme?
Winecko z Tokaja,
wodzicke z Dunaja.

On ci sie rozgniewał, wziął ci jom za bocki,
rucił ci jom, rucił w ten Dunaj głębocki,
zawadziła sie jej zapaska ³⁾ na kole.

„Ratujze mnie Jasiu za kohanie moje!“

Janie z Trencyna
z cornemi ocyma,
dyc by ja za tobom
Dunaj przeskocyla! i t. d.

„Nie po tom cie rucił, bym cie miał ratować,
Mysis mi Marysiu ten Dunaj zgruntować.“

Prawdopodobnie istnieje w naszej góralszczyźnie jeszcze więcej pieśni ze wspomnieniami Dunaja, gdyż powyżej przytoczone pieśni pochodzą tylko z Podhala, a jak już zauważyłem, nie posiadamy zupełnego zbioru pieśni podhalskich, do tego zaś pieśniarstwo polskich górali na południowych stokach Tatr i Bieskidów na Spiżu, Orawce, Liptowie i t. d. przedstawia do dziś dnia dziewiczą niwę, nie dotkniętą ręką polskiego zbieracza pieśni ludowych. Tylko Spiż mógłby tu stanowić poniekąd wyjątek o tyle, iż bawiąc tam w zeszłym roku czas krótki, zdołałem przygodnie kilka piosnek przenieść z ust ludu na papier, nadto zaś słowacki etnograf, S. Miszek, podał pewną skromną liczbę spiskich pieśni polskich, jako „Piesne ludu slowenskiego.“ ⁴⁾

Pieśni spiskie są nieodrodne siostrzyce podhalskich, tylko, że tu i owdzie język mniej lub więcej nadpsuty słowaczczyzną lub małoruszczyzną.

Oto te pieśni:

Hop, ciup na dolinie,
beł Jaś przy Marinie,
trzeba Jasia po cuprynie,
nief nie hodzi ku Marinie.

Weleciał ptosek zo Lwowa,
siad se na koniec Krakowa,
hajsja, horusa, siad se na koniec Krakowa,
az sie ten Krakof obrociól.

Z tamtej strony wody grule ⁵⁾ okopujom,
jesce ja malutka juz mie ogadujom;
z tamtej strony wody kapustecke sadzom,
jesce ja malučka juz koło mie radzom.

¹⁾ Kiedy. ²⁾ Tam. ³⁾ Fartuszek. ⁴⁾ I zeszyt. „Piesne spiskie.“ Turczański Św. Marcin, 1898. ⁵⁾ Ziemiaki.

Kied cie bedom cepić¹⁾, požrej do powały,
zebe twoje dzieci corne ocka miały.

Hucała dolina, kied ja bez niom jehał,
płakała dziewczyna, ze ja jom poniehał.
„Hoces mnie poniehał, przeto bedem ziła,
a ciebie, gałganie, bida będzie biła.

Marenko, Marenko, moje corne oci,
dobrze mi serdeńko ku cie nie wyskoci.
Marenko, Marenko, moje sto tisięci,
Kiebe mi cie dali, nie fciół be ja więce.

Już w Liptowie wezwu majom,
ej, Janosika łapać majom, Boze mój!
Juz go wiedum bez ulice,
placum, ksicum trzi dziwcunce²⁾ haja!
„Jańciu, Jańciu, serce moje!
Co ta patrzis syćko twoje, Boze mój!
Na tem wirsku³⁾ subienica, haja!
co ja bedem na nij wisiał, cuhaja!
kiebe ja beł o tem wiedział,
ze ja bedem na nij wisiał, Boze mój!
dał beł ja jum omarować, haja!
zlotim, śriblim owakuwać⁴⁾, cuhaja!
A na wirsik złoti krzizik, Boze mój!
A na wirsik złoti wieniec,
zebe znali, ze młodzienciec, Boze mój!
A na wieniec złoti kónik,
zebe znali, ze jo zbójnik.

Pod lipum, pod lipkum kacka wode pije,
niescensna godzina: baba hłopa bije;
a on sie jej pito⁵⁾, na kolinko klinka:
„Oj, babo, babusko, nie bij ze mnie telko!“

Co budzeme robić z tima babami?
Idzime do karcmi, oni za nami;
Mi sebe kupine, oni wepiju,
a jak pridze płacić, to sie pokriju.

A co sie tam stało w liptofskiej stolici?
Ułupili Janosika przy miłej f piwnici.
Jak go ulapili, tak go powiunzali,
tak go zaraz do Ruznawy odsikuwać⁶⁾ dali.

1) Ubierać w czepek. 2) Dziewczęta. 3) Wierzchołek góry lub wzgó-
rza. 4) Okuć. 5) Pitać = prosić. 6) Odstawić.

„Ruznafske panowie, pitom was pirszi raz,
 dajcie mi mój wałasek ¹⁾ do runcki jesce raz.“
 „Wera ²⁾ ci nie dume, bo sie obuwume ³⁾ ,
 bo my ciebie, Janosiku, teroz w runckaf mume.“
 „Ruznafske panowie, pitom was drugi raz,
 dajcie ze mi mój pasecek ⁴⁾ opasać jesce raz.“
 „Wera ci nie dume, bo sie obuwume,
 bo my ciebie, Janosiku, teroz w runckaf mume.“
 „Ruznafske panowie, pitom was trzeci raz,
 dajcie ze mojum miłe obłapić ⁵⁾ jesce raz.“
 „Wera ci nie dume, i t. d.

Seweryn Goszczyński pisze o góralskiej pieśni ludowej: „Jeśli pieśń ludowa tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnem nieszczęściem, przyciśniony szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni... jeżeli lud puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzykę.“ Uwagę tę uzupełnia Kazimierz Przerwa Tetmajer pięknymi słowy silnie odczutego uroku tej pieśni: „To, co pisze Goszczyński o pieśni ludowej, to czuje każdy, kto ją słyszał, kogo obchodzi ta pieśń. Tam żadne słowo nie było położone napróżno, bo wszystko było potrzebne u ludzi, którzy nie mają potrzeb zbytkowych... U ludu niema poezyi deklamacyjnej, która się nazywa pieśnią, jest to tylko pieśń śpiewana. A pieśń ta... łączy się z życiem, jest niem. Patrzcie na tego starego górala. Zagrali mu nutę staroświecką, szeroką, bujną, smukłą, od której duch się dźwiga. Dźwignął się i on, bo się trochę był „przynapił“ (upił) i legnął dać spoczynek siedemdziesięcioletnim kościom. Dźwignął się, słucha. „Panie, powiedzcie mi—mówi—co to jest za krew w człowieku?! Jo, kiedy usłisem muzyke, to juze rosnem!“ i podnosi ręce w górę, jak stary orzeł skrzydła. Już jest przed muzyką, już tańczy.“

Wierzenia i podania ludowe przedstawiają tak rozległe pole, iż o tem samym możnaby napisać sporą książkę. Jest w nich dużo poezyi i fantastycznej pomysłowości. Z pewnością sięgają czasów bardzo, bardzo starych, a owe boginki, strzygi, dziwożony, mamuny, djasy i jak się tam zowią wszystkie te nadprzyrodzone istoty, należą do mitologii słowiańskiej. Podania obejmują

1) Toporek. 2) Zaprawdę. 3) Obawiamy. 4) Czarodziejski pas skórzany, jaki posiadał. 5) Obłapić = uściskać.

cały świat górski, przywiązane są one bowiem prawie do każdej miejscowości, do pól, lasów, rzek, potoków, gór i dolin, a jedno barwniejsze i pomysłowsze od drugiego, pełne prawdziwej poezji ludowej. Przypomnę tylko prześliczne podanie o śpiących polskich rycerzach w Tatrach, co „śpiom tam... i cekajom, jaze sie nańdzie taki godny parobek, co by ik wywiód,“ ¹⁾ a „na obozie ozestawieli warty... coby się tam co złego nie dostało,“ zaś „na pośrodku progu postawiony jest strasznie wielki wożak.“ Jest też w tych podziemiach „ogromny staw, a na tym stawie pływajom kacki, gęsi, a sićkie białe jak śnieg. Ale jedna z tyk kacek niesie sama jedna jajka, a drugie nie. Zniesła ik juz doś duzo — moze śterdzieści, a moze więcył. Ale ma ik znieś jescie kielka, coby ik nie hybiało do polskiej koruny. Te korune zaś kujom kowale w Siklawie, co ik ta ludzie słyhujom, jako młotami praskajom ³⁾... Ostatni raz wte prasnom młotami, kie pokój bedzie na całym świecie podpisany, a podpisajom go sićkie ludy w kuźnicak na zelaznym mostku... Syćko tu majom gotowe na składzie do wojny ci rycerze. Ino prok to majom sowany w turni na kierak.. Długo tam bedom w tyk turniak siedzić one rycerze, ale nadeńdom strasne casy“ a wtedy „mnik Marek“ prosić będzie „Paniezusa,“ żeby pozwoił wyjść rycerzom z wnętrza skały, a gdy „Paniezus“ pozwoi, „to sie pobudzom sićka rycerze, popostajom i posiadajom na konie,“ a gdy wyjadą „z tyk turni, a kie nabierom do płuc świeżego wiatru i uwidzom słonko, to ozijom i odmłodniejom odrazu. Będzie ik barz duzo... i zbiere się mnogo luda, bo i baby bedom wojować, a kie ik kłopi nie bedom kcieć do tego dopuścić, wte sie strasznie ozpajedzom ⁴⁾ i same pudom i bedom prac ⁵⁾ nieprzyjaciela co raty przeraty ⁶⁾... I tak pudom i pudom dali ci wojaki...“ a „kie juz cały kraj przeńdom i złyk ludzi ze swojego kraju wyzenom, to juz dali do cudzego kraju nie pudom, bo ino swoje odbiorom“ — a wtedy zapazuje powszechny pokój, o czem już powyżej jest wzmianka.

Ci rycerze polscy uśpieni są w Giewoncie, podług innych, kryje ich w swem wnętrzu turnia w dolinie Kościeliskiej.

Podania stanowią ważny dział ustnej literatury gwarowej, lecz znacznie jeszcze przewyższają je opowieści ludowe, z których zrodziło się piśmiennictwo gwarowe.

G. SMÓLSKI.

¹⁾ Andrzej Stopka: „Rycerze śpiący w Tatrach.“ Kraków, 1891.

²⁾ Wielki. ³⁾ Wał. ⁴⁾ Rozsierzdą. ⁵⁾ Bić. ⁶⁾ Wykrzyknik używany w mowie dla wzmocnienia.

PIŚMIENNICTWO.

RUSTICUS. *Listy z dworu wiejskiego*. Nakładem „Gazety Warszawskiej”. Warszawa, 1911. Str. 158 w dużej 8-ce.

Wielką słuszość ma autor, kiedy wspomina o nieznamości wśród ogółu życia wiejskiego. Istotnie, zyskały pełne prawo obywatelstwa w opinii dwa poglądy, równie fałszywe, równie papierowe, bo z literatury pięknej zaczerpnięte. Jeden, sielankowy — na tle białych dworków, patryarchalnych staruszków gołąbków pocziwych, idealizowanych kmotków w operowych kostymach; drugi — melodramatyczno-radykalny, gdzie każdy właściciel większy jest wyrazicielem grubijaństwa i ignorancyi, uosobieniem chciwości i rozpusty, pędząc czas na biciu po twarzy chłopów i uwodzeniu ich córek. Prawda oczywiście leży w środku: w tej, jak w każdej innej warstwie, są źli i dobrzy, sobkowie i obywatele. Wszystkich ich autor nam pokaże.

Jeszcze jeden słuszny szczegół podnieść należy. Dla mieszczucha, który widzi wieś tylko podczas wycieczki niedzielnej, zna ją z letnich, płatnych wczasów lub z gościnnego zaproszenia — jest często życie wiejskie synonimem próżniactwa. A że każdy Polak nosi niestety w sobie, jako ideał życia — życie próżniacze, więc płynie stąd właśnie mimowolna a zupełnie błędna idealizacja bytu wiejskiego — jako sytego, spokojnego i leniwego. Tymczasem jest zgoła inaczej. Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy kolportowano z powodzeniem gadkę o szlachcicu, który miał trzech synów: dwóch było mądrych, a trzeci... obywatel. Złożono ten pogląd do archiwum, gdzie spoczywa przykryty kurzem czasu wraz z typami powieści ówczesnej, np. inżynierów szlachetnych i bezinteresownych, którym takie ciosy zadają ostatnie choćby rewizye senatorskie. Współczesny warsztat rolny — o ile jest

dobrze prowadzony — to machina bardzo skomplikowana; prowadzenie go wymaga nie tylko umiejętności fachowej, ale i zdolności kupieckich i administracyjnych. Więc wieś dzisiejsza jest symbolem nie próżniactwa, lecz raczej mrówczej pracy i zabiegliwości.

Możnaby się natomiast posprzeczać z Rusticusem o szczegół inny, kiedy mówi o lekceważeniu przedstawicieli stanu ziemiańskiego przez inteligencję miejską. Bywa chyba raczej przeciwnie. W poczuciu niezależności największej — jaką daje tylko uprawa własnego kawała czy kawałka ziemi — ziemianie to aż nazbyt często lekceważenie takie inteligencji miejskiej okazują. I na tem polu byłaby z pewnością niejedna pożyteczna reforma obyczajowa do dokonania. Oczywiście autor i krytyk rozporządzają tu różną ilością różnych zupełnie faktów, więc i porozumienie trudne i polemika zbędna. Przejdźmy tedy do określeń konkretnych, gdzie prawie wszędzie zdanie autora, o ile znamy stosunki wiejskie, podpisać możemy.

Jakież są główne czynniki życia wsi naszej? Dwór, plebania i chata, czyli ziemiaństwo, duchowieństwo i lud; czynniki zbieżne i rozbieżne, zależnie od pokrzyżowania nietyle nawet klasowego, ile przynależności do tych czy innych wpływów i agitacyj politycznych. Ziemiaństwo naturalnie niejednolite: właściciele obszarów, państewkom równych, których antenaci zdobią lub kalają karty historii ojczystej, od posiadaczy kilkowłókowych odziedziczenia przepaść interesów, potrzeb, światopoglądu. Arystokracja grzeszyła i grzeszy nieraz absenteizmem w życiu miejscowem; nie tylko dlatego, że zdala od niego szuka rozrywek bardziej błyszczącego życia, ale i z powodu poglądów politycznych, jakie przeważnie wyznaje. W tem miejscu daje autor bardzo trafną charakterystykę realistów na wsi; nie czyni im zarzutu z tego, że z reprezentacji zewnętrznej wobec władz główny punkt swego programu czynili, lecz z tego, że w instytucjach miejscowych, w stowarzyszeniach zbyt mały udział brali, jakby lekceważąc je niesłusznie. Ukarani zostali brakiem wpływu, kiedy nadeszła godzina żywszego działania, a na stanowiskach kierowniczych znaleźli się ci właśnie, o których szerzono wieści, jakoby w obłokach bujali i o śpiącej królownie jedynie marzyli.

W ognie arystokracji, albo pewniej w cieniu jej suną, raczej w kwietyzmie spoczywają półpankowie; naśladują szyk, naśladują poglądy. Najostrzej może scharakteryzowana warstwa, ale słusznie, bo najbardziej egoistyczna, najmocniej i najwyłączniejszym przymnażaniu majątku, wygodzie osobistej i używaniu życia oddana. Wśród tego odłamu ziemiaństwa najwięcej znajdziemy

rolników, pochodzących z żydowskich rodzin — to krytyk mówi, nie autor. A jeżeli już mowa o rodowodzie rasowym, to sprawiedliwość wyznać każe, iż wśród tych ostatnich znajdujemy także wielu zupełnie już zasymilowanych, którzy warstwie rolniczej polskiej zaszczyt tylko przynoszą. A wogóle Żydów dawniejszych mało, obecnych—mniej jeszcze na roli pracuje.

Dalej mamy już ziemiaństwo przeciętne, właściciele majątków od włók czterdziestu do kilku, dawno osiadłych i nowych, ciężko przeważnie z mniejszem lub większem powodzeniem pracujących. Wśród tej warstwy żywe są zawsze tradycje rodzinne, bo każda prawie rodzina liczy w szeregu swoich przodków ludzi, którzy—mówiąc słowami Mickiewicza, przytoczonymi w książce—byli zawsze gotowi „puścić się w kraj świata, w nędzy i poniewierce przeżyć długie lata, walcząc z ludźmi i losem, póki im wśród burzy przyświecała nadzieja, że ojczyźnie służą.“ A kiedy minęły czasy wojacek i przygód romantycznych, potrafili ci ziemianie na innych posterunkach służbę obywatelską pełnić. I niebrakło im idealizmu i zaparcia się swoich interesów nawet materyalnych. Przypomnijmy za autorem, że to przedstawiciele tej warstwy głosowali w Izbie państwowej za wywłaszczeniem, a znaczna jej część „lubo w głębi duszy czuła, że dzieje jej się krzywda, jednak... była gotowa poddać się tej wiwisekcyi w przeświadczeniu, że interesy kraju wymagają od niej tego poświęcenia.“ Rzecz ciekawa, czy zajęliby takie stanowisko np. właściciele domów w Warszawie nawet ci, co najgłośniej gardłowali za wywłaszczeniem właścicieli ziemskich, o ile posiadanie domu nie stawiało tamy radykalizmowi we frazesie?

Przedstawiciele tej części ziemiaństwa znajdujemy na wszystkich posterunkach pracy publicznej, w towarzystwach zawodowych, społecznych, w kółkach rolniczych, wśród posłów do Izby. O nią to wraz ze stanem włościańskim, z natury swej najbardziej zachowawczym, rozbiły się wszelkie usiłowania prób rozstroju przed kilku laty. Po przewrocie uwłaszczenia przed półwiekiem, stanowisko narodowe warstw ludowych było wątpliwe. Dziś zaś— „że z generalnego szturmu do wszystkich placówek naszego narodowego bytu zdołaliśmy wyjść bez nadzwyczajnych strat, to zawdzięczamy jedynie zdrowym instynktom społecznym i żywemu poczuciu narodowemu warstwy włościańskiej“ — mówi autor i mówi słusznie, bez zbytecznej zresztą idealizacji stosunków sąsiedzkich, więc sporami najeżonych, znajdujących wszakże wyraz współdziałania na różnych polach, szkoły, stowarzyszeń i innych. A spokój ludu w okresie t. zw. rewolucyi zawdzięczamy nietylko

wrodzonej jego stateczności i rozwadze, ale także zaufaniu do tych kierowników, którzy je zdobyć zdołali ukochaniem jednej sprawy i pełną zaparcia się dla niej pracą. Bo chłop „patrzy na uczynki. Kto sprawiedliwie czyni — twierdzi — ten sprawiedliwie mówi i tego warto słuchać.“

Dlatego małym powodzeniem cieszyły się usiłowania odrazu ni stąd ni zowąd wyrosłych „postępowych“ opiekunów ludu. Pozostawiając na uboczu socyalistów, którzy dla swoich ideałów umieją pracować nietylko — językiem, ale realnego wpływu na wsi nigdy mieć nie mogą, Rusticus z pobłażliwą ironią traktuje agitatorów miejskich, którzy z zupełną niezajomością ludu, różne „koope ratywne republiki“ propagowali, brak gruntu pod nogami, zawieszenie w powietrzu działaczy postępowych na wsi i samych nielicznych „postępowych“ ziemian. Bliższą natomiast uwagę zwraca na „Zaranie“ i jego agitację, jako akcję planowo, celowo i fachowo prowadzoną, w celu przeciwstawienia sobie warstw na wsi. I stwierdza słusznie zupełny brak pozytywnego programu, pozytywnych dążeń, oraz dwuznaczność, wynikającą z braku szczerości. Więc nieustanne napaści na księży i panów, z którymi zatargi włościan są sporadyczne, obok unikań określania roli Żydów na wsi, wyzyskiwaczy codziennych, a więc stale wywołujących zatargi, dalej występowanie przeciw duchowieństwu, przy braku odwagi wystąpienia przeciw religii wogóle, wreszcie mętne usiłowania „budzenia ducha“ wśród ludu przy równoczesnem przyganianiu pozytywnym pracom, nie przez ludowców dokonany.

Przechodząc do roli na wsi duchowieństwa, autor stwierdza na wstępie brak dawnej harmonii między dworem a plebanią. Formy stosunku pozostały jeszcze tu i owdzie te same, co dawniej, ale ulotniła się treść dawna. Częściowo wpłynęło na to przeniesienie środka ciężkości interesów duchowieństwa do gromad wiejskich, częściowo zaś pewne obniżenie się poziomu umysłowego i kulturalnego jego przedstawicieli. Jednakże obok księży niewykształconych i zmateryalizowanych, obok ascetów, stojących niejako poza sferą działalności społecznej, podnosi z najwyższem uznaniem typ księży-działaczy i za najkorzystniejsze dla społeczeństwa uważa, aby księża nasi stanęli na tym samym wysokim poziomie, na jakim stoją księża poznańscy.

Ostatni rozdział poświęcony jest życiu domowemu i towarzyskiemu na wsi. I tu znajdujemy ogromną zmianę. Niema już dawnych, częstych i tłumnych zjazdów sąsiedzkich. Istnieje dość znaczne zróżnicowanie towarzyskie, bardziej wyteżona praca pozostawia mniej czasu wolnego, wreszcie znaczne podwyższenie

skali potrzeb, komfortu w urządzeniu domów i przyjęć czyni je zbyt kosztownymi. Można dawnych czasów żałować, ale żadna siła ludzka nie przywróci ich. Nasze życie towarzyskie na wsi ulega powoli tym samym zmianom, którym uległo już na Zachodzie, staje się coraz podobniejszym — w skali mniejszej lub większej — do francuskiego *vie de château*, na wyborze, nie na przymusie sąsiedzkim opartego.

Na zakończenie, zamiast licznych a zdawkowych superlatywów pod adresem autora, chcemy wyrazić żal, że szczupłość miejsca nie pozwoliła nam obszerniej streścić tej ciekawej i pożytecznej książki. Pożytecznej i dla mieszczuchów, bo jest wiernym obrazem i dokumentem życia; zwierciadła — nie wklęsło lub wypukłe karykaturalnego — lecz prostego, jasnego i gładkiego dla wieśniaków. Pisana z talentem i werwą, pełna jest przytem pogodnego optymizmu, nie leniwego, opartego o nadzieję, że bez nas wszystko samo się zrobi, lecz czynnego optymizmu działacza, który obowiązek swój spełnia. A jeżeli na felietonach tych — jak twierdzi autor-rolnik — straciły jego „siewy jesienne,“ my natomiast zyskaliśmy książkę nie banalną, którą każdy z zajęciem przeczyta, choćby się nawet z poglądami, nawet z tym optymizmem nie zawsze zgadzał.

LUDWIK WŁODEK.

STEFAN DZIEWULSKI. *Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki*. Wydane staraniem redakcyi „*Ekonomisty*“. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkull), Warszawa. 1910.

Autorowie projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny dowodzą, że „wytworzona nowa gubernia, według swego składu ludności, będzie niewątpliwie gubernią rosyjską, nie odróżniającą się niczem pod tym względem od najbliższych gubernij kraju Zachodniego, t. j. gubernii grodzieńskiej i wołyńskiej.“

Nawet powierzchowny rzut oka na cyfry, przytoczone przez projekt rządowy, pozwala stwierdzić, że stosunek prawosławnych do ogółu ludności w przyszłej gubernii Chełmskiej nie wykazuje bynajmniej przewagi tego wyznania. Początkowo projekt rządowy usiłował oprzeć się na wynikach statystyki wyznaniowej, usiłowania te jednak chybiły najzupełniej. Nawet według danych urzędowych wypada, że wyodrębnione terytorium na ogólną cy-

frę ludności 758,408 będzie posiadało prawosławnych zaledwie 304,885, t. j. 38%.

Gdy kryterium religijne zawiodło, projektodawcy zaczęli kłaść nacisk na kryterium narodowościowe, próbując je określić przy pomocy języka macierzystego ludności. Już dane statystyczne, na których podstawie dokonano wyliczeń wyznaniowych, są więcej niż wątpliwe i projekt nie stara się nawet wskazać źródeł, z jakich korzystał. Tembardziej niema w projekcie żadnych danych, pozwalających na sprawdzenie języka, którym ludność na tem terytorium mówi. Statystyka narodowościowa w państwie rosyjskiem nie jest zbierana, nie uwzględnia też jej weale i warszawski komitet statystyczny. To też tutaj projekt nie poparł twierdzeń swych żadnemi cyframi.

W gruncie rzeczy projekt nie kierował się ani jedną, ani drugą zasadą. Po zbadaniu bliżej miejscowości, jakie mają być wydzielone, należy przyjść do wniosku, że decydowały tu zupełnie inne względy. Autorowie projektu specjalnie starali się o to, aby tych unitów opornych, którzy od czasu wydania ukazu tolerancyjnego urzędownie już stali się katolikami, wyodrębnić z Królestwa i wcielić w granice nowej gubernii. W tym celu nie cofano się przed najbardziej kunsztownem i drobiazgowem rozczłonkowaniem poszczególnych gmin, wydłużając lub skręcając w sposób najbardziej fantastyczny poszarpaną linię graniczną przyszłej gubernii.

Stwierdzić trzeba w rezultacie, że zastosowano w danym wypadku kryterium „misyjonarskie“. Inicytorzy projektu podkreślają, że „stałem dążeniem Polaków było spolonizowanie ludności rosyjskiej przy pomocy nawrócenia jej na katolicyzm,“ że „ogłoszenie Najwyższego ukazu z dnia 17 kwietnia st. st. 1905 r. pociągnęło za sobą wzmożenie łaćńsko-polskiej propagandy“ i że „skutkiem tego było formalne odpadnięcie od prawosławia znacznej części ludności rosyjskiej i przejście jej na katolicyzm.“ Inicytorom projektu przyświeca nadzieja, że dzięki wyodrębnieniu, otworzy się możność nawracania tych, którzy „od prawosławia odpadli,“ gdyż wyodrębnienie powinno „uchronić od stopniowego zalewu przez nadpływający żywioł polsko-łaćński.“

Przy urzeczywistnianiu swego celu natknęli się jednak autorowie projektu na kolosalne przeszkody. Jeśli porównamy przytoczone przez nich wywody cyfrowe z danemi komitetu statystycznego, ze zdumieniem skonstatujemy wówczas zupełną rozbieżność projektu rządowego z cyframi, zbieranemi przez państwowych urzędników. Przedstawiciele rządu uznali tutaj, że na statystyce

państwowej opierać się nie można. Istotnie grube błędy i braki warszawskiego komitetu statystycznego, które wzrastają w sposób nieprawdopodobny i niesłychany, gdy chodzi o ludność w Chełmszczyźnie, musiały być odrzucone. Zdyskwalifikowanie jednak statystyki rządowej usuwa jednocześnie zupełnie grunt z pod nóg projektowi, który zawisa w powietrzu. Żadna bowiem organizacja społeczna nie rozporządza takimi środkami, jak państwo, i nie jest w stanie badać ogólnego ruchu ludności.

Na pytanie, skąd wzięte zostały do projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny cyfry ludności, napróżno szukać by odpowiedzi w tekście rządowym projekcie. Jedyne przypadek zdołał wyjaśnić, z jakiego źródła czerpano tu materiały, mający rozstrzygnąć o granicach przyszłej gubernii.

W 1909 roku ukazały się wydane przez chełmskie Bractwo świętej Bogarodzicy „Mapy rosyjskiej i prawosławnej ludności Rusi Chełmskiej“ wraz ze statystycznymi tablicami, ułożonemi przez W. A. Francewca, profesora warszawskiego cesarskiego Uniwersytetu.

Zbadanie odpowiednich pozycji p. Francewa i projektu rządowego wykaże całkowitą ich identyczność, nie może przeto ulegać wątpliwości, że przedstawiciele rządu wzięli swe cyfry z pracy p. Francewa.

Ten ostatni w przedmowie swej do wydawnictwa stwierdza, że przeprowadził całą robotę „niezależnie od źródeł rządowych“ i że „przy ułożeniu map i częściowo tablic statystycznych posiłkował się wyłącznie danemi, zebranemi na skutek polecenia chełmskiego Bractwa świętej Bogarodzicy przez duchowieństwo dyecezyi chełmskiej, o liczbie parafian prawosławnych w każdej parafii oddzielnie, oraz o języku macierzystym ludności danej parafii.“

Widzimy więc, że projekt rządowy, rozstrzygający o przyszłych losach setek tysięcy ludności, zarówno prawosławnej, jak i katolickiej, oparł się na prywatnej publikacji, wydanej przez stowarzyszenie religijne, gdzie statystami, zbierającymi dane naukowe, byli duchowni prawosławni.

Ile warta jest praca p. Francewa, dowodzi metoda, którą zastosował przy jej tworzeniu. Na podstawie cyfr, zebranych przez chełmskie Bractwo, ułożył on mapę wyznaniową ludności, jednocześnie zaś na tych samych tablicach w rubryce „uwagi“ dawał luźne, ułamkowe spostrzeżenia co do języka macierzystego ludności. Na podstawie tych uwag, bez żadnego prawie materiału cyfrowego, nakreślił p. Francew zupełnie fantastyczną mapę etnograficzną Chełmszczyzny.

Chełmskie Bractwo, wydające swoim kosztem publikację p. Francewa, miało na celu przekonanie rządu i opinii rosyjskiej, że w Chełmszczyźnie przeważa ludność prawosławna i rosyjska. Tendencja ta występuje aż nadto wyraźnie w „naukowej“ pracy profesora Uniwersytetu warszawskiego. Tymczasem nawet jego wywody, wbrew wszelkim usiłowaniom, nie zdołały dowieść postawionej tezy.

A usiłowania są dosyć jaskrawe. Duchowni prawosławni, zbierający dane, mogli, przypuściwszy nawet najlepsze u nich chęci, podawać dokładnie i sumiennie tylko liczbę swych własnych parafian. Cyfry katolików brał p. Francew z wydawnictw warszawskiego Komitetu statystycznego, które się odnosiły do okresu przed Ukazem tolerancyjnym. Nie zadał jednak sobie wcale trudu dodania do liczby katolików licznych „conversów,“ t. j. tych, którzy, korzystając z Ukazu tolerancyjnego, pośpieszyli się zapisać w księgach parafialnych katolickich. W ten sposób cyfra katolików została zmniejszona o dobre kilkadziesiąt tysięcy głów.

P. Francew dalej wolał wcale nie podawać statystyki miast i miasteczek, zadawałając się ogólnem powiedzeniem, że „według składu ludności są one zawsze i oddawna polsko-rosyjsko-żydowskie“ i że „jedynie skład ludności włościańskiej, od wieków osiadłej na ziemi ojców i dziadów, decyduje o charakterze kraju pod względem etnograficznym.“

Trudno chyba wskazać taką pracę statystyczną, która brałaby za nawias ludność miast i miasteczek. Jeśli profesor warszawski to czyni, to dlatego jedynie, że cyfry te byłyby dlań niedogodne, gdyż element prawosławny wśród ludności miejskiej na Chełmszczyźnie jest słabo reprezentowany.

Pomimo wszystko jednak nawet mapa p. Francewa wykazuje tylko 13 gmin, w których ludność prawosławna stanowi większość. Gminy te nie leżą wszystkie obok siebie, lecz rozrzucone są na znacznej przestrzeni, nie tworząc wcale zwartego terytorium. P. Francew dla ukrycia tego musi posilkować się złudzeniami optycznymi, zabarwiając swoją mapę na jeden tylko stopniowany kolor, aby wywołać wrażenie, że wszędzie jest ludność prawosławna, która pokrywa całą sporną przestrzeń.

Zawiódłszy się na statystyce wyznaniowej, wysuwa p. Francew czynnik narodowościowy. Tu już wszakże puścił całkowicie wodze dowolności.

Przedewszystkiem co do wielu bardzo miejscowości nie podał absolutnie żadnych danych. Ogółem p. Francew w tablicach swych wylicza 2144 miejscowości. Z tej liczby co do 1481 podaje

pewne uwagi, dotyczące języka, zaś co do 663 miejscowości zadanych danych nie wskazuje. Jednym słowem 30.97% miejscowości zostało zupełnie pominiętych w statystyce językowej p. Francewa. Zaliczenie $\frac{1}{3}$ nieomal ogółu miejscowości do tej lub innej grupy językowej zmieniłoby najzupełniej układ ludności według języka, który usiłuje podać p. Francew i obróciłoby w niwecz jego mapę.

Co do 237 miejscowości wskazane są dane zupełnie niedokładne i zgoła niewystarczające dla jakichkolwiek obliczeń. Ogółem zatem co do 200 miejscowości nie zdobył p. Francew dokładniejszych danych statystycznych. Stanowi to 41.97% ogólnej liczby wszystkich wymienionych miejscowości. Trudno chyba w tych warunkach mówić o jakichś mapach językowych.

Co do pozostałych miejscowości, stanowiących 58.03%, dane również nie są bynajmniej ściśle. Wszędzie, na przykład, ludność, mówiąca w danym języku, jest obliczona według domów. Unieвозмоżliwia to zupełnie zestawienia ogólniejsze.

Wreszcie p. Francew nie cofał się nawet przed fałszowaniem własnych danych, wciągając je nieprawidłowo na mapę. Dowodzi to dostatecznie, co jest ona wogóle warta.

Analiza nawet takich prac, jak p. Francewa, dowiodła, że cel autorów projektu rządowego „wytworzenia nowej gubernii, która według swego składu ludności będzie niewątpliwie rosyjską,“ jest przedsięwzięciem zgoła niewykonalnym.

Wykazanie całej bezpodstawności projektu odłączenia Chełmszczyzny jest wielką zasługą p. Dziewulskiego. Praca jego będzie doskonałym materiałem dla naszych posłów w Dumie.

WACŁAW DUNIN.

MARION. *Uczciwa kobieta*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911.

Autorka, ukrywająca się pod pseudonimem Mariona, posiada umysł bystry, imaginację żywą, postrzegawczość wrażliwą na bodźce zewnętrznego życia. Umie przytem obserwacje swe przyoblekać w formy prawdziwie artystyczne, czego dowiodła w utworach dawniejszych, powieściach: „Miraże“ i „Życie“; nie umie tylko opanować swego materiału, którego nawał nie pozwala jej zamknąć się w ramach z góry nakreślonego planu.

Powiedziano o powieściach Mariona, że z każdej z nich dałyby się wykroić trzy, cztery odrębne utwory. W zastosowaniu

do nowel możnaby zmienić to określenie w ten sposób, że każda z nich, a przynajmniej większość, robi wrażenie, jakby była fragmentem większej całości, rozdziałem, czy epizodem dłuższej powieści.

W tomie, zatytułowanym, zresztą zupełnie dowolnie, od naczelnego utworu: „Uczciwa kobieta“, kilka zaledwie możnaby znaleźć nowel, którym pod względem kompozycji nie zarzucić nie można. Do najlepszych z tego tytułu, naszym zdaniem, należą: „Wróci...“ i „Ostatni“.

W pierwszej z nich stara, zgarbiona kobieta przychodzi co dwa tygodnie do urzędu pocztowego wysyłać gazety synowi, zaguanemu w śnieżne równiny Syberyi; urzędnik, dobry jakiś człeczyna, kiedy nadeszła era „wolności“, pociesza ją raz po raz, że syn jej — wróci. Ale minęły lata, wygnaniec nie wrócił, a tymczasem matka umarła i córka zastąpiła ją przy okienku biura pocztowego.

W pokrewnym treścią i układem „Ostatnim“ krwawa puścizna ofiarności dla celów narodowych przechodzi z ojca na syna, coraz to nowe w tej samej rodzinie wywołując dramaty.

Te dwa utwory mają swoją architektonikę, są zrecznie pomyslaniami całości, które obejmuje jedna myśl nie tylko moralna, ale i artystyczna.

Te same zalety, ale już w znacznie mniejszym stopniu, posiadają nowele: „Pierwsza miłość“ (romans platoniczny wyrostka i młodej dziewczyny cygańskiej), „Prawie sielanka“ (miłość szóstoklasisty i stolarzówny), „Uczciwa kobieta“.

Inne zaś, zarówno psychologiczno-nastrojowe i refleksyjne, jak „To wszystko już było“, „Echa“, jak i realistyczne („Pożegnanie“, „Marzyciel“, „Prawo bytu“, „Literatka“, „Chwila“), mają charakter fragmentów, starannie nagromadzonego materiału, z którego wzniesić może przepyszną budowlę przyszły twórca.

Z pozostałych, „Na statku“ jest niesmaczną okropnością w rodzaju Poëgo, „Zemsta Greka“ — drobiazgiem felietonowym, wreszcie „Pamiętnikowi nauczycielki wiejskiej“ należy się osobne słowo.

Nie dlatego, że jest to najdłuższy z utworów w niniejszym tomie; i nie dla wartości budowy, gdyż najswobodniejsza ze wszystkich forma pamiętnika pozwala autorce nie liczyć się z tego rodzaju wymaganiami, przeplatać prozę wierszami, opowieść refleksją, rozpocząć i urwać w miejscu zupełnie dowolnym i t. p.

Ale „Pamiętnik“ ten zwraca na siebie uwagę, jako pewnego rodzaju *signum temporis*, wierny obraz współczesności. Chociaż

bowiem od czasu „Bez dogmatu“ wiele się u nas zmieniło, rozpoczął się nowy wiek, a tem samem nazwa „schyłkowiec“ straciła podstawę istnienia, nad krajem naszym przeciągnął wicher rewolucyi, jednak typ Płoszowskiego nie wygasł, zastąpiony przez bojowników i bojowców wszelkiej rangi i z pod wszelkich sztandarów. Przeciwnie, żyje i odradza się w coraz to nowych pokoleniach, a dzisiejsza właśnie doba, doba rozczarowań porewolucyjnych, sprzyja w wysokim stopniu szerzeniu się „bezdogmatowości.“

Do rodzaju właśnie ludzi, którzy przeżyli własne pragnienia wiary i miłości, należy bohaterka „Pamiętnika“. Miłość idealna czy zmysłowa? ona miała jedną chwilę w życiu—i ta minęła bezpowrotnie. Praca kulturalna, w szkole wiejskiej, gdzie jest nauczycielką? toć nic innego, jak wkuwanie w tępe głowy gotowych, a przytem nikomu niepotrzebnych formułek i schematów. Konspiracya i propaganda rewolucyjna? ona ma już dosyć gromkich, a czczych frazesów, ambicyj i ambicyjek histryonów demokracji, kabotynów rewolucyi. Działalność filantropijna, ochronki, zupki rumfordzkie? miłosierne nieba, jakież to beznadziejne, jak noszenie w napastrku wody z oceanu, oceanu nędzy ludzkiej i hańby!

Pozostawałaby więc śmierć samobójcza? Ależ po co? a może *tam* nie będzie inaczej? Trzeba żyć—z sercem umarłym, choć do życia nie ma się już żadnego przywiązania.

Pomimo luźnej budowy, w „Pamiętniku“ najwięcej odnajdujemy śladów istotnego talentu, i on też pozwala nam spodziewać się, że autorka, opanowawszy środki kompozycyjne, zdobędzie się kiedyś na utwór wyższej miary artystycznej.

HENRYK GALLE.

Kronika miesięczna.

Dni rolnicze. — Inowacya wykładowa w C. T. R.—Zjazd kółek C. T. R. i Staszicowskich. — Burdy uniwersyteckie w Krakowie. — Sprawa Polska w Radzie Państwa. — Opinia premiera o Polakach. — Mowa hr. Olizara. — Figle komisji szkolnej.—Sprawy polskie.—Rozłam wśród maryawitów.—O Rydzyne.

W ubiegłym miesiącu mieliśmy długi szereg dni rolniczych w Warszawie. Zaroiło się miasto od ogorzałych twarzy, od zamaszystych figur, głośno, szumno i hucznie było tam, gdzie się ludzie bawią. Ale nietylko tam. Myliłby się, ktoby sądził, że jedyną zjazdu tego pobudką był karnawał, że chodziło wyłącznie o zaprezentowanie córek i o szukanie żon posażnych przez młodzież ziemiańska. Tak nie było. Odbływały się obrady Centralnego Towarzystwa Rolniczego, obchodzono półwiekowy jubileusz pisma zawodowego, *Gazety Rolniczej*. A nie brakło i barwnych strojów ludowych, kolorowych świtek, czy szarych ubiorów z waszecia, bo odbywał się zjazd kółek rolniczych Centralnego Towarzystwa i kursy dla włościan, ba nawet rolni upartej secesyi, kółek Staszicowskich.

Nie będziemy oczywiście streszczali obrad Centralnego Towarzystwa, znanych już publiczności z pism codziennych. Zaznaczymy tylko bardzo i bardzo pożyteczną inowacyę: urządzenie kursów dla inteligentnych rolników o wyższem wykształceniu zawodowem. Chodziło o to, aby ludziom zajęтым zmuzną pracą rolniczą, codzienną, a więc pozbawionym czasu i możności zapoznania się z najnowszymi wynikami wiedzy fachowej, wyniki te uprzystępnąć przy pomocy wykładów, prowadzonych przez najznakomitszych specjalistów. Zjechali tedy do Warszawy luminarze nauki, profesorowie uniwersytetów galicyjskich, znakomici praktycy z Poznańskiego, aby naszych ziemian nauczać. A wśród

słuchaczy widzieliśmy posiwiąłe głowy zasłużonych w kraju gospodarzy, którzy ze sposobności skwapliwie skorzystali, aby wielką wiedzę swoją uzupełnić i najnowsze badania do pracy na warsztatach swoich przystosować. Impreza odrazu zdobyła sobie powodzenie. Urządzenie wykładów, sprowadzenie specjalistów było rzeczą bardzo kosztowną; z trudem zebrano fundusz gwarancyjny w obawie, że do wykładów dużo dokończyć wypadnie. Tymczasem—suma zapisów dwukrotnie niemal pokryła preliminarz wydatków; Centralne Towarzystwo nietylko poparło dobrą sprawę, ale i zyskało trochę pieniędzy na swoje cele pożyteczne. Zamiłowanie wiedzy wśród ziemian naszych okazało się większe, niż najwięksi optymiści spodziewać się mogli.

Jest to postępowanie niewątpliwy i — radosny. Do takich samych pocieszających wniosków prowadził rzut oka na pół wieku wstecz z powodu jubileuszu *Gazety Rolniczej*. Przez cały czas pismo to wiernie służyło sprawie kultury, sprawie postępu rolniczego, ale rezultaty tej pracy są większe dziś, niż kiedykolwiek, dlatego, że pismo zrzeszeniom służy, a zrzeszenia propagują postulaty pisma; jest dziś do ogółu rolniczego bardzo szerokie rozgałęzienie od wielkiego ogniska centralnego, rozgałęzienie, którego przez dziesiątki lat brakło. A jeżeli powstanie pisma fachowego przypadło równocześnie ze świtaniem zorzy wielkich nadziei i intensywną, gorąco obywatelską pracą niezapomnianego Towarzystwa Rolniczego, tem smutniejsza, tem cięższa była jego dola, kiedy znalazło się odcięte i izolowane od ogółu rolników bez pośrednich ogniw organizacji. Przecież szło naprzód, a imiona kolejnych redaktorów *Gazety Rolniczej*, Adama Mieczynskiego, Jana Świącickiego, Aleksandra Trylskiego, Stanisława Chełchowskiego, Stanisława Wrońskiego są imionami dobrze zasłużonych i polskiej nauce rolnictwa i społecznej działalności rolniczej; obecnym redaktorom, pp. Stanisławowi Leśniowskiemu i Janowi Lutosławskiemu życzyć tylko wypada, aby szli śladami poprzedników i wierzyć można, że tak będzie.

Słusznie z okazji tego jubileuszu zwrócił ktoś uwagę na naszą niezwykłą giętkość, prężność, która sprawia, że przy łada możliwości swobodniejszego ruchu łatwo doganiamy czas stracony. Śmiało powiedzieć można, że w normalnych, pomyślnych warunkach pracy i w dziedzinie techniki rolnej i w dziedzinie działalności społecznej dogonilibyśmy prędko zabór pruski, który jest nam jeszcze niedoścignionym wzorem.

Otuchy dodawały również obrady zjazdu kółek rolniczych oraz sprawozdanie Wydziału Centralnego. Jedną w niem roz-

brzmiewa nuta smutna—to względna obojętność inteligencji wiejskiej, tej samej inteligencji, która nieraz skarży się na brak możliwości rozwinięcia akcyi obywatelskiej na wsi; a czyż może być akcyą poważniejsza i pożyteczniejsza niż ta właśnie prawdziwa praca u podstaw dla przyszłości narodu? Któż ma tedy nauczać włościan? Przy dorywczej pomocy ziemian Wydział Kółek musi uciekać się do pomocy instruktorów zawodowych. Może to i lepiej, ile że praca płatna, fachowa jest więcej nieraz warta od przypadkowej, na różnem napięciu dobrej woli opartej. A o ile mieliśmy sposobność przekonać się o uzdolnieniu naukowem i popularyzatorskiem tych instruktorów, śmiało powiedzieć możemy, że najzupełniej stoją na wysokości zadania; dwunastu ich jest i prowadzą bardzo pożyteczną pracę.

Innemi środkami szerzenia wiedzy rolniczej są wystawy, odczyty, kursy specjalne kilkodniowe, kilku a nawet kilkunastotygodniowe. Kalendarz rolniczy kółek rozchodzi się w dziesięciu tysiącach egzemplarzy; *Poradnik* dla kółek i spółek, doskonale redagowane pismo specjalne ma także dużo prenumeratorów i jest wyborym doradcą we wszystkich sprawach życia codziennego drobnej własności; inne wydawnictwa także wielkie mają powodzenie. Nie dość na tem. Poza wykładami i nauką instruktorowie i członkowie kółek zwiedzają drobne gospodarstwa, zapoznają się z ich organizacją, poddają je krytyce i w ten sposób zdążają do stworzenia ferm wzorowych. Oczywiście brak środków nie pozwala na urządzenie częstych wycieczek zagranicznych, aby nauczyć włościan, jak tam drobni posiadacze gospodarują, ale w miarę sił i możliwości i te wycieczki są urządzone od czasu do czasu.

Ze wszystkich gałęzi rolnictwa najważniejszymi dla drobnej własności są mleczarstwo i chów nierogacizny, największą też na nie Wydział Kółek zwraca uwagę. Kilkutysięczna roczna zapomoga Głównego Zarządu Rolnictwa pozwala na zakup inwentarza rozplodowego a zatem i na polepszenie rasy; pozatem najwyższa uwaga zwrócona jest na zakładanie spółek mleczarskich. Ciekawe wreszcie bardzo są próby z nawozami sztucznymi, których rezultaty olśniewają drobnych rolników, a spożycie tych nawozów wzrasta z każdym rokiem.

Wszystkie te prace prowadzone są w fatalnych warunkach istnienia szachownicy, tej nieprzewyciężonej przeszkody w podniesieniu kultury rolnej. Pomimo uchwalonego niedawno prawa usunięcie plagi długo jeszcze na siebie czekać każe, a im dłużej, tem, oczywiście, gorzej. Mimo to zło niewątpliwe jest — powta-

rzamy—coraz lepiej, a takie zjazdy, takie sprawozdania, jak omawiane, świadczą wymownie, jak liczne są u nas zastępy, jak liczne usiłowania podniesienia kultury rolniczej kraju.

Co robią na przeciwnym biegunie, wśród tych, co *a priori* odrzucają pomoc „księży i panów?” Na to pytanie dał nam odpowiedź świeżo odbyty zjazd kółek Staszicowskich. Na nadużycie tytułu jużesmy kiedyś zwracali uwagę; widzimy też nadużycie drugie, nadużycie wzniosłego hasła „sami sobie,” wyrażającego się jedynie w dość ordynarnej zawiści klasowej. Hasło to w dodatku nieszczerze. Na ostatnim zjeździe, na który przybyło dwustupięćdziesięciu delegatów pięćdziesięciu kółek nieustannie rozbrzmiewały skargi na brak pomocy i poparcia ze strony społeczeństwa; pocóż ta pomoc, poco to poparcie, jeżeli „sami sobie” naprawdę dawać mają radę? Rezultaty pracy są dość nikłe; a i te, które są, pochodzą tylko z samych kółek, gdzie pracują właścianie; zarząd centralny, gdzie zasiadają ambitni przywódcy, którzy odrębną organizację dla zadowolenia swej ambicyi generalskiej stworzyli, nie umiał zrobić zgoła nic, nic nie zorganizował i nie stworzył; a skargi na brak poparcia ze strony społeczeństwa nic tu nie pomogą i nic nie tłómaczą; trzeba było to przewidzieć, organizując secesję.

Jeden z najznakomitszych działaczy kółek Staszicowskich, równocześnie jeden z wybitniejszych działaczy na polu mleczarstwa krajowego, człowiek, którego o brak radykalizmu nikt posądzić nie może, stwierdził, że główną przeszkodą rozwoju tych kółek jest brak pomocy technicznej i materyalnej, a pomoc tę znajdują one tylko w połączeniu z Centralnem Towarzystwem Rolniczem. To mówił człowiek praktyczny. A chociaż zakończenie jego przemówienia ma ton nieco wiecowy, mówi o nie poddaniu się pod supremację C. T. R., lecz o opanowaniu go i zinuszeniu „do regulowania spraw rolniczych w duchu interesów ludu” — można to zakończenie złożyć na karb konieczności przystosowania się do audytoryum. Myśl praktyczna zaś została już rzucona i może kiełkować będzie; a zakiełkowałaby z pewnością, gdyby nie matadorzy warszawscy zarządu głównego.

Jako rzecz charakterystyczną dla konsekwencji naszych działaczy radykalnych, którzy zawsze tylko wolność i równość mają na ustach, warto zanotować, że na zjazd nie zaproszono i nie dopuszczono przedstawicieli prasy, kółkom Staszicowskim nieprzychylnych. To — na zjazd kulturalny. Skądże ta obawa jawności? a może poprostu wstyd, że mimo gromkich frazesów nic się nie dokonało? a może też zastosowanie dewizy, że sprawozdania skła-

dają tylko „sami—sobie?“ Zaprawdę dziwna to droga do zdobycia wśród społeczeństwa zaufania i poparcia, na którego brak tak nieustannie rozbrzmiewały lamenty...

*

*

*

W chwili, gdy toczy się przed sądem lwowskim protest o popełnione w uniwersytecie lwowskim gwałty młodzieży ruskiej, czoło każdego Polaka rumieniec wstydu pokrywa. Bo, niestety, nie może twierdzić, że to młodzież barbarzyńskiego narodu bez kultury dziką i ciemną przemocą zmierza do zwycięstwa swoich dążeń narodowych, bo przyznać musi, że i wśród jego narodu, tak chętnie szczyłającego się tysiącletnią kulturą, istnieje odłam młodzieży, który gorszą bodaj jeszcze, dzikszą jeszcze przemocą targnął się na najstarszą pięćsetletnią wszechnicę polską, nie mając nawet na wytlómaczenie obłędu, mimo wszystko na tle szlachetnym, uczuć narodowych, lecz mętne względy partyjne, działanie jako świadome czy nieświadome narzędzie prądów i dążeń, nie wspólnego ani z nauką ani z narodowością niemających.

Pisaliśmy już na tem miejscu o ekscesach, do jakich powodu dostarczył wykład publiczny nowomianowanego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. Zimmermana. Rezultatem ich był sąd uniwersytecki na sprawców i niezmiernie łagodny, prawdziwie ojcowski wyrok senatu akademickiego, skazujący dwóch najwinniejszych na relegację, kilkunastu zaś — na mniej lub więcej lekkie kary. Mimo wyrok tak łagodny poprzednie ekscesy okazały się tylko skromną przygrywką do następnych. Młodzież postępowa, a więc ta, która w teorii żąda rozstrzygnięcia wszystkich spraw głosowaniami powszechnymi na podstawie jaknajszerszej wolności i równości, w praktyce zaś występuje z dzikością satrapów, dając przedsmak i ostrzeżenie, czem byłyby rządy radykalne—młodzież ta ogłosiła strajk na uniwersytecie. A że ani profesorowie z katedr, ani studenci, którzy na uniwersytecie chcą uczyć się i pracować, z sal ustąpić nie chcieli, więc przemocą, zajmowaniem gwałtem sal wykładowych, niszczeniem sprzętów normalną pracę udaremniła i do zamknięcia uniwersytetu jagiellońskiego doprowadziła. Zamknięte zostały wrota *Alma Mater* starodawnej; niewinne figle żaków minionych dni zastąpiły bar-

barzyńskie harce żaków współczesnych. Co będzie dalej — dotąd niewiadomo.

Przypomnijmy *meritum* zatargu. Wydział teologiczny, korzystając z autonomii uniwersyteckiej, tej autonomii, której o młodzież rosyjska domaga się usilnie bezpłodną także drogą strajków, zaprosił na katedrę socjologii chrześcijańskiej ks. Zimmermana. Nie chodziło tu o teorię samą ile raczej o praktykę życiową, o nauczanie przyszłych duchownych metod pracy społecznej. Dlatego zwracano uwagę nietylko na naukowe kwalifikacje kandydata, ile na jego zdolności praktyczne, a w tym względzie stanowisko ks. Zimmermana, najbliższego współpracownika nieodżałowanego i niezastąpionego ks. Wawrzyniaka, dawało rękojmię zupełnej kompetencji. Nowomianowany profesor, którego przedmiot, objęty programem wydziału, jest obowiązujący tylko dla teologów, skorzystał z prawa, przysługującego każdemu profesorowi i ogłosił wykłady publiczne, na tematy praktyczne, dostępne dla studentów wszystkich wydziałów, ale nieobowiązujące dla nikogo, na które zatem postępowcy uczęszczać nie mieli potrzeby. Jako wielki argument protestu wytaczany bywa fakt, że na żadnym wydziale świeckim niema katedry socjologii, która, zależnie od ujęcia, kwalifikuje się do dyscypliny nauk prawnych lub filozoficznych, natomiast stworzono ją na wydziale teologicznym. Brak ten można było usiłować uzupełnić środkami legalnymi, które są w ręku młodzieży, uchwałami wieców, petycjami do Koła Polskiego i do ministerjum, osobistym naciskiem delegacyi młodzieży — nie było potrzeby uciekania się do burd karczemnych. Argument ten zresztą wymyślony został po fakcie, w celu zjednania sobie opinii. Przedtem słyszeliśmy tylko wrzaski o sklerykalizowanie uniwersytetu — dlatego, że profesorem na wydziale teologicznym został ksiądz, jak gdyby mógł nim zostać Żyd lub socjalista; przecież nikt nie gwałci autonomii chederów i szkół rabinów, nikt nie posyła tam w charakterze nauczycieli księży katolickich, nikt nie gwałci swobody wieców tłuszczy w ujeżdżalni. A wniosek ostateczny, że *meritum* zatargu utrzymać się nie da.

Przejdźmy do metody działania. Strejki uniwersyteckie, jako sposób walki o prawa, ideologicznie wynikają z socjalistycznej koncepcyi życia, praktycznie zaś zaczerpnięte zostały ze wschodu, gdzie zresztą nigdy do żadnych rezultatów nie doprowadziły, mimo groźniejszego przebiegu i większych ofiar, niż w Krakowie. Stosowane sporadycznie w krajach kultury łacińskiej, we Włoszech i we Francji, również nie dały żadnych rezultatów. I miały tam przeciw sobie opinię. A miały ją przeciw sobie dlatego,

że w ludach łacińskich—bez względu na taki czy inny światopogląd — istnieje bardzo silne poczucie prawa. Prawo może być złe, można i trzeba o jego zmianę walczyć, ale póki istnieje, trzeba mu być posłusznym; łacińskie — *dura lex, sed lex*. A prawo przepisuje wszędzie, że uniwersytetami rządzą nie słuchacze, lecz senat i fakultety; słuchacze, którzy chcą wpływać na obsadzanie katedr drogą przemocy fizycznej, popełniają bezprawie i sami stawiają się poza dobrodziejstwem ustroju prawnego. Tylko ślepy barbarzyńca, ustroju tego nie świadom, *ultima ratio* w pięści swojej widzi. A skąd idą te prądy, barbaryzujące młodzież naszą, wiemy aż nadto dobrze.

Nie pomijajmy i zakulisowych stron sprawy. W napadzie na uniwersytet nie uczestniczyli bynajmniej sami tylko studenci; widziano w tłumie znaczną ilość byłych studentów, inteligentów, nawet robotników. Po Pyrrhusowem zwycięstwie rozłukanej młodzieży zagrzewał ją do dalszych świetnych równie bojów poseł Daszyński; inspirowali tłum poseł Diamand i p. Haecker. Jasne są więc pobudki akcji; zbyt czarna pokrywać je wstydliwie strzypami wolnej myśli, która z całą tą sprawą najmniej ma wspólnego. Grają tu rolę poprostu ordynarne względy konkurencji politycznej; pokolenie młodego duchowieństwa, wyszkolone do pracy publicznej i społecznej przez prof. Zimmermana mogłoby stanowić skuteczną przeciwwagę agitacji socjalistycznej. Tu skupiają się nici całej intrygi: chodzi poprostu o to, aby za wszelką cenę do takiego wykszolenia nie dopuścić.

Gdziekolwiek w naszym społeczeństwie widzimy jakiegokolwiek próby rozstroju, nie zbraknie oczywiście nigdy w pierwszych szeregach Żydów. Jak wiadomo, takt jest ostatnim przymiotem tej rasy. Trzeba nie posiadać elementarnego poczucia taktu, aby natrętnie mieszać się do spraw jednego wyznania, o ile należy się do innego. Żydzi w roli arbitrów w wewnętrznej sprawie wydziału teologicznego katolickiego są nie tylko zjawiskiem wstrętnym, ale i groźnym; świadczy to bowiem, że niema takiej dziedziny naszego życia wewnętrznego, do której nie interweniowali by intruzi, zewsząd niegdyś przez zdrowy instynkt samozachowawczy narodów wypędzani, na naszej ziemi nieogłędnie niegdyś przyjęci i za doznaną gościnność wywdzięczający się dziś przeciwstawianiem naszym interesom na każdym polu. Z dziwną lekko-myślnością czynią oni wszystko, aby coraz szerzej objęte żywe siły narodu przeciw sobie uruchomić.

A możliwe konsekwencye? Przeważny udział w burdach brała młodzież polska z Królestwa. Nie dziwić się temu—plonie

w niej światło ze wschodu, nie z zachodu, skąd od wieków czerpaliśmy wpływy. Ale niema prawa narodowego, w którego imię moglibyśmy w opinii zabronić Galicyi pozbycia się, względnie ograniczenia, dopływu żywiołów, gwałcących normalne życie, przeciwdziałających rozwojowi tej dzielnicy. Kosztem ofiar materyalnych, dla wielu ciężkich, kształcimy synów naszych w zdobytych z trudem szkołach polskich; nie chcemy posyłać ich na uniwersytety wschodnie, na które zresztą patenty tych szkół dostępu nie dają; z wdzięcznością patrzyliśmy na usiłowania pojedynczych profesorów oraz senatów uniwersytetów polskich, aby uzyskać w Wiedniu, w ministeryum, na dobrej jedynie woli nie na ustawie opartą nostryfikacyę dyplomów niektórych szkół polskich. Te wszystkie ciężkie a korzystne zdobycze są dziś zagrożone. Jedno pociągnięcie pióra może uniwersytety polskie w Galicyi dla młodzieży naszej zamknąć, a już słyszymy pewne głosy urzędowe, zwiastuny w tym kierunku. Co zrobimy wtedy, my, rodzice? Znowu będziemy oddawali dzieci nasze pod wpływy, pod oddziaływanie obcych kultur?

O cóż zatem ostatecznie walczą lekkomyślni awanturnicy krakowscy? Ufajmy, że ustanie zaślepienie, że zrozumieją co czynią, gdy niebawem zamknięty dziś uniwersytet Jagielloński otworzy swoje podwoje w nowym, letnim semestrze.

*

*

*

Areną debaty polskiej była w obecnej sesyi prawodawczej Rada Państwa. I to areną nie byle jaką, skoro wystąpili w szranki tacy mówcy, jak premier obecny i upadła, stąd zawsze rozgoryczona wielkość, hr. Witte. Chodziło o znany już czytelnikom z poprzedniego streszczenia dziwołąg prawodawczy, projekt ziemstw dla Litwy i Rusi, głośny ze stwarzania nowych norm arytmetycznych i z bezapelacyjnego oddania rozstrzygania spraw narodowościowych w ręce gubernatorów. Dla autorów projektu środek ciężkości kwestyi polskiej leży nie w Królestwie, lecz na Litwie i Rusi, w owych ziemiach „odwiecznie rosyjskich,” których „odwieczną rosyjskość” trzeba jednak utrzymywać, zachowywać — powiedzmy nawet stwarzać — przy pomocy różnych specjalnych praw i przywilejów.

Mowa premiera, szeroko postawiona, zmierzała do uzasadnienia właśnie dziwolągów projektu; głównym motywem ma tu być oczywiście „racya stanu,“ poparcie polityki państwowej przeciw nielicznemu, ale wpływowemu, prawie panującemu, żywiołowi polskiemu. Nie szczędzono nam zresztą komplementów. Mówca wykazał, że każdą instytucję, nawet najniewinniejszą, ekonomiczną, opanowują Polacy i skierowują bieg jej czynności na młyn swoich interesów narodowych. A dalej rzucił pytanie:

„Dlaczegoż to Polacy w każdym zgromadzeniu, w każdej instytucji grupują się na podstawie narodowości? Dlaczego oto tutaj, w Radzie Państwa albo w Izbie Państwowej, przedstawiciele polscy nie rozeszli się po różnych partyach i frakcyach, nie przyłączyli się do „kadetów,“ przedstawiciele handlu i przemysłu, ale sformowali odrębne, zwarte koło narodowe?“ I daje na to odpowiedź, bynajmniej dla nas nie niepochlebną. „Oto dlatego, panowie, iż należą oni do narodowości, skutej bólem narodowym, zjednoczonej nieszczęściem historycznym i dawnymi ambitnymi marzeniami, bo należą oni do narodowości, która ma jedną tylko politykę — ojczyznę. I oto te wzniosłe pobudki nadały ludności polskiej wielki hart polityczny!“

Zdawało się słuchaczom, że wciąż mówi jeszcze, a to tylko echo grało... z Berlina. Znane melodye, znane komplementy, stosowane po to tylko, aby w imię ich tem mocniej uderzyć.

Zrozumiała rada, zrozumiałe życzenie! Owszem, niech się Polacy rozejdą po wszystkich stronnictwach, nawet do zniechędzonych „kadetów,“ byle nie szli najmniejszą chociaż, ale zwartą grupą narodową. Bo wtedy i społeczeństwo polskie rozejdzie się po rosyjskich ideach i kierunkach, a wtedy oczywiście i projekt specjalny ziemstw nie będzie potrzebny, bo nie będzie i tego społeczeństwa, przeciw któremu jest skierowany!

Mowa hr. Olizara, dobrze zbudowana i dobrze wypowiedziana, trafiała do opinii tego zgromadzenia argumentami, jakimi trafić mogła, choć, czy trafi, wątpić wolno. Nie brakło nawet argumentu, że „projekt ustanawia odrębne interesy polskie i odrębne przedstawicielstwo polskie. Być może, iż zadowoli to Polaków-szowinistów, lecz nie Polaków-obywateli kraju, którzy pragną być obywatelami, posiadającymi pełnię praw. Dla ostatnich jest to strasznym ciosem, gdyż ci Polacy uważają za konieczną łączność wszystkich narodowości kraju i wspólną z nimi pracę.“

Rola upadłej wielkości jest zawsze trudna; trudna tembardziej, gdy mówca, jak hr. Witte, nie jest przyjacielem ani obecnego rządu, ani Polaków. Krytyka wychodziła tu z założenia,

że projekt rządowy wobec świata przyznaje w odwiecznie rosyjskich guberniach, iż mogą istnieć kurye polityczne ludności nierosyjskiej, które mogą mieć interesy własne, nie identyczne z interesami państwowości rosyjskiej, które mogą mieć prawo wyboru swych pełnomocników, przedstawicieli, mających interesy, niezgodne z państwowością rosyjską. Tymczasem, do tego samego celu zniweczenia wpływów polskich zmierzałby środek inny, prostszy, mianowicie demokratyzacya ziemstwa, zapewnienie w niem wpływu przeważnego włościanom, którzy dla Polaków usposobieni są wrogo. Argument dosyć przekonywający, ale może nie w tem zgromadzeniu, gdzie widmo nienawiści klasowej musi jednak wywoływać pewne przerażenie. A w przemówieniu znalazło się bolesne uklucie także i pod adresem polskich członków wysokiego zgromadzenia z Litwy i Rusi, których chce usunąć i zastąpić przez Rosyan ten sam rząd, któremu oni niezmiennie głosy swoje oddawali... Hr. Witte, jako opozycjonista, widzi w tem palec Boży...

Podczas gdy Rada Państwa uszczęśliwia rodaków naszych z Litwy i Rusi *ad hoc* dla nich opracowanem ziemstwem, komisya samorządowa Izby rozdała członkom projekt ziemstw dla Królestwa, notowany w swoim czasie na tem miejscu, jako bliżej nieokreślony krok taktyczny stronnictwa październikowców. Nie streszczamy go tu obszerniej, uważany go bowiem za nierealny, a w każdym razie mający przed sobą długą jeszcze drogę do przebycia. Procedura bowiem jest taka: na pełnem posiedzeniu Izba wypowie się za lub przeciw zasadom projektu; w pierwszym wypadku może wezwać bądź rząd, bądź swoją komisję, do opracowania projektu prawodawczego w szczegółach; dopiero tak opracowany projekt wróci do Izby, musi być w drodze regulaminowej przez nią i przez Radę Państwa przyjęty, wreszcie uzyskać sankcyę Monarszą. Nieprędko zatem jeszcze doczekamy się u nas samorządu ziemskiego. Tembardziej, że jako tak blizki urzeczywistnienia proklamowany projekt samorządu miejskiego, także gdzieś utknął po drodze...

Streśćmy jednak pokrótce zasady. Zatem w przeciwieństwie do Cesarstwa, projektowane są ziemstwa bezstanowe, bo u nas stanów niema. Radnych ziemskich wybierają zgromadzenia gminne oraz specyalne zjazdy wyborcze wiejskie i większych właścicieli. Wobec braku w Królestwie marszałków szlachty, przewodniczących wybierają sobie same zebrania, zatwierdzanych następnie przez władzę Najwyższą, o ile chodzi o ziemstwa gubernialne, i przez ministra spraw wewnętrznych, jeżeli chodzi o ziem-

stwa powiatowe. Projekt nie przewiduje centralnego organu ziemskiego dla Królestwa, natomiast za każdorazowem zezwoleniem generał-gubernatora warszawskiego porozumiewanie się kilku ziemstw gubernialnych między sobą w celu przeprowadzenia prac, przekraczających siły jednego. Język polski jest dopuszczony w rozprawach ustnych i w urzędowaniu wewnętrznem.

Jak widzimy, projekt dość liberalny, względnie może dlatego, że urzeczywistnienia tak daleki. Przejście ewentualne przez alembiki różnych komisyj i licznych zebrań ogólnych nadałyby mu z pewnością te cechy ograniczeń, których mu dziś brakuje. Wszak i Królestwa nic nie przeszkadza nazwać krajem „rdzennie i odwiecznie rosyjskim“ i dlatego właśnie rosyjskość wzmacniać i ubezpieczać. *Il n'y a que le premier pas, qui coute.*

Na zakończenie tej kroniki parlamentarnej zanotujmy jako *curiosum* fakt, że komisya szkolna, do której powrócił z Izby projekt szkolny, zniosła wszystkie prawie poprawki przez tę Izbę przyjęte, starła nawet te rzadkie ślady liberalizmu, które projekt jeszcze zawierał. Odrzucono więc poprawkę, zmierzającą do wykładu języka ojczystego uczniów w szkołach początkowych; przyjęto poprawkę, aby wykład religij nieprawosławnych był obowiązujący tam jedynie, gdzie większość ludności należy do wyznania nieprawosławnego (Koło Polskie stawiało wnioszek—jeżeli będzie chociażby pięcioro dzieci, opierając się na prawie, obowiązującym w gub. wileńskiej, a więc bynajmniej nie zbyt przychylnem dla „inorodców“); przyjęto poprawkę, mocą której wykład religii rzymsko-katolickiej dla dzieci ludności biało- i małoruskiej ma się odbywać w języku rosyjskim; obalona została wreszcie zasada poddania szkół cerkiewno-parafialnych pod nadzór rządowy. Słowem, zamiast przyjętego już w pierwszym czytaniu przez Izbę projektu szkolnego, wypracowano nowy, w stosunku do rządowego ulepszony i wzmocniony. A prawa języków ojczystych uczniów zostały zniesione zupełnie.

*

*

*

Mimo wszelkich pozorów przeciwnych, mimo „odsieczy Wiednia“ i „przedmurza chrześcijaństwa,“ mimo pełnych kościołów i dużej roli społecznej duchowieństwa, niema na świecie narodu

mniej świadomie religijnego, niż nasz. Mowa tu oczywiście o inteligencji, bo od człowieka nieoświeconego trudno wymagać świadomości religijnej, która jest świadomością rzędu wyższego. Nie ma w tem zresztą nic dziwnego. Świadomość religijna dotyka badań najogólniejszych, najwyższych, metafizycznych, wymaga chęci i dyscypliny myślenia, której nam, niestety, tak bardzo brakuje. Nigdzie może nie znajdzie się tylu ludzi, co u nas, wyznających jakąś religię własną, jednostkową, a więc nie rozumiejących zupełnie o co chodzi, nie rozumiejących, że każda religia wymaga dwóch czynników zasadniczych: formy, w którą ubrana jest treść wierzeń, oraz zrzeszenia, czyli skupienia wyznawców, skoordynowania wysiłków idealnych w kierunku dążeń i pragnień zaświatowych, zagrobowych. Bałamuctwa i zamęt szerzone są w tej dziedzinie życia na każdym kroku.

A wychodzą na jaw w ocenie zjawisk tej dziedziny. Przed paru miesiącami pisaliśmy na tem miejscu o maryawityzmie. Rozłam, oparty o największe uwstecznienie ascetyzmu, o zaciemnianie umysłów, o najgrubszą, najordynarniejszą symbolikę, znalazł nagle opiekunów wśród naszych postępówców i radykałów, zatem ludzi, z założenia niejako powołanych do rozszerzania, a nie zwięzania zakresu myśli ludzkiej. Błąd, popełniony tutaj, jest błędem indywidualizmu, anarchii, wyrażającym się w popieraniu wszelkiej scysyi, byleby była próbą rozstroju, byle niweczyła i podważała istniejącą wiekową organizację.

Ciekawe jest stanowisko tej opinii wobec zjawiska wtórnego, wobec rozłamu już teraz w samym wyznaniu maryawickiem. Dla każdego chłodnego, bezstronnego obserwatora zjawisko to jest zupełnie zrozumiałe: skoro udało się stworzyć nowe wyznanie pani Kozłowskiej, dlaczego dziś nie ma kusić się o to samo panna Cychlarzówna, jutro jakaś pani czy panna, dotąd jeszcze nieznana, pojutrze znowu inna i tak dalej bez końca. Jeżeli stać na stanowisku religii indywidualnej, takie rozszerzanie można prowadzić aż do skutku, aż do zupełnego zatomizowania i dla każdej takiej sekty zachować szacunek jednaki lub jednakie... wzruszenie ramion. To ostatnie tembardziej byłoby usprawiedliwione wobec zdumiewającego w tej herezyi i jej pochodnych wpływu nieoświeconych zupełnie kobiet. Zaraz zatem musi iść wątpliwość, albo co do istotności ascetyzmu tych duchownych, albo też co do współzależności tego intelektualnego wpływu kobiet od ascetyzmu właśnie. Nie wygląda to wszystko na gorliwe, ciężkie i niespokojne poszukiwanie prawdy, lecz na jakiś taniec konwulsyjny na tle mistycznym.

Faktorzy i maklerzy maryawityzmu — mniejsza o to, bezinteresowni czy nie — inne znaleźli wyjaśnienie sprawy. Chcąc za wszelką cenę obronić integralność wyznania maryawickiego—widocznie jest to urzędowe wyznanie naszego radykalizmu—wymyślili bajkę, jakoby panna Cychlarzówna, a nawet ubogi duchem iluminat, Zebrowski, faktyczny twórca rozłamu, byli agentami Kościoła katolickiego, nasłanymi specjalnie w celu wywołania rozłamu. Przypuszczenie nieprawdziwe, a — ze względu na naturę narzędzi — oburzające.

W rozłamie tym jeden jeszcze uderza szczegół: walka na pięści, wyrzucanie się wzajemne z kaplic przy pomocy policji. Nie należymy bynajmniej do postępowców; a jednak ta interwencja ramienia świeckiego w najtajniejsze sprawy dusz ludzkich, w sprawy religijne, interwencja, przypominająca dawne barbarzyńskie wojny religijne, a przecież współczesnym niektórym naszym postępowcom tak droga — głębokim napełnia nas wstrętem. Jest to właśnie następstwo uwstecznienia religijnego i barbarzyństwa obyczajowego; jest to ta burza, którą zbierają ci, co wiatr posieli.

*

*

*

Sprawa Rydzyny, smutna sprawa, którą streszczaliśmy pokrótce na tem miejscu przed paru miesiącami, doczekała się w opinii paru epilogów, a dalsze jeszcze nastąpią. Sąd obywatelski w Poznaniu wskutek zatargu między pos. Dziembowskim a *Dziennikiem Poznańskim*, złożony z obywateli powszechnie znanych i szanowanych, uznał, że pos. Dziembowski w sprawie Rydzyny nie sprzeniewierzył się w niczem obowiązkom Polaka i obywatela. Komisya Rady miejskiej krakowskiej, której członkiem jest Antoni hr. Wodzicki, aczkolwiek złożona z jego przeciwników politycznych, uznała, że miał prawo postąpić tak, jak postąpił, że miał prawo układać się z rządem pruskim o zrzeczenie się praw do spadku w zamian za odszkodowanie ze strony rządu pruskiego. Prócz tego Henryk hr. Potocki poddał swoje postępowanie w sprawie Rydzyny pod sąd Koła Polskiego w Izbie państwowej w Petersburgu, o postępowaniu zaś Antoniego hr. Wodzickiego będzie jeszcze wyrokowało Koło Sejmowe Sejmu lwowskiego;

wyroki tych ciał wkrótce zapewne nastąpią i — na zasadzie procedensów — wnosić wolno, że będą dla obu uczestników układu pomysłne.

Rozum, karność społeczna, wszystkie niemal względy każą przed wyrokami dotychczasowymi uchylić czoła. Czynimy to, co obowiązek nam każe, a jednak...

Sprawa jest bardzo skomplikowana, a wszystkich aktów nie podano opinii publicznej do wiadomości, skutkiem czego wyroki w motywach są niejasne i mimowoli czytelnik znajduje w nich niepokojące niedomówienia. Sprawa jest bardzo skomplikowana, a dotychczasowe sądy nie powoływały się na opinię innych rzeczoznawców, lecz tylko dwóch bardzo zdolnych, ale i bezpośrednio w niej zainteresowanych prawników, posłów Dziembowskiego i Loewensteina. Zdrowy rozsądek rzuca też wątpliwość taką: jeżeli istotnie Rydzyna prawnie dla społeczeństwa polskiego straconą była, jeżeli bez przeszkód prawnych rząd pruski mógł przyjść do jej posiadania, to za cóż ma być wniesiona owa opłata czterech milionów marek uczestnikom kompanacji? Wszakże suma jest dość znaczna, aby ją tylko dla miłej zgody, dla uniknięcia kosztownego procesu wypłacano, wszak *implicite* fakt opłaty świadczy o istnieniu jakichś praw, których zrzeczenie opłacić należało?

I jeszcze jedna nasuwa się bolesna i gorzka uwaga. Dotyczy ona charakteru epoki, gonienia za groszem za wszelką cenę; każdy chce mieć więcej i coraz więcej, chociażby nawet już przez los był aż nadto uposażony. Gdyby istniało jakie takie zadowolenie z tego, co się ma, gdyby nie gorączkowa chciwość, przebieranoby bardziej w środkach pomnożenia majątku. Stoimy na gruncie wyroków sądów dotychczasowych, wierzymy, że interesowani są w zupełnym formalnym porządku. Ale widzimy również, że polskość w zaborze pruskim straciła szmat ziemi, a kraj, a społeczeństwo nie zyskało w zamian za to nic zgoła; zyskali dwaj Polacy indywidualnie.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Aleksander Oskierko.

Na Litwie zmarł starzec przeszło osiemdziesięcioletni, będący jakby drogą relikwią przeszłości, tej przeszłości górnej i chmurnej, na obywatelskiej zasłudze i wielkiej ofiarności opartej. Zeszedł do grobu jeden z tych obywateli nieskazitelnie czystych i prawych, zasług bezwzględnych a niepospolitych, który był czczony przez wszystkich, bez względu na różnice przekonań i poglądów.

Ś. p. Aleksander Oskierko urodził się w r. 1830 w Rajewszczyźnie (pow. wilejski) z rodziny, szeroko na Litwie i w Inflantach rozgałęzionej i ustosunkowanej. Jeszcze przed powstaniem, jako względnie młody człowiek, zajmował wśród obywatelstwa miejscowego stanowisko bardzo poważne, a to dzięki wysokiemu wykształceniu i wybitnym zaletom charakteru; w r. 1861 był powołany do wileńskiego gubernialnego komitetu włościańskiego i wybrany w r. 1862 na rzeczywistego członka komitetu statystycznego i na członka honorowego komisji archeologicznej.

Przed powstaniem zmarły działacz był wodzem stronnictwa Białych na Litwie; węzły serdecznej przyjaźni i życzliwości łączyły go z Włodzimierzem Spasowiczem, Józefatem Ohryzką, Jakóbem Giejsztorem. Po wybuchu powstania został członkiem Rządu Narodowego. Przyplacił to utratą majątku i długoletnim pobytem na Syberyi. Skazany w r. 1863 na piętnaście lat robót ciężkich, pieszo odbywał tysiãcomilową drogę do Ussolia, gub. irkuckiej, gdzie miał w kopalniach pracować. Po kilku latach przeszedł na osiedlenie, a kiedy wreszcie po wielu amnetych mógł już Syberję porzucić, na Litwę wrócić mu nie pozwolono. Osiadł więc w Warszawie, gdzie przez lat kilka był redaktorem

założonego przez Spasowicza, dziś już nie istniejącego miesięcznika „Ateneum.“ Wreszcie mógł już powrócić do ukochanego Wilna; pracował tu jako dyrektor filii miejscowej Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń. Przed laty kilku, sterany długoletnią pracą i cierpieniami, usunął się w zacisze domowe. Tam też życia dokonał, pozostawiając w sercach wszystkich żal głęboki i powszechny, oraz pamięć prawego, zacnego Polaka i obywatela, przed którego mogiłą każdy z czcią głowę pochyli.

ś. p. Wacław Nałkowski.

W ubiegłym miesiącu zmarł w Warszawie znakomity uczony na europejską miarę.

Ś. p. Wacław Nałkowski urodził się w Nowym Dworze (gub. lubelska) w r. 1852. Po ukończeniu z medalem złotym gimnazjum w Lublinie, studyował na uniwersytetach w Petersburgu, w Krakowie, wreszcie w Lipsku, gdzie młody metamatyk specjalizował się w umiłowanej geografii, oraz naukach pomocniczych, geologii i etnologii, pojmował on bowiem geografję nie jako zbiór suchych szczegółów i nazw, lecz jako naukę nauk o krajach, jako naukę wyczerpującą wszystkie szczegóły statyczne, kraju danego dotyczące.

W myśl tych zasad wytycznych, jeszcze jako student wszechnicy Jagiellońskiej, powziął myśl radykalnej reformy nauki geografii, ale zamierzonego wówczas podręcznika nie opracował, tylko wstęp do niego wydrukował w r. 1876 w „Szkicach społecznych i literackich.“ Plany swoje wykonał znacznie później dopiero. W r. 1891, w „Przeglądzie Pedagogicznym“ ogłosił Nałkowski program geografii powszechnej poglądowej, a niebawem potem wyszła i książka, według tego programu opracowana. Potem nastąpiła „Geografia powszechna rozumowana,“ która była zupełnem urzeczywistnieniem planów reformatorskich uczonego.

W „Słowniku geograficznym“ ogłosił następnie Nałkowski pracę p. t. „Polska, obraz geograficzny Polski historycznej.“ Kiedy w r. 1894 Towarzystwo geograficzne w Petersburgu powzięło zamiar opracowania geografii Litwy, uchwalono dokonać tego według wzoru i metody, wskazanej przez Nałkowskiego w wymienionej wyżej pracy.

Niezależnie od tych prac, pomimo trudów pedagogicznych, zamieszczał Nałkowski liczne artykuły geograficzne w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej,” w „Poradniku dla samouków,” prowadził kroniki geograficzne w „Wiśle.” Z innych prac zmarłego wymienimy jeszcze zbiór szkiców i studyów geograficznych p. t. „Ziemia i człowiek” oraz „Rozwój ziemi,” krótką syntezę wiedzy geologiczno-geograficznej.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Na posiedzeniu Komisji antropologicznej przy Wydziale II-im, odbytem w dniu 28 stycznia r. b., p. K. Stolyhwo przedstawił nowe uzupełnienia i zmiany w budowie osteoforu-projekeyometru, oraz demonstrował ten przyrząd. Następnie p. E. Majewski zakomunikował wiadomość o nowych wykopaliskach w Iwanowicach nad Dłubnią, demonstrując znalezione tam okazy. Wreszcie p. K. Stolyhwo zdał sprawę ze stanu prac przygotowawczych nad instrukcją do badań antropologicznych.

Dnia 8 lutego odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Michał Rowiński odczytał część dalszą referatu o przekładach Felicyana Faleńskiego; dokończył w nim oceny porównawczej przekładów Hezjoda przez Faleńskiego i Kazimierza Kaszewskiego. P. St. Szober ocenił ze stanowiska lingwistycznego broszurę prof. O. Balzera.

Na posiedzeniu Wydziału II-go, odbytem dnia 10 lutego pod przewodnictwem p. J. K. Kochanowskiego, p. Marceli Handelsman wygłosił odczyt p. t. „Souvenirs d'un diplomate“ Bignon'a, jako źródło do dziejów Księstwa Warszawskiego. W dyskusyi, jaka się potem odbyła, zabierali głos p. p. Aleksander Kraushar i prelegent.

Posiedzenie Wydziału III-go odbyło się w dniu 9 lutego. Na wstępie Sekretarz przedstawił krótki zarys działalności Wydziału nauk matematycznych i przyrodniczych w ciągu pierwszych lat trzech istnienia Towarzystwa. Wydział odbył 26 posiedzeń, na których zakomunikowano 140 oryginalnych rozpraw naukowych. Krótkie streszczenia tych prac, zamieszczone w „Sprawozdaniach“ Towarzystwa, zajęły przeszło 1,000 stron druku, prócz prac większych rozmiarów wydanych oddzielnie. Na Sekretarza Wydziału na następne trzechlecie wybrano ponownie p. J. Tura. Wygłoszono komunikaty: p. Z. Dmochowski przedstawił rozprawę p. Maryi Dunin-Karwickiej: „Gdzie znajdują się

w warunkach fizyologicznych dwójłonne lipoidy w ustroju ludzkim“; p. J. Tur przedstawił pracę p. W. Wietrzykowskiego p. t. „Badania nad rozwojem Lucernarii“; p. J. Lewiński przedstawił rozprawę p. Cz. Łopuskiego p. t. „Badania nad fauną kredową Lubelskiego. Cz. I. Mięczaki głowonogie“; p. J. Tur przedstawił rozprawę p. R. Błędowskiego: „O wahaniach w budowie worka skórno-mięśniowego u Bonellii“; p. J. Tur zakomunikował wyniki swych badań nad „Anomaliami dojrzewania jaj mięczaka *Philine aperta* L.“; p. Wł. Janowski przedstawił pracę p. St. Sterlinga p. t. „Z historii wątroby“; p. W. Sierpiński zakomunikował swą rozprawę: „O pewnej własności continuum“; tenże: „O kilku algorytmach dla rozwijania liczb rzeczywistych na szeregi“; p. St. J. Thugutt: „O nowem złożu metameronu natrolitowego“; tenże: „O itnerycie i skolopsycie w świetle mikrochemicznych dochodzeń.“

— „BIBLIOTEKA TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW HISTORII W WARSZAWIE.“ Pod tym tytułem rozpocznie się wkrótce wydawnictwo ilustrowane, nieperyodyczne, poświęcone zobrazowaniu przeszłości Warszawy pod względem historycznym, artystycznym i obyczajowym. Do seryi pierwszej wejdą prace następujące: B. Chlebowskiego: „Warszawa za książąt mazowieckich i przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy“; W. Gomulickiego: „Z dziejów Starego miasta“; M. Handelsmana: „Warszawa w latach 1806—1807“; J. Iwaszkiewicza: „Warszawa w 1812 r.“; A. Kraushara: „Karol Alberti, malarz nadworny landgrafa hessen-darmsztadzkiego i jego widoki Warszawy oraz okolic z końca XVIII wieku“; J. Kucharzewskiego: „Warszawa, stolica Królestwa Kongresowego“; H. Mościckiego: „Generał Sowiński“; Wł. Smoleńskiego: „Prezydent Dekert i Warszawa podczas Sejmu czteroletniego“; Wł. Tatarkiewiczza: „Empire“ w Warszawie“; L. Trzcńskiej: „Z dziejów dawnego szkolnictwa warszawskiego.“ Nadto do „Biblioteki“ wejdą monografie z dziejów handlu i rzemiosł warszawskich, jako też niektórych gmin wyznaniowych miejscowych.

N O W E K S I A Ą Ż K I.

— BERSOHN MATHIAS. *Dyplomatarysz dotyczący Żydów w dawnej Polsce*, na źródłach archiwalnych osnuty (1388 — 1782). Dzieło pośmiertne, wydane staraniem rodziny. Warszawa, 1911. Księgarnia Gebethnera i Wolffa.

W chwili właśnie, gdy antagonizm pomiędzy ludnością polską a żydowską doszedł na naszej ziemi do dawno niewidzianych rozmiarów, ukazał się „dyplomatarysz“ Bersohna, zawierający materiały do dziejów Żydów na ziemi polskiej. Bersohn nie był historykiem fachowym, był raczej mecenasem i wykwintnym dyletantem, ale kochał gorąco nie tylko rasę, z której wyszedł, ale i ziemię, na której żył do śmierci. Nic też dziwnego, że przygotowanie przez Bersohna „dyplomatarusza“ było raczej czynem obywatelskim, niż dziełem naukowym. „Względy społeczne,“ jako pobudkę do wydania „dyplomatarusza,“ podkreśla i sam Bersohn w swej pięknej przedmowie. „Zamiast szermierki piórem—pisze on tam—zamiast bezużytecznej polemiki, która zaw-

sze jątrzy, a nigdy żadnej ze stron nie przekona, zamiast usprawiedliwienia wzajemnych skarg i zarzutów, wad i słabości nie odłącznych od natury człowieka, ilekroć uprzedzenia jego i namiętności wchodzą w grę, jako czynniki, postanowiłem przedstawić obraz przedwiekowych stosunków ludności żydowskiej na gościnnej dla niej ziemi polskiej. Ten poważny, pełen mądrości i głębokiej znajomości potrzeb kraju i ludności szereg aktów w imieniu książąt, królów i najprzedniejszych w narodzie mężów—wydanych i pod ich strażą i opieką wykonywanych, sądzę, że będzie najlepszą odpowiedzią na nieprzetrawione należycie i w ogniu ścisłej krytyki nie oczyszczone poglądy na stosunek ludności żydowskiej w ziemiach dawnej Polski do innych tubylczych ich mieszkańców.“ Śmierć nie dozwoliła Bersohnowi zobaczyć swego „dyplomatarjusza“ w wydaniu książkowym. Pozostała rodzina przez petyzm nie uczyniła zmian żadnych w rękopisie, pomimo świadomości, że niezupełnie odpowiada wykonanie dzieła współczesnym wymaganiom naukowym. Ale i w tej formie, w jakiej się ukazało, może dzieło Bersohna oddać niejakię usługi opracowującym dzieje Żydów polskich.

— BRAUN ADAM. *Z dziejów bartnictwa w Polsce*. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. Str. 46.

Ludność bartnicza rozsiąta była ongi w niezmiernych puszczech mazowieckich i radomskich. Lasy jedlneńskie, osieckie, przasnyskie, płodownicke, ostrołęckie liczyły dziesiątki bartników jeszcze w końcu wieku XVI-go. Ale już wówczas bartnictwo w Polsce zaczynało się chylić do upadku. Rozwój jego najwyższy przypadła na czasy samodzielności Mazowsza. Wtedy to powstały i ustawy księcia Janusza Mazowieckiego z roku 1401, normujące stosunek ludności bartnej do właściciela puszczy. Ustawy te nie pozwalały bartnikom opuszczać swych barci, dopóki nie spełnili pewnych zobowiązań wobec dotychczasowego pana. Właśnie objaśnienie ustępu ustaw księcia Janusza, opisującego warunki, pod którymi wolno było bartnikom opuszczać pana, wziął p. Adam Braun za temat interesującej rozprawki z dziejów bartnictwa w Polsce. Pan B., jak sam wyznaje, zamiłowany pszczelarz, nie ulękł się drobiazgowych, źródłowych studyów, zapoznał się z całą literaturą pszczelniczą polską, zaczynając od polskiego przekładu Crescentyna i „Nauki koło pasiek“ Walentego Kąckiego z roku 1631, a kończąc na pracach Krasickiego, Kwiatkowskiego i Lewickiego. W rezultacie dał p. Braun dziełko, za które wdzięczni mu będą wszyscy zajmujący się dziejami gospodarczemi Polski.

— ADAM MICKIEWICZ. *Pisma*. Wydał, objaśnił, wstępami poprzedził Józef Kallenbach. Tom I. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911.

Niniejsze wydanie zbiorowe pism Mickiewicza różni się od dotychczasowych przede wszystkim układem utworów, podanych tu w ich chronologicznym następstwie, oraz wprowadzeniem nieznanych do niedawna pism młodzieńczych autora „Dziadów,“ odnalezionych w Archiwum Filomatów. Pozostawia-

jąc obszerniejsze omówienie niniejszego wydawnictwa do czasu ukazania się całości, podkreślić należy pietyzm i staranność edytorską, z jaką tom pierwszy został przygotowany do druku.

— HENRYK MOŚCICKI. *Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi*. Zeszyt V-ty. Wilno, 1911.

Wydany obecnie zeszyt zawiera omówienie czynności delegacji polskiej w Petersburgu w 1793 roku, przygotowań powstańców na Litwie w 1794 r., wreszcie początków rewolucji Kościuszkowskiej. Z pośród portretów i wizerunków wyróżnia się dołączony na osobnej karcie nieznaną dotychczas portret generała Jakóba Jasińskiego.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Luty, 1911. Treść: „Ziemia,” Krytyka, Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce; — Bochenek Adam, prof. d r: Anatomia człowieka; — Borel Emil, prof. Sorbony: Trygonometria; — Braun Adam: Z dziejów bartnictwa w Polsce; — Brodziński Kazimierz: Nieznane poezye; — Brzeziński Mieczysław: Moje wakacje na wsi; — Bukowiecka Zofia: Dzieci Warszawy; — Chrzęszczewska Zofia: Znani i nieznan; — Faber O. Fr. W.: Przenajświętszy Sakrament czyli dzieła i drogi boże; — Fouard G., ks.: Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa, t. II; — Fraser Forster J.: Jak Ameryka pracuje; — Gomulicki Wiktor: Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego; — Gruszecki Artur: Rycerz Maryi; — Gwoździński Franciszek: Kilka uwag o wychowaniu; — Herbaczewski Bolesław Szczęsny: Błądny rycerz; — Jabłonowski Aleksander: Podlasie, cz. III; — Karpiński W. J., prof. d-r: Gleby wapienne, borowinami zwane; — Tenże: Kiedy i jak stosować nawozy sztuczne; — Kirst H. i Z. Szczawiński: Trygonometria oraz zbiór zadań; — Kit Stanisław dr., Andrzej Frycz z Modrzewa: O wychowaniu i szkole na tle ówczesnej literatury pedagogicznej; — Tenże: Szkoła Lewartowska. Z dziejów szkolnictwa aryańskiego w Polsce; — Kramsztyk Feliks: Kurs prawa; — Loth Edward d-r: Przyczynek do kranilogii polskiej; — Łuniński Ernest: Napoleon (Legiony i Księstwo Warszawskie); — Majewski Erazm: Nauka o cywilizacji. II. Teoria człowieka i cywilizacji; — Mioduszewski Ig., ks.: Praktyczne objaśnienia zasad wiary i obowiązków moralnych; — Moszeńska Iza: O życiu i pracach Orzeszkowej; — Nowodworski Stanisław: Poznajmy prawo! II. Najem pracy fabrycznej; — Piwar S. W.: Praktyczna metoda języka angielskiego; — Reymont Wł. S.: Marzyciel, szkic powieściowy i in.; — Rutkowski Zenobiusz: Śpiew i muzyka w szkole elementarnej; — Rydel Lucyan: Z greckiego świata; — Siemiński Józef: O metodzie modernizacji pisowni w wydawnictwach źródeł polskich; — Sift Jonatan: Podróże Guliwera; — Weininger Otto: Płeć i charakter; — Wierzbicki Stefan: Pisma pośmiertne; — Zegatłowicz Emil: Nad rzeką; — Pod prasą; — Kronika; — Polemika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

FUNDACYA imienia d-ra W. Koczorowskiego, skreślił d-r A. Sokołowski sekretarz stały Warszawskiego Towarz. Lekarskiego. Odbitka z pamiętnika Tow. Lek. Warszawskiego. Warszawa, 1910.

GRĄDZIELSKI K.: Dzieje literatury polskiej. Kraków, Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

GUY DE MAUPASSANT: Wybór pism. Tom trzeci: Nasze serce. Powieść. Kraków, 1910.

HANDELSMAN MARCELI: Studya historyczne. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka.

HRYNCEWICZ-TALKO J.: Materyały do etnologii i antropologii ludów Azji środkowej. Mongołowie, Buriaci i Tungusi. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni spółki wydawniczej polskiej.

JELEŃSKI WŁADYSŁAW ADW. PRZYS.: Poznajmy prawo! III. Wydanie pierwsze. Warszawa, 1911 r. Skład główny w administracyi miesięcznika „Prąd.“

KASPROWICZ JAN: Miłość. Wydanie trzecie. Lwów, 1911. Nakład księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KIRCHNER R. E. D-R: Potęga spirytyzmu. Spolszczył d-r J. D. Lwów, wydawnictwo „Kultura i Sztuka.“

KOZICKI WŁADYSŁAW: Wolne duchy. Dramat karnawałowy w trzech aktach. Lwów, 1911. Nakładem Tow. wydawniczego.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea archiwalne. I. Notatki do dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojskowych, ekonomicznych, handlowych i obyczajowych dawnej Polski, od XVI do XVIII wieku, z ksiąg kanclerskich archiwum głównego warsz. zacerpnięte. Warszawa i Kraków, 1910 r.

— Miscellanea archiwalne. II. Sprawy krzyżackie w Polsce, według dyplomatów archiwalnych 1226—1421. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

— Miscellanea historyczne. XLVI. Podróże królewicza polskiego—późniejszego króla Augusta III (Niemcy—Francya—Włochy) 1711—1717. Z Dyaryusza rękopiśmiennego. Część druga. Lwów, 1911. Nakładem wydawcy.

KRZYWOSZEWSKI STEFAN: Rusalka. Z portretem autora. Warszawa, 1911. „Nowości literackie,” tom 42.

LAGERLÖF SELMA: Cementarna Lilia. Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Kuryera Wileńskiego.“ Wilno, 1910. Nakładem „Kuryera Wileńskiego.“

LESZCZYŃSKI EDWARD: Wiosenne niebo. Kraków, 1910. G. Gebethner i S-ka.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Napoleon. Jego życie i czyny w obrazach. (Legiony i Księstwo Warszawskie). Zeszyty I i II. Warszawa. Druk i nakład Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów.

MARCINOWSKA JADWIGA: Sejm Wielki. Dramat historyczny w czterech aktach. Warszawa. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

MAYZŁOWNA KONSTANCYA (KAEMA): W mroku. Kraków, 1911. Gebethner i Wolff.

MŁASZEWSKI STANISŁAW: Gest wewnętrzny. Poezye. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

NIEPOŁOMSKI JÓZEF (Andrzej Wirski): W prochu ziemi. Powieść. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka.

NORWID CYPRIAN KAMIL: Wybór poezyi. Zebrał i objaśnieniami opatrzył Roman Zrębowicz. Okładka A. S. Procajłowicza, portret poety według akw. Fr. Siedleckiego. Wydanie drugie przejrane i pomnożone. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

NUSBAUM-HILAROWICZ JÓZEF: Uczeni i uczniowie. Lwów, 1910. Nakładem H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

NUSBAUM HENRYK: Na nutę Ekklesiastes. Kraków, 1910.

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDIA KOŚCIELNA. K. Tom 21—22. Listopad i gruzień 1910 r. Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.

POTOCKI TOMASZ: Ścibor. Baśń dramatyczna z drugiej połowy XVI wieku. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

RAKOWSKA MARYA: Zarys literatury angielskiej. Od początków do naszej doby. Część II. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1911.

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFIA: Narcyza. Powieść. Wydanie drugie. Kraków, Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

RYDEL LUCYAN: Z greckiego świata. Nowości Literackie, tom XXXII. Warszawa, 1910. Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

SCHNEIDER STANISŁAW: Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatniem okresie życia. Lwów, 1911. Nakładem autora.

SKIBA WOŁODY: Grześ. Historia małżeńska. Tom I i II każdy z 6 ma ilustracyami. „Ciekawe powieści.“ Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Dodatek bezpłatny do „Tygodnika Ilustrowanego.“

SKOROWIDZ osobowy i rzeczowy do ośmiu tomów monografii historycznej Aleksandra Kraushara: „Towarzystwo warszawskie królewskie Przyjaciół Nauk“ 1800—1832, oraz wykaz alfabetyczny ilustracyj. Warszawa i Kraków, 1911. Gebethner i Wolff.

SOKOŁOWSKI EUGENIUSZ: *Mór Dzieci*. Warszawa. Skład główny Gebethner i Wolff, 1910 r.

SPRAWOZDANIE Komisji Fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu 1909 r., oraz materiały do fizyografii krajowej. Tom czterdziesty czwarty (z dwiema tablicami). Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

STAFF LEOPOLD: *Wybór poezyi. Z portretem autora*. Lwów, 1911. Księgarnia polska B. Połonieckiego.

SZYMAŃSKI ADAM: *Aksinja. Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechii*. Kraków, 1911.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: *Janosik Nędza Litmanowski. Dokończenie „Maryny z Hrubego.”* Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki.

TOKARZEWSKI SZYMON: *Pośród cywilnie umarłych. Obrazki z życia Polaków na Syberyi*. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.”

WEYSSENHOFF JÓZEF: *Hetmani. Powieść współczesna*. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

— *Erotyki*. Wydanie ozdobione rysunkami Henryka Weysenhoffa. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE o stosunkach krajowych, wydane przez Krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. d-ra Tadeusza Pilata. Tom XXIII. Zeszyt I. Wybory do Sejmu Krajowego z r. 1908 i lat dawniejszych. Opracował d-r Marcin Nadobnik. Lwów, 1910 r.

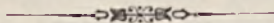
WIERCIEŃSKI HENRYK: *W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny*. Warszawa, 1910.

WINIARSKI BOHDAN D-R: *Zatarg konstytucyjny rosyjsko-finlandzki*. Warszawa, 1911. Nakładem „Przeglądu Narodowego.”

ZGLIŃSKI DANIEL: *Impertynencye i paradoksy. Studya*. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka.

ZAPOLSKA GABRYELA: *Janka. Powieść współczesna*. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.” Warszawa, 1911.

ZBIERZCHOWSKI HENRYK: *Pająk i inne nowele*. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1911.

HISTORIA.

	Str.
PRZED TRZYSTU LATY,—przez <i>Tadeusza Korzона</i>	1
NA ROZDROŻU (1812—1813),—przez <i>Szymona Askenazego</i>	209 i 417
ZAMACH NA STANISŁAWA AUGUSTA,—przez <i>Macieja Loreta</i>	541

HISTORIA LITERATURY.

MICKIEWICZ W KOWNIE,—przez <i>Józefa Kallenbacha</i>	68
ROMANTYZM W KOMEDYI FREDRY,—przez <i>d-ra Eugeniusza Kucharzkiego</i>	257
Z OBOZU KLASYKÓW,—przez <i>d-ra Maryana Szyjkowskiego</i>	353

LITERATURA.

OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	45, 234 i 453
NASZA HARFA,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	329

SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

RUBENS I REMBRANDT,—przez <i>Włodzimierza Pińskiego</i>	133
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	365
IDEA I ARTYZM W POEZYZI KONOPNICKIEJ,—przez <i>Walerego Gos-tomskiego</i>	472
KULTURA ŻYCIA MUZYCZNEGO,—przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i>	552

STUDYA SPOŁECZNE.

WALKA Z KOŚCIOŁEM WE FRANCYI,—przez <i>d-ra A. Peretjatkowicza</i>	308
SAMOBÓJSTWO RASY,—przez <i>Leszcza</i>	518

STUDYA PRZYRODNICZE.

ELEKTRYCZNA TEORIA MATERYI,—przez <i>d-ra I. Szretera</i>	335
---	-----

STUDYA JEZYKOZNAWCZE.

GWARA TATRZAŃSKA,—przez <i>G. Smólskiego</i>	560
--	-----

SZKICE PODRÓŻNICZE.

EWOLUCYA MEKSYKU,—przez <i>Witolda Szyszłę</i>	109
--	-----

R O Z M A I T O Ś C I.

FRAGMENT (z papierów po Aleksandrze Fredrze),—przez <i>M. z Fredrów Szembekową</i>	169
--	-----

K R Y T Y K A.

STANISŁAW LUBICZ: „Sprawa włościańska w Polsce porozbiorowej,” — przez <i>J. Siemieńskiego</i>	175
JÓZEF KORZENIOWSKI: „Zapiski z rękopisów cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu i innych bibliotek petersburskich,” —przez <i>H. M.</i>	179
GOŁĘBIEWSKI HIERONIM ks.: „Obrazki rybackie z półwyspu Helu,” — przez <i>I. B.</i>	182
„Spis ważniejszych miejscowości w powiecie starokonstantynowskim na Wołyniu,” —przez <i>F. R. G.</i>	182
WŁADYSŁAW GRABSKI: „Ekonomia rolnicza gospodarstw mniejszych,” — przez <i>Wacława Dunina</i>	383
WIKTOR GOMULICKI: „Car Widmo,” —przez <i>Henryka Gallego</i>	384
SIEMIEŃSKI JÓZEF: „O metodzie modernizacyi pisowni w wydawnictwach źródeł polskich XVI wieku,” —przez <i>I. B.</i>	387
RUSTICUS: „Listy z dworu wiejskiego,” —przez <i>Ludwika Włodka</i>	586
STEFAN DZIEWULSKI: „Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki,” —przez <i>Wacława Dunina</i>	590
MARION: „Uczciwa kobieta,” —przez <i>Henryka Gallego</i>	594

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

STYCZEŃ:

Na progę Nowego Roku.—Rachunki zysków i strat.—Słowo otuchy.—Rzeczy bieżące.—Z obrad Izby.—Wyodrębnienie ziemi Chełmskiej.—Sprawy oświaty i samorządu.—Przesilenie kanałowe w Galicyi i Austryi.—Zaprzepaszczenie Rydzyny.—Sprawozdanie Centralnego Towarzystwa Rolniczego.—Jubileusz Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych.—Obcy i swoi o nas 184

LUTY:

Jeszcze obrachunki noworoczne.—Położenie naszego przemysłu.—Widmo przesilenia.—Środki zaradcze.—Co się robi u nas dla klasy robotniczej.—Instytucje fabryczne i społeczne.—Zmiany we wsi polskiej.—Postępy parcelacji i jej niebezpieczeństwa.—O czem lud myśli?—Rozprawy na tematy oświatowe.—Dwie strony medalu.—Przemysł ludowy, jako środek podniesienia bytu ekonomicznego.—Odczyt d-ra Benniego.—Wnioski 389

MARZEC:

Dni rolnicze.—Inowacya wykładowa w C. T. R.—Zjazd kólek C. T. R. i Staszicowskich.—Burdy uniwersyteckie w Krakowie.—Sprawa polska w Radzie Państwa.—Opinia premiera o Polakach.—Mowa hr. Olizara.—Figle komisji szkolnej.—Sprawy polskie.—Rozłam wśród maryawitów.—O Rydzyne 597

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Mieczysław Brzeziński, ś. p. Henryk Szuman, ś. p. ks. Ludwik Jażdżewski i ś. p. Władysław Czachórski,—przez L. W. . . 404
 Ś. p. Aleksander Oskierko i ś. p. Wacław Nałkowski,—przez L. W. . . 611

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 201
 LUTY 412
 MARZEC 614